

**William Wharton**

**Nie ustawaj w biegu**

*(Run, Run, Run)*

*Przełożył Zbigniew Batko*

Piątek, 20 września 2000

## Rozdział I

Miałem zaledwie dziesięć miesięcy, kiedy zacząłem stawiać pierwsze kroki. Problem polegał na tym, że od razu chciałem biegać. Opowiadała mi o tym przede wszystkim moja matka i inni świadkowie; ja sam byłem wtedy za mały, żeby zdawać sobie z tego sprawę, ale sporo pamiętam z tych opowieści i może uda mi się je zgrabnie odtworzyć.

Matka twierdziła z uporem, że biegałem już w jej łonie, zanim przyszedłem na świat. Potem, kiedy się wreszcie urodziłem, wywijałem rękami i nogami tak, że lekarz, który odbierał poród, o mała mnie nie upuścił. Wyglądało to zupełnie tak, jakbym chodził w powietrzu.

Kiedy matka próbowała mnie unieruchomić, zwykle podnosiłem wrzask. Miała dopiero dwadzieścia lat, była bardzo młodą mateczką i zdarzyło się kiedyś, że w końcu, w krańcowej desperacji, postawiła mnie na ziemi, ja zaś od razu wystartowałem jak z katapulty. Ku jej przerażeniu pognałem przed siebie, przewracając się co chwilę. Puściła się za mną w pogoń i położyła mnie z powrotem do łóżeczka. Kiedy ojciec przyszedł z pracy, opowiedziała mu, co się zdarzyło, po czym postawiła mnie na podłodze, a ja znów popędziłem przed siebie i zatrzymałem się dopiero, gdy dobiegłem do ściany. Wyglądało na to, że nie mam poczucia kierunku i potrafię biec tylko prosto. Zaszokowany ojciec spojrzął na matkę i wygłosił zaskakująco banalny komentarz:

– Takie małe dzieci nie chodzą, nie mówiąc już o bieganiu, Sally.

– On ma przecież dopiero dziesięć i pół miesiąca. Nie powinien jeszcze chodzić, a już biega!

Kupili specjalne drewniane barierki i umieścili je najpierw w drzwiach sypialni, a potem wszędzie, gdzie się dało. Na szczęście nie umiałem jeszcze wylazić z łóżeczka, więc na razie przynajmniej o to byli spokojni. Matka mówiła, że nie płakałem, nie ryczałem ani nie wrzeszczałem wniebogłosy, dopóki pozwalali mi biegać. Nawet jeśli zdarzyło mi się na coś wpaść, odbijałem się tylko i biegłem dalej. Zdarzyło mi się to kilkanaście razy i początkowo matka obserwowała mnie, jakbym był jakąś nakręcaną lalką. Naturalnie, przy okazji obijałem się boleśnie. Podobno nic sobie z tego nie robiłem, ale oczywiście moja młoda i niedoświadczona matka bardzo się tym martwiła. W końcu postanowiła iść ze mną do lekarza i wyjaśnić, co też się ze mną dzieje.

– Panie doktorze, on nie ma jeszcze roczku, a ciągle biega i bez przerwy na coś wpada. Co mam z nim począć?

Doktor był przygłuchy, więc źle ją zrozumiał.

– Biegunka u małych dzieci to całkiem normalne, proszę pani – uspokoił ją.

Potem podniósł mnie i przytrzymał w powietrzu, a ja zacząłem wierzczać i machać rękami, jakbym próbował zerwać się do lotu.

Matka próbowała wyjaśnić, o co chodzi, ale lekarz tylko kręcił głową z niedowierzaniem.

W końcu postawił mnie na podłodze i oczywiście natychmiast puściłem się pędem przez gabinet. Matka opowiadała mi, że lekarz najpierw wytrzeszczył oczy, a potem rzucił się, żeby mnie złapać. Powtórzyło się to kilka razy, w końcu oddał mnie matce.

– Dziwna rzecz z tym pani dzieckiem, proszę pani. Jeszcze nigdy się z czymś podobnym nie spotkałem. Coś takiego może zaważyć na całym jego życiu. Nie mogę wprost uwierzyć własnym oczom. Dzieciak jest jeszcze w pieluchach, a już biega.

Nawiasem mówiąc, szybko wyzwaliałem się z więzów pieluch. Po prostu wiałem od nich, gdzie pieprz rośnie, bo ich nie znosiłem. Matka opowiadała, że wystarczyło posadzić mnie na sedesie i od razu robiłem, co trzeba, nie było z tym żadnych problemów. Nigdy nie przydarzyła mi się w domu żadna katastrofa. Byłem pod tym względem jak dobrze przyuczony pies, a nie jak dziecko.

Pewnego dnia matka zabrała mnie do swoich sióstr, czyli moich ciotek; miała dziesięcioro rodzeństwa, w tym sześć sióstr. Kiedy im pokazała, na co mnie stać, zdrowo się uśmieły; one także nie mogły uwierzyć w to, co widzą.

Wszyscy moi krewni, zarówno ze strony ojca, jak matki, byli raczej niezamożni i niewykształceni – skończyli tylko szkółki parafialne. Mężczyźni mieli z reguły problemy ze znalezieniem pracy, nawet przed Wielkim Kryzysem. Brakowało pieniędzy dosłownie na wszystko, toteż do lekarza chodziło się dopiero wtedy, kiedy było to naprawdę konieczne. Honorarium wynosiło zwykle w tych rzadkich przypadkach zaledwie dwa lub trzy dolary, więc trudno było wymagać, żeby mój przypadek jakoś szczególnie lekarzy ekscytował.

Jedna z ciotek, Ethel, oświadczyła, że ona osobiście chciałaby mieć takie problemy ze swoimi dziećmi:

– Wyobraźcie sobie, żadnego prania pieluch, żadnego sprzątania kupek!

Matka uczyniła z naszego domu azyl absolutnie bezpieczny dla małego dziecka. Usunęła wszystko, co mogło mi zagrażać. Nie byłem typem niszczyciela, tylko ciekawym wszystkiego i nadzwyczaj aktywnym dzieckiem. Tyle że w moim przypadku przybrało to jakąś ekstremalną formę. A jednak udało jej się jakoś utrzymać mnie przy życiu.

Zaczęła kupować masę przeróżnych opasek i bandaży. Było to konieczne: bez przerwy się przewracałem, więc matka musiała wciąż jodynować i opatrywać moje skaleczenia. Był też problem z sąsiadami. Początkowo podejrzewali, że jestem taki posiniaczony, bo matka mnie bije, ale wkrótce domyślili się, w czym rzecz.

Mimo wszystko dziwiło ich, że w sąsiedztwie jest dziecko, które nie mówi, nie płacze, nie sprawia żadnych kłopotów. Moja matka była pełna poświęcenia, niejako z konieczności. Gdyby nie to, nie przeżyłbym tych kilku pierwszych lat.

Ogólnie biorąc, nie biegłem w żadnym określonym kierunku ani od niczego nie uciekałem,

tylko po prostu lubiłem biegać. Było mi obojętne, którądy biegnę, a nawet wręcz tego nie zauważałem. Jeśli coś stawało mi na przeszkodzie lub ktoś próbował mnie zatrzymać, po prostu przewracałem się na ziemię, bo nie umiałem inaczej hamować. Matka opowiadała mi, że nie umiałem się zatrzymać ani nawet zmienić kierunku. Ubierała mnie bez względu na pogodę w grube, zimowe ubrania, żebym upadając, nie zrobił sobie krzywdy, ale po trosze i dlatego, żeby ukryć bandaż. A jednak twierdziła, że mimo wszystko byłem szczęśliwym dzieckiem. Dużo się śmiałem i gadałem do siebie. Mówiłem bardzo szybko, tak że nikt nie mógł mnie zrozumieć. Czasami matka domyślała się, że chcę jej coś powiedzieć, ale nie mogła dociec, o co mi chodzi.

Kiedy miałem trzy lata, moi rodzice uznali, że powinienem pójść do szkoły; nic innego nie przychodziło im do głowy. Do jedynej w okolicy szkoły publicznej było dość daleko. Matka, odprowadzając mnie do niej po raz pierwszy, trzymała mnie cały czas za rękę. A ja nie zamierzałem uciekać, chciałem tylko biegać.

Gdy mnie w końcu puściła, byłem od razu gotów spróbować, co to takiego szkoła. Mama opowiadała, że kiedy upadłem, nie rozplakałem się, tylko po prostu podniosłem się i otrzepałem ręce, jakbym był dorosłym facetem, który potknął się przy robocie. Po pierwszym dniu nauki kierująca szkołą zakonnica skontaktowała się telefonicznie z moimi rodzicami. Była to nie lada sztuka, gdyż nie mieliśmy telefonu. Siostrzyczka musiała zatelefonować do naszej sąsiadki, pani Reynolds, i jakoś jej wyjaśnić, o co chodzi. Pani Reynolds wiedziała oczywiście o mnie wszystko i tylko się śmiała, ale zakonnica kazała mi zostać po lekcjach w szkole. Odczułem to jako coś w rodzaju tymczasowego aresztu.

Siostra skarżyła się, że musi być ze mną coś nie w porządku, bo nie chciałem usiąść w ławce, tylko biegałem po klasie, śmiejąc się na całe gardło.

– Potem bez pozwolenia wybiegłem z klasy. Wygląda to wszystko bardzo zabawnie, ale jest w pewnym sensie smutne. Aż człowieka korci, żeby go zapytać, przed czym tak ucieka.

Zawiadomiono matkę przełożoną; była święcie przekonana, że musiał we mnie wstąpić diabeł.

Stwierdzili, że wystarczy dać mi kredki i trochę papieru, a będę bezgranicznie szczęśliwy. Zasiadałem wtedy w ławce i rysowałem albo malowałem, zapominając o bieganiu. Rysowałem wszystko, co mnie otaczało, nie odwracając nawet głowy. Podczas rysowania nuciłem sobie i śpiewałem, szczęśliwy, jakbym złapał Pana Boga za nogi.

Moimi rysunkami i malunkami już się nie interesowałem, po prostu zostawiałem je na podłodze. Zakonnica zebrała je wszystkie i zaniosiła do matki przełożonej. Doszły obie do wniosku, że są niezłe i że Bóg obdarzył mnie szczególnym talentem.

Próbowały ze mną porozmawiać, ale nie mogły nic zrozumieć z mojego trajkotania. Myślę, że wtedy tylko matka to potrafiła. Nie mam pojęcia, jak mogła sobie wyobrazić, że będę się mógł

normalnie uczyć w szkole.

Moi rodzice przeprowadzali się kilkakrotnie, między innymi dlatego, że nie stać ich było na płacenie czynszu, ale także ze względu na skargi sąsiadów. Myślę, że ludzie ci bali się dziecka tak dziwnego i nieobliczalnego.

Zakonnica i matka przełożona były przekonane, że jestem w pewnym sensie „opętany”. Że w jakiś dziwny sposób, nie wiedząc nawet o tym, zostałem nawiedzony przez „złego”. To pasowało do ich koncepcji świata. Ale z drugiej strony rysunki takiego malca zrobiły na nich wrażenie, więc nie znajdowały logicznego wyjaśnienia mojego przypadku. Przeniosły mnie od razu do trzeciej klasy, pewnie w nadziei, że to coś zmieni.

Nic się jednak nie zmieniło. Wciąż biegałem, wciąż byłem dla nauczycieli utrapieniem. Zakonnice twierdziły mimo wszystko, że nie jestem dzieckiem złym, tylko trudnym i nieprzystosowanym. Jakimś cudem znalazłem się nagle w piątej klasie, sześciolatek szkrab wśród dziesięciolatków – ale z punktu widzenia zakonnicy miało to jakiś sens. Potem znów przeniosły mnie wyżej. Chyba dlatego, że nie wiedziały, co robić, bo po cóż by innego? Na razie jednak byłem w piątej klasie. Nasza opiekunka była niesamowita, prawdziwa hipiska, tak gruba, że ledwie mieściła się w swoim zakonnym habicie. Była przy tym wredna i wyżywała się na swoich podopiecznych. A zwłaszcza na mnie.

Wszystkie zakonnice były wyposażone w piszczałki, które nazywały, nie wiadomo dlaczego, „sygnałem”. Ich dźwięk miał niby przywoływać nas do porządku, kiedy zachowywaliśmy się zbyt głośno, ale siostra Benedykta Józefa znalazła dla „sygnału” nowe zastosowanie.

Kiedy uznała, że przeciągnęliśmy strunę, trzepała nas nim po palcach albo waliła z całej siły po rękach. I to naprawdę bolało, zwłaszcza jeśli miało się sześć lat. Myślę, że widok zwalistej, wielkiej jak góra baby, bijącej tym groteskowym narzędziem kary o połowę od niej mniejszego brzdąca, musiał być dla reszty klasy naprawdę śmieszny. Śmiałem się więc, co oczywiście wcale nie pomagało. Zacząłem zatem coraz częściej znikać.

Zakonnica szybko się zorientowała, że nie może mnie spuścić z oka, bo natychmiast rozpląnę się w powietrzu. Nauczyciele i uczniowie przeszukiwali okolice szkoły i kościoła, wypatrując zbiega, ja zaś znalazłem sobie kilka świetnych kryjówek i nie mogąc pojąć, w czym rzecz, traktowałem to jako jeszcze jedną zwariowaną grę, którą upodobali sobie dorośli.

Tymczasem wszyscy zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że jest w szkole takie dziwne dziecko, które bez przerwy ucieka. Stałem się klasycznym przykładem zbiega. Znalazłem, jak już wspomniałem, kilka doskonałych kryjówek, takich między innymi, jak zakrystia i wnęka za figurą Matki Boskiej na dziedzińcu szkolnym.

Czegoś się jednak w tej szkole nauczyłem, a mianowicie sztuki chowania się. Rozkwitały także moje talenty plastyczne. Nauczyciele kazali mi rysować na tablicy różne okolicznościowe portrety i scenki z okazji rozmaitych religijnych i państwowych świąt. Nabrałem w tym wielkiej

wprawy: mogłem narysować Jezusa albo Jerzego Waszyngtona tak dobrze, że pewnie sami by się rozpoznali. Narysowałem nawet kiedyś Abrahama Lincolna, i to tak wiernie, że portret przypominał do złudzenia jego wizerunek na monecie. Moją specjalnością były rozmaite scenki związane ze świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocą.

Wkrótce zabrakło dla mnie klas, ale ja czułem, że muszę się rozwijać. Zacząłem już sobie uświadamiać, że uczestniczę w czymś w rodzaju wyścigu, i potrzebowałem tego pędu, miałem ambicję być w czołówce. Byłem głęboko przekonany, że dopóki prę do przodu, dopóty żyję. No bo przecież najbardziej powolne istoty ludzkie to nieboszczycy, czyż nie? Czułem też, że gdybym się cofał albo stał w miejscu, straciłbym to, co uważałem za swoje „człowieczeństwo” i co różniło mnie od zwykłego zwierzęcia.

Z drugiej strony nabierałem przekonania, że jestem takim samym zwierzęciem jak inne, tyle że umiem mówić. Próbowałem nawet rozmawiać z napotkanymi zwierzętami. Nauczyłem się je naśladować. Bardzo zbliżyłem się do stworzeń, z którymi rozmawiałem, i czułem, że jest to taki rodzaj bliskości, jakiej nigdy nie miałem w kontaktach z istotami ludzkimi. Taką już byłem dotknięty ułomnością, chorobą, czy jakkolwiek to nazwać, i wbrew temu, co mówili rodzice i nauczyciele, było to najlepsze, czego doświadczyłem w życiu. Moją biedną matkę doprowadzały te próby do szaleństwa. Słyszac, jak miauczę i szczekam, sądziła, że przybłąkał się do nas jakiś kot albo pies, i bardzo ją to denerwowało, nawet kiedy w końcu odkrywała, że to tylko ja.

Kupiła mi kota i psa, żebym miał do kogo się odezwać, ale szczekanie czy miauczenie nie daje wiele, jeśli człowiek tylko naśladuje wydawane przez te zwierzaki odgłosy. Ja chciałem z nimi naprawdę rozmawiać, okazało się jednak, że zbyt wiele nas dzieli.

Kupiłem więc sobie kanarka. Kanarki bowiem, jak mi się wydawało, próbują mówić, a to, co mają do powiedzenia, jest piękne. Cóż może być piękniejszego niż głos kanarka? Kupiłem samiczkę, bo samiczki są znacznie tańsze od samców. A są tańsze przede wszystkim dlatego, że nie potrafią śpiewać. Kanarzyce tylko popiskują i ćwierkają, a to jest oczywiście zaledwie namiastka rozmowy. Nauczyłem się dość dobrze „kanaryjskiego”, więc miałem pojęcie, jak się z nią porozumieć, choć mój „kanaryjski” nie był nigdy tak piękny jak jej. Przeżyłem wówczas jeden z najlepszych okresów w moim dzieciństwie. Po latach, już jako człowiek dojrzały, napisałem o tym książkę.

Wszystko to było dla mojej matki niesamowite. Starła się, jak umiała, radzić sobie z tym, że jej dziwne dziecko przemawia godzinami do żółtego ptaszka w klatce, i nawet nie próbowała psuć mi zabawy. Była przekonana, że naprawdę mówię po „kanaryjsku”, i usiłowała nawet robić to sama, ale jej nie ożywiało aż tak silne pragnienie jak mnie. Jednocześnie uczyła się rozumieć to, co ja sam uważałem za ludzki język. Mówiłem tak szybko, że prawie nikt nie mógł mnie zrozumieć. Matka słuchała jednak uważnie i docierała do sensu, więc mogliśmy z sobą

rozmawiać.

Jednym z problemów było to, że potrafiłem myśleć o trzech rzeczach równocześnie. Potem zapomniałem, o czym właściwie myślę, i wszystko mi się mieszało. Mama nadążała za tym i czasami potrafiła nawet mówić tak jak ja, co doprowadzało ojca do furii. Nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście z sobą rozmawiamy i że rozumiemy ten, jak on to nazywał, szwargot. Ja jednak miałem prawdziwego przyjaciela i partnera do rozmowy – moją matkę.

W szkole szło mi bardzo dobrze. Robiłem po prostu to, co mi kazali. Nie było to trudne, tylko nużące. Po prostu nie mogłem niczego robić na komendę. Nauka w szkole wydawała mi się stratą czasu.

Jeśli chodzi o mój wygląd, to byłem kędzierzawym jasnowłosym chłopaczkiem średniego wzrostu. Chłopaczkiem, którego wszystko zastanawiało.

Uczyłem się w jednej klasie z dziesięciolatkami. W porównaniu z innymi byłem bardzo mały. Sprawdziły się obawy mojej matki: zostałem kimś w rodzaju cudaka. Miałem sześć lat i cała ta sytuacja, choć wydaje się mało prawdopodobna, nie była przecież niemożliwa. Inne dzieci, te, które należały do różnych paczek, a zwłaszcza szkolne osiłki, lubiły wykorzystywać swoją przewagę. Ale lubiły także patrzeć, jak biegam, zupełnie jak kierowcy, którzy pasjonują się wyścigami samochodowymi. Było to dla nich po prostu niewiarygodne i podejrzewam, że w pewnym sensie mi zazdrościły.

Szkoła miała taką topografię, że można mnie było ganiać dookoła, do utraty tchu. Mnie to nie wadziło, bo czułem, że w ten sposób odwracam myśli moich prześladowców od gorszych rzeczy, jakie mogły im się lęgnąć w głowach.

W pewnej chwili zakonnice uznały, że powinienem iść do szkoły średniej. Matka nie przestawała się martwić, że wyrosnę na jakiegoś dziwoląga. Naprawdę mnie kochała i widziała, że za bardzo mnie dopingują. Zaczęła mnie bronić przed zakonnicami i innymi nauczycielami. Powtarzała, że nie chce doczekać chwili, kiedy wyląduję w cyrku albo lunaparku. W szkole, do której chcieli mnie posłać, uczyli zakonnicy, bracia szkolni. Ja uważałem ich za facetów, którzy nie byli wystarczająco dobrzy, żeby zostać księżmi, ale mieli coś w rodzaju kapłańskiego powołania.

Zanim posłali mnie do szkoły średniej, nauczyciele, którzy uczyli w piątej klasie i kilku innych, utwierdzili się w przekonaniu, że muszę chyba być opętany przez diabła i że pewne cechy, jakie u mnie zaobserwowali, nie mogą być cechami ludzkimi. Podzielili się swoimi podejrzeniami z ojcem Siebertem, on zaś postanowił poddać mnie egzorcyzmom. Rozumieliśmy się już wtedy wzajemnie, ale nie znałem jeszcze znaczenia słowa „egzorcyzm” i myślałem, że mówią o egzaminach albo o czymś egzotycznym. A ponieważ lubiłem i egzaminy, i wszystko, co egzotyczne, przystałem na to z ochotą.

Ksiądz Siebert z siostrą Benedykta Józefą wzięli mnie do kościoła i tam kazali mi uklęknąć

przed ołtarzem. Wszystko to naprawdę robiło wrażenie, więc byłem bardzo przejęty. Oto klęczę przed ołtarzem między dwiema zakonnkami, które pilnują, żebym nie zwał. Wiedziały o moim bieganiu, ale mnie nie w głowie było bieganie, takiego miałem pietra.

Ksiądz wylał mi chyba z ćwierć litra święconej wody na głowę, a potem pokropił mnie całego, tak że czułem się, jakbym wyszedł spod prysznica. Z tego, co ksiądz mówił, a mówił dużo i zawile, niewiele rozumiałem. Starłem się, jak mogłem, wsłuchiwać w te jego modły, on zaś cały czas trzymał dłoń na mojej mokrej głowie. W końcu zawyrokował: jeśli rzeczywiście opętał mnie diabeł, to jest on absolutnie nie do wypędzenia.

Tymczasem ja miałem jeszcze inne problemy, które mnie osobiście wydawały się poważniejsze. Byłem już w piątej klasie, miałem sześć lat i nie wiedziałem, w co mam wierzyć. No bo siedzę sobie ja, sześciolatek, wśród dziesięciolatków i choć ta sytuacja nie jest całkiem beznadziejna, to czasami bywa trudna.

Oczekiwałem, że podczas egzorcyzmów zaczną mi wychodzić z ust diabły i demony, tak jak to widziałem na różnych rycinach, ale nic takiego się nie działo. Nie bałem się jednak tych wszystkich okropieństw bardziej niż tego, że się przeziębę od wody wylanej na moją głowę. A jeszcze bardziej przejmowałem się kolegami. Lubili się przyglądać, jak biegam, ale nie mogli mnie złapać, co zresztą bardzo mi odpowiadało. W końcu opracowali system: kiedy jedna grupa mnie goniła, druga zachodziła mi drogę. Zwykle udawało mi się jakoś wymknąć, ale traktowałem ich jako poważne zagrożenie. Dla nich to była tylko zabawa, dla mnie sprawa życia i śmierci. Zacząłem podejrzewać, że zamierzają mnie zabić.

W końcu pewnego dnia udało im się mnie dopaść; jeden z nich zaczął się w krzakach, wyskoczył i przewrócił mnie, podstawiając mi nogę. Wzięli mnie do ubikacji dla chłopców, wsadzili mi głowę do muszli i kilka razy spuścili wodę. Świetnie się przy tym bawili. A ja, z głową ociekającą wodą, sam zacząłem się ŚMIAĆ! Co mi bynajmniej nie pomogło.

Jak się pewnie domyślacie, nie zamierzałem się poddawać takiemu terrorowi. Pewnego dnia znów zaczęli mnie gonić i rzucać we mnie kamieniami. Tymczasem ja byłem w tym tak samo dobry jak w bieganiu. I wpakowałem się w poważne kłopoty. Ksiądz Siebert postanowił przyjrzeć się uważniej wybrykowi natury, na którego skarżyło się tylu chłopaków.

Uznał, że będę doskonałym nabytkiem dla szkolnej drużyny baseballowej. Narysował na ścianie koło i kazał mi w nie rzucać kamieniami. Nawet ja byłem zaskoczony celnością rzutów. Ksiądz oznajmił mi, że bierze mnie do drużyny; w Świętym Cyrylu mieli taką drużynę, ale nie było w niej naprawdę dobrego rozgrywającego. Twierdził, że moich podań nikt nie będzie mógł przechwycić.

Trzeba powiedzieć, że nie interesowały mnie klasyczne dyscypliny sportowe. Dali mi piłkę i rzucałem nią tak, że nawet ksiądz Siebert nie mógł jej złapać. I to celnie. Wszyscy byli zachwyceni. Ksiądz mówił mi, do którego z chłopaków podać piłkę, i ja podawałem, a piłka



wydawała mi się po prostu małym kamieniem. Nauczyłem się ją podkręcać tak, że nikt nie umiał jej złapać. Właściwie to uchylali się tylko, bo rzuty były tak mocne, że woleli nią nie oberwać.

Bawiliśmy się na tyłach szkoły. Chłopcy dzielili się na dwie współzawodniczące drużyny. Jednego dnia należało się do jednej, drugiego do innej. Gra polegała na tym, że chwytano się chłopaków z drużyny przeciwnika i wsadzało ich do tak zwanego więzienia. Była to właściwie wnęka z kilkoma betonowymi schodkami prowadzącymi do kaplicy, którą właśnie budowali w podziemiach szkoły.

Nie mam pojęcia, dlaczego ta gra była dla nich taka ważna, ale bardzo szybko zostałem prawdziwym gwiazdorem. Miałem zaledwie siedem lat, a chwytalem i pakowałem do naszego lochu czternasto – i piętnastolatków. Początkowo udawało im się przede mną uciec, ale kiedy przyspieszałem, chwytalem ich bez trudu.

Czasem sami biegli do lochu i przyczajali się tam w kącie, żeby ukryć się przede mną i przed moimi zabójczymi rzutami piłką. Potem, kiedy przychodziła ich kolej i oni zostawali „łapaczami”, wszystko się zmieniało. Nie mogli mnie złapać i wsadzić do więzienia, więc wszystko im psułem. A jeśli już znalazłem się w lochu, natychmiast stamtąd uciekałem i nikt nie wiedział, jak to robię. Tak więc sam decydowałem, czy siedzieć w lochu, czy wyjść na wolność.

Przeważnie jednak chciałem uciekać. Nie czułem się dobrze w tym betonowym więzieniu przy schodkach do kaplicy. Wylatywałem więc stamtąd jak pocisk, przedzierałem się przez kordon straży i tyle mnie widzieli. Choć byłem mały, przewracałem kilku po drodze, a niektórym nawet dawałem przy okazji porządnie w kość. Cała ta zabawa była bardzo dziwna i jak już mówiłem, nie bardzo rozumiałem, co w niej takiego atrakcyjnego. Ale naprawdę nie różniła się od gier, które uprawia większość ludzi. W każdym razie psułem moim kolegom zabawę. Wydawało się, że w ich świecie, który tak bardzo kochali, nie ma dla mnie miejsca, i to także było dowodem, że nie pasuję do normalnej szkoły.

I jeszcze jedno: zakonnice odkryły, że jest takie miejsce, gdzie mogą mnie kontrolować. Na drugim piętrze szkoły była wielka sala, coś w rodzaju auli. Tam właśnie odbywały się szkolne przedstawienia i lekcje katechizmu, a także uroczystości dla absolwentów. No więc zakonnice postanowiły, że będą mnie tam zamykać, a wtedy na pewno niczego nie zmaluję ani nic nikomu nie zrobię. Dla mnie nie była to żadna kara. Siedząc w tej sali, cieszyłem się właściwie odrobiną wolności. Biegałem z jednego końca na drugi najszybciej, jak mogłem. Potem, kiedy przychodziły po mnie zakonnice, chowałem się za drzwiami i straszyłem je. Było to coś w rodzaju zabawy w chowanego, gdzie byłem jednocześnie tym, który się chowa, i tym, który szuka.

Kiedy przeszedłem do szóstej klasy, rodzice kupili mi rower, zresztą po wielu dyskusjach. Mama obawiała się, że będę jeździł za szybko i zrobię sobie krzywdę, ojciec natomiast martwił się, że od razu wpadnę na kogoś i go zabiję. Po długiej i burzliwej naradzie poszliśmy

i znaleźliśmy odpowiedni rower, używany, za pięć dolarów. Ojciec oświadczył, że go naprawi, i uspokoił matkę, że nie ma takiego samochodu, który mógłby mnie dogonić i przejechać.

I rzeczywiście, ojciec pomalował rower, wymienił kilka szprych i wyregulował hamulec. Był zawsze dobrym mechanikiem i ten rower dostarczył mu okazji do wykorzystania talentów. Poinstruował mnie, jak należy jeździć na „dorosłym” rowerze, a potem obniżył siodełko, żebym mógł dosięgnąć pedałów. Wskoczyłem na rower i wystartowałem z miejsca jak do biegu. Jedynym problemem było hamowanie. Potrafiłem się zatrzymać tylko w ten sposób, że zdejmowałem nogi z pedałów i szorowałem nimi po ziemi tak długo, aż rower stanął. Umiałem jeździć na dzieciennym rowerku, ale takiego jak ten dosiadłem po raz pierwszy. Dałem sobie jednak radę. Jeździłem po całej okolicy, siejąc grozę i strasząc każdego, kto był na tyle nierozsądny, żeby chodzić pieszo.

Nauczyłem się jednak w końcu trzymać z dala od pieszych i, co ważniejsze, uciekać przed samochodami lub całkiem ich unikać, choć matka w ogóle zabroniła mi jeździć po ulicach, na których mogłem się natknąć na auta. Cały czas czułem, że biegając, byłbym szybszy, niż jeżdżąc na rowerze, ale mimo to praktycznie z niego nie zsiadałem.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego.

Siedziałem jak zwykle zadowolony w swojej auli, przeglądając stare numery „National Geographic”, co było moim zwykłym sposobem podróżowania po świecie. Kiedy w pewnej chwili wyrząłem przez okno, zobaczyłem, że na dole jakiś szczeniak właśnie kradnie mój rower, sześciolatniego Searsa Elgina, mojego najważniejszego kompana.

Puściłem się pędem po schodach, zjeżdżając po nich jak na nartach, i wypadłem na ulicę akurat w momencie, kiedy złodziejaszek zniknął za rogiem wraz z moim rowerem. Jako szybkiebiegacz prędko się z nim zrównałem i biegnąc obok, zacząłem wrzeszczeć:

– Ej, to mój rower, szczeniaku! Złaż z niego, ale to już!

Spojrzał tylko na mnie, nie wierząc własnym oczom, splunął i pochylił się nad kierownicą, naciskając mocniej na pedały. Pewnie wyobrażał sobie, że siedmioletni brzdąc nie może mu nic zrobić.

Wykrzyczałem ostatnie ostrzeżenie. W jego oczach pojawił się strach. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co widział. I wtedy złapałem go za kołnierz i ściągnąłem z roweru. Wyleciał jak z procy i runął na jezdnię, a tymczasem ja popędziłem za rowerem, żeby go jak najszybciej złapać. W końcu mi się to udało. Rower miał trochę wygiętą kierownicę, ale nie było to na szczęście nic poważnego. Obejrzałem się za siebie; chłopak siedział na jezdni, miał podarte spodnie i zakrwawioną twarz, bo spadając, uderzył głową w ziemię. Zerwał się i ruszył za mną w pogoń, wrzeszcząc:

– Hej, ty sukinsynu, to mój rower! Stój, bo zawołam gliniarzy, ty mały zasańcu!

Zorientowałem się, że moja szybkość może przysporzyć mi kłopotów. Byłem o połowę

nizszy od tego groźnie wyglądającego, może dwunastoletniego wyrostka, który po prostu szalał. Pomyślałem, że choć jest wciąż wystraszony tym, że go dopadłem, zdecydowanie góruje nade mną wzrostem i że najlepiej będzie wiać stamtąd jak najszybciej. Wskoczyłem na lekko pogięty rower z porysowanymi błotnikami, które tato tak starannie pomalował, i dosłownie pofrunąłem w głąb ulicy. Potem obejrzałem się jeszcze raz: złodziej stał, trzymając się za odarty do krwi łokieć, i wykrzykiwał, co mi zrobi, jak mnie dorwie.

Tego wieczoru zszedłem do piwnicy, żeby dokładnie obejrzyć uszkodzenia i pomalować zadrapania farbą, której resztką została w puszcze. Odmalowałem go tak, że wyglądał jak nowy. Trzeba tu podkreślić, że cały incydent rozegrał się pod szkołą, więc świadkami były niektóre dzieciaki.

Widziały, jak dogoniłem złodzieja jadącego na rowerze, i to zrobiło na nich wrażenie. Teraz już wszyscy zaczęli uważać mnie za dziwołaga. Stało się więc to, czego najbardziej obawiała się moja matka, mimo że robiłem, co mogłem, żeby do tego nie doszło.

Kolejne zdarzenie bynajmniej nie wpłynęło hamująco na moją rosnącą reputację dziwołaga. Starąłem się bawić z innymi dziećmi tak, żeby nie pogarszać sprawy. Gra, do której się włączyłem, nosiła nazwę „król drzewa”. W lesie za boiskiem do baseballu rósł stary dąb. Jedną z ulubionych zabaw dzieciaków było wspinięcie się na to drzewo z wiaderkami piasku i obsypywanie się wzajemnie tak długo, aż zawodnik z dołu dał za wygraną i albo spadał z drzewa, albo, co zdarzało się częściej, schodził z niego. Powinienem był się zastanowić, ale ja widziałem tylko to, że oto jest zabawa, w której mogę uczestniczyć, i nie ma w niej żadnych reguł, które mógłbym bezwiednie złamać.

W rzeczywistości jednak wyglądało to całkiem inaczej. Początkowo bawiłem się świetnie. Nabierałem garściami piach w okolicach boiska. Ale oczywiście sypałem tego piasku za dużo i robiłem to za szybko, więc od razu spadło z drzewa trzech chłopców i jeden poważnie się poturbował. No i wszystko zaczęło się od nowa. Wystarczyło, że „dziwołag” przystąpił do akcji, i od razu ktoś się dotkliwie potłukł. Oddaliłem się, wycofałem się z walki, czułem się kompletnie przegrany, wiedziałem, że cokolwiek zrobię, zamieni się w katastrofę. Najwyraźniej nie potrafiłem odróżnić garści piasku od wiadra piasku. Nie potrafiłem odróżnić prędkości i dystansów, nie istniało w moim umyśle żadne poczucie miary. Nie byłem tego tak świadomy, jak być powinienem – i zaczynałem sobie to uprzytamniać.

A jednak mniej więcej wtedy, kiedy byłem w ósmej klasie, osiągnąłem coś pozytywnego. Miałem wtedy osiem, może dziewięć lat. Na naszej i na wszystkich pobliskich ulicach odbywały się wyścigi, zaimprovizowana próba przed wielkimi uroczystościami Czwartego Lipca, kiedy to rozgrywano różnego rodzaju zawody, głównie przeróżne biegi. Odbywały się one po zakończeniu dziecięcej parady przebierańców, na boisku baseballowo-futbolowym przy końcu Clover Street, ulicy, przy której mieszkaliśmy. Trudno było wtedy przejechać którąkolwiek

z tych ulic i nie wpaść na gromadę dzieciaków pędzących na złamanie karku przed siebie. Byłem na tyle rozsądny, żeby trzymać się od tego z daleka. Kilkoro dzieci poprosiło mnie grzecznie, żebym nie startował, i zgodziłem się na to. Zawsze przybiegałem pierwszy i miałem już serdecznie dość czekania na resztę na mecie.

Rozgrywano różne rodzaje wyścigów: na jednej nodze, w workach, odbywał się nawet wielki wyścig dla dorosłych. Była to stara dobra tradycja w naszej dzielnicy.

Wszyscy czekaliśmy na te biegi z niecierpliwością. Zaczynało się od wyścigów najmłodszych, a kończyło na biegu dorosłych. Co ciekawe, uczestniczyła w nich większość mieszkańców dzielnicy. Te prawdziwe wyścigi odbywały się nie na ulicy, ale na boisku. Wyznaczano linię startu i mety, malując ją wapnem, którym trasuje się linie boiska.

Bawiłem się naprawdę świetnie, tylko kibicując, i cieszyłem się, że mogę być widzem razem ze wszystkimi. Czułem, że jestem częścią całej imprezy, nie uczestnicząc w niej bezpośrednio. Ale nagle pan Henry, nasz miejscowy komendant policji, który musiał słyszeć o moich wyczynach sprintera, zaczął mnie usilnie namawiać, żebym wystartował w wyścigu dorosłych.

– No, Will, pobiegnij z nami. Wiemy, że jesteś szybki, ale chyba nie aż tak szybki, żeby pokonać pana Hardinga, mogę się z tobą założyć.

Nawet mój ojciec, który też brał udział w tym wyścigu, chciał, żebym pobiegł. Matka stała przy linii startowej z palcem na ustach, próbując jakoś nie dopuścić, żeby jej synek się zbłąźnił. Głupka trudno jednak powstrzymać, żeby nie zrobił z siebie głupka. Tego się właśnie miałem nauczyć. Uległem namowom i wygrałem z przewagą dwudziestu jardów, i to bez wysiłku.

I teraz tajemnica się wydała – naprawdę byłem dziwolągiem. Pobiegłem do matki, objąłem ją i rozplakałem się.

– Nic nie szkodzi, kochanie. Nic nie możesz poradzić, że jesteś najszybszy w naszej dzielnicy. Oni po prostu tego nie rozumieją.

Jeden z moich najbliższych przyjaciół, chłopiec imieniem Al, którego później opisałem w książce pod tytułem *Ptasiek*, kupił psa, teriera, nazwaliśmy go Pstryk. Był mały, ale bardzo szybki. Spieraliśmy się z Alem, kto jest szybszy, Pstryk czy ja. A przy okazji: koledzy w szkole średniej ochrzcili mnie już wtedy mianem Ptaśka. Nie mogłem się pozbyć tego przezwiska, choć bardzo się starałem.

Tak więc postanowiliśmy z Alem, że urządzimy wyścig Pstryk-Ptasiek. Al odmierzył krokami dystans na boisku baseballowym, a ja czekałem z Pstrykiem na starcie, aż da mi ręką sygnał. Wystartowaliśmy równo, Pstryk pędził oczywiście do swego pana, ja zaś biegłem, żeby sprawdzić, czy jestem równie szybki jak on. Poza tym założyliśmy się z Alem o ćwierć dolara, kto wygra. Al uwielbiał się zakładać. No więc wystartowaliśmy uczciwie, jednocześnie, ja nie spuszczałem oka z Pstryka, a Pstryk wpatrzony był w Ala, choć od czasu do czasu zerkał w bok,

na mnie. Do drugiej bazy dobiegliśmy prawie jednocześnie, ale potem zacząłem wychodzić na prowadzenie i biedny piesko pomyślało pewnie, że ma do czynienia z parą wariatów. I w pewnym sensie tak było. Na metę wpadłem pierwszy, o parę kroków przed nim. Al wziął Pstryka na ręce; biedny piesek dyszał tak, jakby miał dostać zawału. Potem Al sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwadzieścia pięć centów, co było dla nas wtedy sumą zawrotną.

– Och, daj spokój, Al, przecież to tylko zabawa. Naprawdę nie chciałem go tak zmęczyć. Teraz może w ogóle nie zechce biegać. Ale swoją drogą było fajnie.

– Weź te pieniądze, Ptasiek. Jak nie weźmiesz, to Pstryk się obrazi. Gnał tak, że mało nie wyzionął ducha. Wiedziałem, że potrafisz szybko biegać, ale nie, że aż tak. Wygrałeś tę forszę, Ptasiek, zasłużyłeś na nią.

Wziąłem więc pieniądze i poszliśmy do piekarni pana Wuko, gdzie kupiliśmy dwanaście pączków, sześć z lukrem i sześć z konfiturą. Usiedliśmy w lasku za boiskiem i pałaszowaliśmy te pączki, a Al namawiał mnie, żebym został zawodowym biegaczem. Tego wieczoru matka dziwiła się, że nie chciałem jeść kolacji. Gdybym jej powiedział, że ścigałem się z małym pieskiem przez pół boiska, pewnie by się zmartwiła. Wciąż uważała, że jeśli coś się nie zmieni, zostanę miejscowym cudakiem.

W naszej okolicy mówili na mnie Śmigacz. Było to lepsze niż Ptasiek, ale mamie się nie podobało. Prawdę mówiąc, nie sądzę też, żeby podobało się ojcu.

Inną sprawą, która mnie trapiła, było to, że dzieciaki z okolicy zaczęły wierzyć w moją zdolność stawania się niewidzialnym. Oczywiście nie umiałem tego robić, ale zdarzało się, że nagle z jakiegoś powodu startowałem bez uprzedzenia i po prostu znikalem. Dla nich jednak stawałem się po prostu niewidzialny.

Musiałem być ostrożny. Chodziło też o to, że byłem od nich o tyle mniejszy. Musiałem uważać w szkole, bo czasami zdarzało mi się ruszyć z kopyta, a wtedy nauczyciel i koledzy mogli pomyśleć, że oto znów zniknąłem na ich oczach. A rzecz polegała na tym, że ich oczy reagowały zbyt wolno, żeby mogły zarejestrować mój ruch. Tak więc los szybkobiegacza nie jest wcale taki wspaniały.

Jeszcze inną sprawą było chodzenie do kina. Byli tam bileterzy, którzy sprawdzali bilety i wskazywali nam miejsca. W soboty chodziłem regularnie do miejscowego kina w Stonehurst Hills, na specjalne poranki dla dzieci, podczas których wyświetlali filmy kowbojskie i przygodowe, na przykład kreskówkę w rodzaju *Flasha Gordona*, a potem normalny film, czasem nawet dwa. Myślę, że to był sposób na to, żebyśmy się nie wałęsali po ulicach i nie rozrabiali.

Miało to jednak dwie wady. Jedną było to, że dzieciaki wychodziły na zalaną słońcem ulicę kompletnie oszołomione jaskrawym światłem, i opuszczając klimatyzowaną salę, zanurzały się w dusznym, parnym powietrzu, które wisiało latem nad całym Wschodnim Wybrzeżem, a to nie

było zbyt przyjemne. Jeszcze gorsze było jednak to, że zwykle w drodze od kasy na moje miejsce na sali znikalem po swojemu. Przychodziło mi to z łatwością, ale starałem się nie robić tej sztuczki zbyt często, bo wiedziałem, że to nieuczciwe i niedozwolone. Mimo to chodziłem na te sobotnie poranki, bo uwielbiałem turlać się z innymi dzieciakami po wyłożonych chodnikiem przejściach między krzesłami, chować się po ciemku i tak dalej.

Jedną z moich ulubionych zabaw było chodzenie po szynach, po których dwa razy na dobę przejeżdżał pociąg towarowy. Sprawdzałem, licząc, jak długo potrafię utrzymać równowagę. Byłem w tym dobry, mogłem iść tak po szynie kawał drogi, nie po podkładach, jak to zwykle robią ludzie, ale właśnie po szynie. Wprost przepadałem za tym.

Do szkoły biegłem po szynie, odliczając sobie punkty karne, ilekroć straciłem równowagę i musiałem się podeprzeć, stawiając stopę na ziemi. Kilka razy udało mi się pokonać cały dystans, dwie mile z okładem, bez dotknięcia stopą ziemi. Było to czyste wariactwo i choć bawiłem się sam, bardzo lubiłem tę rozrywkę. Było z tym jak z jazdą na rowerze; jeśli nabrało się odpowiedniej szybkości, z łatwością utrzymywało się równowagę.

Kiedy matka odkryła, co wyprawiam, o mało nie zemdląła – była pewna, że w końcu przejedzie mnie pociąg. Nie mogłem jej przekonać, że zawsze zdążę zejść z torów i go przepuścić. Zresztą przejeżdżały tamtędy tylko dwa pociągi towarowe na dobę, i to jeden z nich w nocy.

\* \* \*

A jednak pomimo obaw mojej matki, że zginę pod kołami, wylądowałem w końcu w szkole średniej.

Na samym wstępie zapisałem się do kółka plastycznego. Wprowadził mnie tam brat Damien, choć byłem w szkole nowicjuszem, i to bardzo małym. Nie miał pojęcia, jak szybko potrafię malować. Byłem w tym tak dobry, że nie kazał mi nawet płacić za farby i lejtramy. Czułem się tam jak w raj. Obrazów, które później ozdobiły ściany szkoły, namalowałem więcej, niż zrobiłem rysunków kredą w szkole podstawowej.

Brat Damien powiedział jednemu z zakonników, którzy opiekowali się biegaczami, jaki jestem szybki w działaniu, i ów zakonnik bardzo się mną zainteresował. Pewnego dnia zaprowadził mnie na boisko szkolne, które okalała bieżnia. W ten sposób zostałem wciągnięty w jeszcze jedno szaleństwo dorosłych. Było już po lekcjach i miałem na sobie strój gimnastyczny i trampki. Nauczyciel spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

– Czy biegałeś kiedyś na tej bieżni, synu?

Zaszokowało mnie to, że mówi do mnie „synu”. Byłem też zdziwiony tym, że komuś może sprawiać przyjemność bieganie w kółko po takiej wytyczonej przez kogoś innej trasie. Ale nic

nie powiedziałem.

Był zakonnikiem, więc wszyscy mówiliśmy mu „ojcze”, ale to było zupełnie co innego niż ten „syn”. Czułem, że muszę mu coś powiedzieć.

– Chodziłem po podobnym torze, ojcze. – Wskazałem w dół, gdzie u stóp wzgórza przebiegał tor kolejowy, po którym z taką przyjemnością spacerowałem.

– Ale to jest tor kolejowy, synu, może cię tam przejechać pociąg. Pociągi są bardzo szybkie i nie zawsze słyszy się, jak nadjeżdżają. To niebezpieczne, a bieganie po takim torze jak ten, gdzie nie ma ani pociągów, ani samochodów, jest dużo bezpieczniejsze. A tak w ogóle, to dlaczego biegasz?

– Nie mam pojęcia, ojcze. Chyba po prostu dla zabawy. To, jak szybko biegam, nie ma dla mnie znaczenia.

– No to pobiegnij teraz dla mojej przyjemności. Tylko raz, tak dla zabawy, żebyśmy zobaczyli, w jakim czasie zrobisz jedno okrążenie.

Wyciągnął kieszonkowy zegarek i położył kciuk na śrubce, którą normalnie nakręca się podobne zegarki.

– Nie masz odpowiedniego obuwia, ale nie szkodzi.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że musiał rozmawiać z bratem Damienem od plastyki. W porządku. Pochyliłem się, gotów do biegu, a on nacisnął tę śrubkę. Właściwie nigdy nie biegałem po to, żeby sprawdzać, jaki jestem szybki, i nigdy nie zmierzałem do określonego celu, ale pomyślałem sobie, że nic złego się nie stanie, jeśli raz tak pobiegnę. I tu znów się myliłem; ten bieg mógł mi złamać życie na zawsze.

Kiedy po niespełna minucie znów znalazłem się obok niego, spojrział na zegarek. Trzymał go tak, że nic nie mogłem zobaczyć.

– Ejże, jesteś naprawdę szybki, William. Dlaczego nie spróbujesz zająć się tym poważnie?

– Nic z tego nie będzie, ojcze.

– Ale przecież marnujesz talent dany ci przez Boga. Jeśli przy swoim wzroście biegasz tak szybko, możesz zostać mistrzem. Pomyśl o szkole, pomyśl o sobie. Nie odrzucaj takiej szansy. A właściwie, ile ty masz lat?

– Jestem jeszcze mały i nie chcę biegać w szkolnej reprezentacji, ojcze.

Próbowałem się wycofać. Wiedziałem, że nie pójdzie mi z nim łatwo i że nie powinienem być się zgodzić na tę próbę i na całe to mierzenie czasu. Odwróciłem się i uciekłem. Wiedziałem, że nigdy mnie nie dogoni. Szybkość ma swoje dobre strony i jedną z nich jest to, że nikt nie może człowieka złapać. Tak sobie wtedy myślałem. Nakłonili mnie jednak w końcu do udziału w biegu przelajowym. Pobiegłem w swoim normalnym ubraniu, nie chciałem wkładać niczego, co przypominałoby bieliznę.

Są jednak pewne rzeczy, w których nie jestem tak szybki. Jedną z nich jest liczenie

w pamięci. Nauczycielka, jeszcze w szkole podstawowej, ciągle nas sprawdzała. Kazała nam dzielić czterysta przez sześć albo, co jeszcze trudniejsze, cztery tysiące sześćset dziesięć przez osiem. Takich zadań nie potrafię rozwiązać, mój umysł po prostu tak nie pracuje. Potrafię liczyć, ale nie na wyścigi. Zwykle obliczam, ile to będzie, powoli, myśląc intensywnie.

Zacząłem się uczyć pisania na maszynie, bo nauczyciel, który prowadził kurs maszynopisania, też dowiedział się o mnie. Nigdy jednak nie zdołałem wystukać więcej niż sto słów na minutę. Kiedy piszę pod dyktando, są w nim wszystkie niezbędne litery, ale nie zawsze we właściwym porządku, więc nie ma w tym wiele sensu. Po prostu mój mózg nie potrafi tak pracować. Pracuję szybko i umiem błyskawicznie przebierać palcami, ale brakuje mi dokładności. Słowa się zlewają, zapominam o odstępach. Nauczyciel od maszynopisania był przekonany, że się nie staram. A ja wiem jedno: że nie mogę robić wszystkiego w pośpiechu. Muszę po prostu pracować w określonym rytmie, bo inaczej nic z tego nie wychodzi.

Zupełnie inaczej było z nielicznymi dziewczętami w naszej szkole. Mogły się one uczyć w klasie o profilu handlowym, gdzie wprawiały się w maszynopisanie i stenografię. Ja sam „czasowo” dawałem sobie ze stenografią radę, ale tak naprawdę nie była to prawdziwa stenografia, bo nie używałem skrótów i nie stosowałem żadnej metody, ani Gregga, ani Pitmana. Po prostu zapisywałem słowa najszybciej, jak umiałem.

Dałem sobie więc spokój z maszynopisanem i stenografią i skupiłem się na tym, w czym byłem naprawdę dobry, ale co nie wymagało szybkości, tylko koncentracji i zrozumienia, jak matematyka, chemia czy fizyka. Uwielbiałem całki i różniczki, których nauczyłem się z podręcznika, z pomocą opiekuna klas matematycznych.

W Drexel, w szkole, do której mnie posłali, zacząłem się powoli stawać pupilem wszystkich, ulubionym dwunastoletnim dziwadłem. Moja biedna matka nie mogła tego zrozumieć. Cała wyższa matematyka i trygonometria oparta jest na regułach, nie na ściganiu się, a mi jednak szło doskonale. Skończyłem szkołę jako najlepszy w klasie, specjalnie się nawet nie starając. Wiedziałem już, że nie mogę polegać tylko na swojej szybkości.

Skończyłem szkołę w Drexel z najwyższym wyróżnieniem, kiedy miałem szesnaście lat. Nie sądzę, żeby ktokolwiek naprawdę mnie rozumiał. Przeważnie dręczyło mnie poczucie winy, próbowałem zwolnić, uspokoić moje ciało i umysł, ale nie było to łatwe. Najczęściej posługiwałem się różnymi sztuczkami polegającymi na szybkości.

Tymczasem wybuchła wojna i postanowiłem w niej jakoś uczestniczyć. Poszedłem do punktu mobilizacyjnego, ale mnie nie przyjęli. Przede wszystkim, choć skończyłem szkołę w Drexel, byłem o wiele za młody. Jedną z poważnych przyczyn, dla których mnie nie przyjęli, było podobno to, że nie umiałem pływać. Nie lubiłem wody. Nie lubiłem też prowadzić samochodu, bo prawie wszędzie mogłem dotrzeć pieszo, i to zwykle szybciej.

Jeden z nauczycieli sugerował nawet, że właściwie to próbuję wymigać się od wojska, bo te



wszystkie powody nie miały dla niego sensu. W każdym razie to, że nie umiałem pływać ani prowadzić samochodu, uchroniło mnie na razie od wojska, co, jak się okazało, wyszło mi tylko na dobre.

W końcu musiałem przynieść wszystkie swoje świadectwa, począwszy od podstawówki, a skończywszy na Drexel, zanim w ogóle zaczęli ponownie rozpatrywać moją kandydaturę. Gwardia Narodowa nie była jednak aż taka drobiazgową i przyjęli mnie w końcu. Spodziewałem się, że przejdę jakieś szkolenie na poligonie, że będzie jakiś obóz ze spaniem w namiotach i przy ognisku, ale nie, nic podobnego się nie wydarzyło. Spotykaliśmy się tylko dwa razy w tygodniu w zbrojowni razem z chłopakami, którzy próbowali się wykręcić od wojska i których i tak prawdopodobnie wysłali później na front.

Bardzo byłem ciekaw, z jaką szybkością leci pocisk i ile czasu upływa od chwili jego wylotu z lufy do momentu uderzenia w cel. Szybkość mnie fascynowała.

Nikt tego nie wiedział. Wiedzieli tylko tyle, że kiedy się wyceluje i naciśnie spust, pocisk za sprawą jakichś czarów trafia od razu w cel. Przeczuwałem od samego początku, że z tym wojskiem to jakaś bzdura.

Wszystko, co robiliśmy, wydawało mi się nieprzyzwoicie wprost ślamazarne. Wiedziałem, że większość z nich uważa mnie za narwanego faceta, który wszystko potrafi popsuć. Mój sierżant z Gwardii Narodowej wyczuwał, że w moim podejściu do tego, co mnie czekało, jest element lęku. I nie bardzo się mylił. Wiedziałem, że to, co wydaje się błogosławieństwem, bywa czasami przekleństwem. Po kilku tygodniach moi przełożeni uznali, że powinienem wstąpić do Ćwiczebnego Korpusu Rezerwy w Drexel. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zbliżam się do wojska, przechodzę do czegoś w rodzaju obrony cywilnej, i pogodziłem się z tym. Wiedziałem, że mogę zostać w oficerskiej szkole technicznej w Drexel, ale to było dla mnie zbyt nudne zajęcie. Chciałem czegoś więcej. Udział w paradzie wojskowej był dla mnie prawie niemożliwy. Zwykle albo wysuwałem się przed szereg, albo zostawałem z tyłu. Wydawało się, że nie potrafię znaleźć złotego środka, czyli poruszać się jak robot, czego od nas wymagano. W miarę jak dojrzywałem, zaczynałem sobie uświadamiać istnienie granic czasu, w jakich według oczekiwań musiałem funkcjonować. Tymczasem mnie od razu gdzieś niosło i marzyłem tylko o tym, żeby uciekać.

Bardzo męczące było na przykład jedzenie w wojskowej stołówce. Jadłem w tempie, które wydawało mi się rozsądne, podczas gdy inni po prostu bawili się jedzeniem. A w wojsku obowiązywała zasada, że nie można było wstać od stołu, dopóki wszyscy nie skończyli. Tak więc znów znalazłem się w sytuacji, kiedy musiałem czekać na innych.

W końcu po wielu próbach dostosowania się do ogólnego tempa życia zakończyłem podstawowe ćwiczenia, mimo wszelkich wahań i wątpliwości. Zupełnie nie odpowiadałem wymaganemu wzorcowi, byłem więc pewien, że mnie wyrzucą, i prawdę mówiąc, chwilami

chciałem, żeby to zrobili. Miałem wtedy siedemnaście lat i nawet od zwykłego siedemnastolatka nie można było wymagać cierpliwości i rozważności, a co dopiero ode mnie, istnego demona szybkości.

Kiedy wreszcie skończyłem z Gwardią Narodową, wcielono mnie do regularnej armii; dostałem numer i tak dalej, do dziś go zresztą pamiętam: 13 200 233. Zorientowałem się też, że każda z tych liczb ma określone znaczenie i że w pewien sposób opisuje moje życie. Było to zupełnie jak piętno, które wypala się bydłu. Trzynastka oznaczała, że jestem ze stanu Pensylwania i że zaciągnąłem się do wojska pomimo manipulacji facetów z komisji. Co oznaczają pozostałe liczby, nie byłem pewien.

Pamiętam, że dali nam wtedy nowiutkie mundury, bardzo sztywne, zupełnie inne niż te wytarte, sprane łachy, które zafasowałem od Gwardii Narodowej. Złożyłem przysięgę i natychmiast mnie pouczono, że ten nowy mundur jest od teraz moim regulaminowym strojem i że nie wolno mi nosić publicznie innego ubrania, bo odbiorą mi mundur i stanę przed sądem wojskowym.

Mówi się: wpadł jak śliwka w kompot – i to było dokładnie to. Musiałem nawet nosić wojskową bieliznę, która składała się między innymi z kalesonków typu bokserki, strasznie ciasnych w pasie. Moje zwykłe dżokejskie gatki stały się nagle biletem do paki albo przepustką do czegoś jeszcze gorszego. Miałem wrażenie, że całkiem mimo woli trafiłem do czegoś w rodzaju więzienia. Pokazali mi, jak prawidłowo salutować, dokładnie instruując, które palce powinny znaleźć się na wysokości brwi, w jakiej odległości i pod jakim kątem. No i jeszcze trzeba było wiedzieć, komu salutować, nawet jeśli żadnego z tych gości nie znałem. Dopiero różne ograniczenia uświadomiły mi, jak swobodne wiodłem dotychczas życie, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy.

W mundurze czułem się tak, jakbym grał w jakimś szkolnym przedstawieniu. Sprawa była jednak poważna i uczyłem się akceptować ten fakt. Zastanawiałem się, dlaczego nie interesuje ich już moja reputacja „Śmigacza”, dzięki której tak długo trzymałem się z dala od podobnych spraw. Teraz wcielili mnie do armii USA, czy mi się to podobało czy nie, i mogłem się stamtąd wydostać co najwyżej po to, żeby trafić do więzienia. Nie była to sytuacja przyjemna dla człowieka takiego jak ja.

Po pewnym czasie, dość niespodziewanie, polecono mi stawić się w ciągu pięciu dni w Zbrojowni Gwardii Narodowej, żeby znów złożyć przysięgę i dostać przydział do jednostki. Wszystko wymykało mi się z rąk. Stopniowo pakowali mnie w sytuację, z której nie było wyjścia. Zaczynałem się zupełnie poważnie zastanawiać, czy nie warto by zbiec, znaleźć jakieś ustronne miejsce, gdzie nikt mnie nie znał, i przeczekać wojnę. Ale wiedziałem, że to niemożliwe. Ja – dezterterem! Słowo to kojarzyło mi się ze słowem *desert*, pustynia, a przecież w Pensylwanii nie było żadnej pustyni i zacząłem sobie zdawać sprawę, że ucieczka jest

nierealna, że byłbym więźniem w swoim własnym kraju.

W końcu zdecydowali, że pora mnie jakoś wykorzystać: dali mi nowy mundur i zaczęli mnie przygotowywać do wysyłki na front. Byłem w tym czasie jakby odrętwiały. Nie miałem też pojęcia, dokąd mnie wyślą. Innym moim problemem było bowiem to, że nigdy nie zwracałem uwagi na szczegóły.

Wiem tylko, że nim się obejrzałem, załadowali nas na wielkie okręty, gdzie leżeliśmy na kojach jak śledzie jeden na drugim, zamknięci w trzewiach tych olbrzymów. Uświadomiłem sobie, co się ze mną dzieje, dopiero wtedy, kiedy poczułem, jak zaczyna nami huścić, zupełnie jakbyśmy jeździli w górę i w dół jakąś oszalałą wiatrą. Byliśmy wszyscy chorzy i wystraszeni. Nie mogłem też znieść tego, że jesteśmy zamknięci. Byłem uwięziony w metalowym pudle płynącym przez ocean. Cały czas rozmyślałem o tym ponuro, leżąc na najwyższej, siódmej od podłogi pryczy w ciasnej kajucie, w której było duszno, cuchnęło wymiocinami i potem.

Podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność, choć powiedzieli nam później, że był to jeden z najkrótszych rejsów, bo płynęliśmy liniowcem *Queen Elizabeth*, jednym z najszybszych w tamtych czasach, i to bez eskorty, bo niszczyciele nie mogłyby za nami nadążyć. Trudno mi było w to uwierzyć, bo pomijając to, że huściło nami jak diabli, w przód i w tył, w górę i w dół, miałem wrażenie, że w ogóle się nie poruszamy. Odczuwalny ruch robił się tylko wtedy, kiedy stawaliśmy w kolejkach w zatłoczonej mesie, czekając godzinami na jedzenie. CZEKAJĄC!

Kiedy wreszcie dopłynęliśmy i znaleźliśmy się gdzieś w Anglii, wszystko jeszcze bardziej zwolniło. W obozie panował większy dryl, maszerowaliśmy, udając żołnierzy, w tempie, które wszyscy oprócz mnie uważali za normalne. Zacząłem podejrzewać, że facetom, którzy nas ćwiczyli, wcale nie zależało na tym, żeby wojna się skończyła, i że celowo powłóczyli nogami, by to wszystko trwało w nieskończoność. Takie miałem przynajmniej wrażenie później, kiedy wypadki potoczyły się tak szybko, że zupełnie mnie zaskoczyły.

Niemal słyszałem, jak w mojej głowie tyka zegarek, który chodził bez przerwy, bez względu na to, co robiłem. Nie przestawał chodzić nawet wtedy, kiedy zasypiałem. Coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, że czekanie na wszystko to dla mnie męka. Wiedziałem, że gdybym zbiegł, uznano by mnie za dezertera. Nawet jedzenie było torturą. Siadałem do stołu i zjadałem, co mi podali, ale nie wolno mi było wstać ani wyjść z mesy bez rozkazu. Ktoś, sam nie wiem kto, pilnował, żebym wypełnił czas, który mi wyznaczyli. Doprowadzało mnie to do szału.

W końcu zaczęliśmy się przygotowywać do inwazji przez Francję. Wszystko nabrało rozpędu. Wpadłem w dziwną euforię, a potem w moim mózgu nastąpiło coś w rodzaju krótkiego śpięcia. Zanim się obejrzałem, wylądowaliśmy w wodzie; popędziłem plażą w tłumie otaczających mnie ziomków, ledwie sobie uświadamiając w ulewie świszczących mi koło uszu pocisków i szrapneli, że mam karabin.

Podniecony, wyobrażałem sobie, że walczę z całą niemiecką armią, zupełnie jakby Niemcy

zajęli swe pozycje tylko dla mnie! To był jakiś kompletny obłąd.

I znów, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, pognałem, kryjąc się, i dosłownie przekopałem się przez plażę, zupełnie jak suseł albo kret, aż znalazłem się za niemieckimi bunkrami, za linią umocnień. Pewnie pędziłem tak szybko, że Niemcy po prostu mnie nie zauważyli, bo znów stałem się niewidzialny dla normalnych oczu.

I oto nagle znalazłem się sam za pozycjami Niemców, podczas gdy inni posuwali się w normalnym tempie plażą za moimi plecami. W końcu padłem na ziemię; gdyby mnie ktokolwiek spostrzegł czy obserwował od jakiegoś czasu, pomyślałby, że jestem ranny. Nie ruszałem się, nie próbowałem przedzierać się dalej. Przekonałem jakoś sam siebie, że jestem naprawdę niewidzialny, więc tylko przywarłem mocniej do piasku i kamieni.

Najprawdopodobniej udawałem sam przed sobą i przed innymi, że nie żyję, co było z mojej strony bardzo głupie. Nie wiem, jak długo tak się kryłem przed resztą i przed samym sobą.

Kiedy w końcu oprzytomniałem, stwierdziłem, że stoją nade mną trzej Niemcy i patrzą na mnie, nie wierząc własnym oczom. Ręce mieli założone za głowy, karabiny dyndały im zwieszane na ramionach. Panujący dookoła potworny zgiełk i zamęt oszołomiły ich prawdopodobnie tak samo jak mnie. Wstałem ostrożnie i wycelowałem w nich karabin; zaczęli się cofać w stronę plaży, jakby naprawdę byli moimi jeńcami.

Kiedy dotarliśmy do brzegu, wskoczyłem razem z nimi do jakiejś szalupy i tak, całkiem po prostu, wróciłem z całą trójką na jeden z naszych macierzystych okrętów, na których tu przyplłynęliśmy. Przez cały czas miałem nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto mi wyjaśni, co się właściwie dzieje. Niemcy odłożyli karabiny, ostrożnie, żeby nikt przypadkiem nie pomyślał, że sięgają po broń, żeby zaatakować. Do dziś nie wiem, co ci faceci sobie myśleli. Wciąż nie byłem na tyle dojrzały, żeby uświadomić sobie w pełni, że jestem prawdziwym żołnierzem. Z drugiej strony dowiedziałem się później, że do oddziałów broniących wybrzeża powołano wielu bardzo młodych i starych Niemców, choć byli do tego nie przygotowani, i może dlatego tak łatwo mi poszło.

Tak czy inaczej, załadowali nas wszystkich na jeden z biorących udział w inwazji okrętów. Ci Niemcy byli chyba jedynymi jeńcami pojmanymi przez Amerykanów w dniu desantu.

Niestety, w ogólnym chaosie, który panował na okręcie, także mnie wzięto za jeńca. Musiałem teraz tak wszystkim pokierować, żeby dotarło do nich, że ja jestem Amerykaninem. Nie było to zbyt trudne, po prostu wmieszałem się między chłopaków z załogi. Pomyśleli pewnie, że coś się tu pochrzaniło, i z mojego punktu widzenia tak właśnie to wyglądało.

Trzeba było jeszcze innych manewrów z mojej strony, żeby jakoś to wszystko wyprostować, dość, że w rezultacie dalszego zamieszania cztery dni później uczestniczyłem w kolejnym ataku.

Powiedziałem moim nowym kolegom, że zgubiłem się pierwszego dnia i że przypadkiem znalazłem się na ich odcinku plaży. Ale przez dwa tygodnie, zanim się wszystko wyklarowało,

zamartwiałem się, że mnie znajdą i zastrzelą, powieszą albo jeszcze coś innego.

Nic podobnego się jednak nie stało. Wręcz przeciwnie, porucznik, który dowodził tym oddziałem, wyróżnił mnie w rozkazie dziennym za moją błyskawiczną akcję i awansowałem na sierżanta. Naszyli mi na pagony dystynkcje; był to nagły zwrot w moim wojskowym życiu. Można by powiedzieć, parafrazując Burnsa, że „nawet najgorzej obmyślane plany myszy i ludzi...” i tak dalej. Kiedy wreszcie przyszedł czas powrotu do mojego macierzystego oddziału, kompanii L w 345 pułku, porucznik zadbał o to, żebym zachował swój nowy stopień. Zaczynałem się czuć jak prawdziwy żołnierz.

Jedynym mankamentem całej tej sytuacji wydawało się to, że dowódca uparł się, żebym został pierwszym zwiadowcą drugiego plutonu, czyli facetem, który ma pod sobą wszystkie patrole i oddziały zwiadowcze. Myślę, że zrobiła na nim wrażenie moja szybkość i zdolność stawania się mniej lub bardziej niewidzialnym.

W gruncie rzeczy jednak nawet mi to odpowiadało, bo w końcu zacząłem robić coś, co naprawdę umiałem. Ćwiczyłem cały pluton na różne sposoby, tak żeby żołnierze opanowali sztukę stawania się niewidocznymi. W piechocie umiejętność krycia się i umiejętność szybkiej ucieczki należą do najważniejszych.

Prawie wszyscy nie znosiliśmy tego drylu, tego smarowania twarzy błotem, sterczenia absolutnie nieruchomo w różnych zagajnikach albo rozplaszczania się na ziemi tak, że człowiek stawał się dosłownie niewidzialny. Robiłem to jednak, choć wcześniej w ogóle nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. Szczerze mówiąc, nawet mi się to spodobało. Przypominało zabawę w chowanego, w której już wcześniej wykorzystywałem swoją szybkość, żeby być najlepszym.

Zeszliśmy z plaży w pobliżu miasteczka Saint Lo. Nigdy nie słyszałem o świętym tego imienia, ale tak właśnie miasteczko się nazywało. Także tam walki były zacięte. Amerykanie ginęli jak muchy. Mnie udawało się jakoś przemykać, prowadziłem patrole i wykonywałem inne zadania, głównie jednak starałem się być niewidocznym, nawet w takich okolicznościach. Było to straszne miejsce, w jakim wolałbym się nigdy nie znaleźć. Chyba wreszcie uświadomiłem sobie, przed czym tak próbowałem od urodzenia uciekać.

I udało mi się przeżyć. W końcu zajęliśmy to miasteczko świętego Lo, po czym zapakowali nas do dwóch ciężarówek i powieźli w głąb Francji. Widywaliśmy nawet francuskich cywilów, a przede wszystkim uciekliśmy od czegoś, co zaczęliśmy już kojarzyć z typowym niebem nad Francją, czyli spod nieba szarego od fruujących odłamków i pocisków. W tamtych dniach wystarczyło, że ktoś w pobliżu odezwał się głośniejsze, żeby człowiek zaczynał wkręcać się w ziemię jak robak. Naprawdę wiele się wtedy o sobie dowiedziałem.

Przekonałem się, że mogę usłyszeć nie tylko świst wystrzelonego pocisku, ale nawet szczęk zamka, kiedy nabój wsuwał się do komory. Wiedziałem, że to coś w rodzaju obłędu, ale tak

właśnie było: często kulilem się instynktownie i robiłem raptowne uniki, bo zdawało mi się, że coś słyszę. Właściwie trzeba się było uchylać prawie cały czas. Nieraz ocaliło mi to życie, nie tylko zresztą mnie, ale i moim kolegom.

Cały pluton nauczył się padać na ziemię, kiedy ja się kulilem, bo wszyscy byli przekonani, że słyszę nadlatujące pociski. Moje uszy wychwytywały świst kuli wcześniej niż świadomość, a może nawet słyszały ją wcześniej niż Niemiec, który ten pocisk wystrzelił. Było to coś tak niewiarygodnego, że nawet się o tym nie mówiło. Dawało też pewne pojęcie o tym, jak niesamowite rzeczy mogą się zdarzać podczas walki. Jeśli człowiek wierzy, że coś takiego może mu ocalić życie, to słyszy wszystko, bez względu na to, jak bardzo wydaje się to niemożliwe. Robiłem uniki nawet przed samym wystrzałem, niczym jakiś Superman albo ktoś w tym rodzaju.

Miałem jednak jeszcze inny problem: właściwie w ogóle nie radziłem sobie z karabinem. Nie mogłem trafić nawet we wrota stodoły. A tymczasem obok nas fruwały chmury żelastwa, bardzo groźne, mimo że byłem przekonany o swojej nietykalności. I oczywiście, jak się pewnie domyślacie, w końcu oberwałem. Nie było to nic poważnego, po prostu niewielki odłamek utkwiał mi w nadgarstku.

W punkcie medycznym oczyścili mi ranę i unieruchomili rękę w przegubie. Wzięli po prostu parę szczypiec i wyciągnęli odłamek. Nawet nie poczułem kiedy. Założyli mi coś w rodzaju opatrunku i posłali z powrotem na linię. Ale cieszyłem się nawet z tak krótkotrwałego urlopu od działań wojennych.

Nasz porucznik bardzo się na mój widok ucieszył. Nie wiem, czy dlatego, że potwierdziła się moja rzekoma nietykalność, czy też dlatego, że naprawdę potrzebowali akurat tego a nie innego pierwszego zwiadowcy. Ja jednak uświadomiłem sobie, że mogę odnieść rany, że nie jestem nietykalny, ale to nie miało już większego znaczenia. Bardziej przejmowałem się tym, że jestem celem dla ludzi, których nawet nie znałem. Najważniejszą rzeczą, jakiej nauczył mnie ten mały kawałek metalu, było to, że trafienie boli. Pomyślałem też, że teraz pewnie przedstawią mnie do odznaczenia purpurowym serduszkami i może chcąc nie chcąc, zostanę uznany za bohatera.

Zanim dotarliśmy do Paryża, cała kompania, łącznie z dowódcą, nabrała przekonania, że jeśli tylko będę pilnie nasłuchiwał i szybko reagował, nie grozi im śmierć. Znalazłem się w dziwnym położeniu, bo sam już w to przestałem wierzyć. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, wiedziałem tylko, że jest to coś, czego nie rozumiem, i nie zamierzałem zadawać zbyt wielu pytań. Zawrócono nas spod Paryża, żeby Francuzi mieli poczucie, że to oni sami wyzwolili miasto. Miało to dla nich wielkie znaczenie, było sprawą życia lub śmierci, a także pożądanym zwrotem i odmianą po stratach, jakie ponieśli. A poza tym mieli swoisty kompleks militarnej niższości, który zaszczepili im w ciągu czterech lat okupacji Niemcy.

Nie dałem się jednak zwieść pozorom. Wiedziałem, że może mi się coś stać, i bałem się tego.

Kontynuując ofensywę, przeszliśmy przez Saarę i zawadziliśmy o Liechtenstein, aż doszliśmy do fortyfikacji obronnych Niemców, które nazywały się linią Zygfryda. Okopali się tam i usadowili w bunkrach, jeszcze trudniejszych do zdobycia niż te, które widzieliśmy w Normandii. A więc my też się okopaliśmy i zaczęliśmy prowadzić tę staroświecką, podobną do pierwszej światowej wojnę, polegającą na tym, że nasza artyleria ostrzeliwała pozycje niemieckie, a niemiecka nasze.

„Okopane” były również czołgi, które staczały bitwy na obszarze dzielącym nasze linie. Była to prawdziwa wojna i znaleźliśmy się w samym jej środku. Kiedy nie staliśmy na warcie ani nie patrolowaliśmy okolicy, siedzieliśmy przyczajeni w piwnicach. Obie strony nieustannie wysyłały patrole. Wyglądało to naprawdę tak, jakbyśmy robili powtórkę z pierwszej wojny. Jako specjalista od patroli nie stałem zbyt często na warcie, ale prawie co noc chodziłem na małe nocne zwiady, które nazywaliśmy „tygrysimi”. Nie było w nich nic tygrysiego. Powiedziałbym raczej, że mieliśmy pietra jak nowo narodzone kociaki.

Po trzech dniach straciliśmy na tych umocnionych pozycjach dowódcę kompanii, którego rozerwała mina, i wtedy awansował na dowódcę mój przyjaciel. Jeśli można coś takiego nazwać awansem – bo oznaczało to tylko większe ryzyko, że zginie. I zginął!

Ja zostałem dowódcą naszego plutonu i wyznaczono mi odpowiedzialne zadania. Wolałem nie myśleć, jak by się czuli koledzy, gdyby się dowiedzieli, że dowodzi nimi facet, który nie ma jeszcze nawet osiemnastu lat! Dla mnie było to prawie tak samo paskudne uczucie, jak świadomość, że wbrew temu, co o mnie myślą, nie mogę się stać niewidzialny ani zniknąć.

Od samego początku zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam właściwie pojęcia, co się tak naprawdę dookoła mnie dzieje.

Wojna to nie tylko piekło, to także coś absolutnie głupiego i zawilego.

A potem wydarzyło się to, co zdawało się niemożliwe. Usłyszałem wprawdzie wystrzał z działa i świst pocisku, ale mimo to nie zdążyłem uciec i spadł on tuż za mną. Mnóstwo odłamków wbiło mi się w ciało. Nie wiem, czy się przewróciłem, ale kiedy wróciła mi świadomość, zacząłem się czołgać, starając się odpełznąć w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Miałem z sobą dwóch niemieckich jeńców, którzy byli tak samo przerażeni jak ja, kiedy zacząłem ich prowadzić w stronę naszych stanowisk. Nie uszliśmy daleko.

Rzuciłem na ziemię karabin i pas z amunicją, bo musiałem użyć obu rąk, żeby przytrzymać swoje wnętrzności. Nagle wyskoczyło mi coś podobnego do podwójnej przepukliny: jelita próbowały mi wypłynąć pomiędzy poszarpanymi mięśniami. Powstrzymałem je oburącz, nie mogłem się wyprostować, świat wirował mi przed oczami.

Wreszcie dotarłem do jakichś sanitariuszy, którzy pętlili w moją stronę, żeby udzielić mi pomocy. We dwóch wsadzili mnie na jeepa. Położyli mnie na wysuwanych noszach, po czym ruszyliśmy, podskakując na wertepach. Dali mi zastrzyk z morfiny i skropili ranę jakimś środkiem odkażającym. Co chwilę traciłem przytomność, ale dowieźli mnie w końcu w jakieś

bezpieczne miejsce. Po długiej podróży ambulansem i zaaplikowaniu kolejnego zastrzyku morfiny ulokowali mnie w normalnym szpitalu, gdzie chirurdzy usunęli dwa większe odłamki, które wbiły mi się w trzewia. Co dziwne, nawet mnie specjalnie nie bolało. Może dzięki tej morfinie. Nauczyłem się jednak czegoś, co pozostało dla mnie ważne na całe życie, a mianowicie, że każdy narażony jest na rany lub śmierć, bez względu na to, czy o tym wie czy nie, ale fakt, że się o tym wie, może czasami pomóc.

Wojna była dla mnie skończona; po pewnym czasie przetransportowali mnie do szpitala weteranów w Los Angeles przy Sepulveda Boulevard. Kiedy ja zabawiałem się w cel artyleryjski, moi rodzice przeprowadzili się akurat tam, do Kalifornii. Lekarze przebadali mnie na wszystkie strony, żeby ustalić, co jest przyczyną zachwiania równowagi i bezpowrotnej utraty mojej dawnej niewiarygodnej szybkości. Nie znaleziono żadnych naprawdę zadowalających wyjaśnień tego stanu rzeczy. W końcu, po wielokrotnych encefalogramach i nie kończących się badaniach, podczas których pompowano mi do uszu gorącą i zimną wodę, co wywoływało takie zawroty głowy, że aż mnie mdliło, zakłócenia równowagi stały się tak silne, iż nie mogłem normalnie funkcjonować. W sensie dosłownym wojna się dla mnie skończyła, ale w taktycznym dopiero się zaczynała.



## Rozdział II

Po niezliczonych testach i badaniach, jakim mnie poddano podczas stanowczo zbyt długiego pobytu w szpitalu, lekarze uznali, że bez względu na to, co mi dolega, nie mogę podjąć studiów na wydziale historii sztuki Uniwersytetu Kalifornijskiego. Nie mogli uwierzyć, że to, czego tak boleśnie doświadczałem, nie jest jakimś urojeniem.

Odnaczyli mnie symbolem honorowego zwolnienia do cywila, purpurowym serduszkciem, i dodali brązową gwiazdę za odwagę, które to odznaczenie było również, jak się orientowałem, czysto honorowe. Ha!

Uznali mnie ponadto za pięćdziesięcioprocentowego inwalidę! Zachodziłem w głowę, w jaki sposób wyszła im akurat taka liczba. Gdyby mi urwało rękę albo nogę, gdybym stracił wzrok, byłoby to łatwiej obliczyć. Ale moje kalectwo było niewidoczne. Nie miałem jednak racji, bo wbrew swoim wyobrażeniom byłem rzeczywiście inwalidą.

Oznaczało to, że odtąd państwo miało pokrywać nie tylko koszty mojego utrzymania, ale także wydatki na materiały malarskie – a do tego dostawałem jeszcze sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Byłem zatem człowiekiem bogatym, wprawdzie kaleką, ale krezusem, w tym sensie, że miałem więcej pieniędzy, niż mogłem wydać. Wciąż nie wiedziałem, podobnie zresztą jak oni, co mi właściwie jest. Myślę, że chcieli po prostu mieć mnie z głowy. Wyobrażałem sobie, że dla ambitnego lekarza wojskowego brak rozpoznania choroby jest zawodową porażką.

Pewien neurolog i zarazem psychiatra doszedł nawet do wniosku, że udaję. Trudno dziś uwierzyć, jak wielką rolę odgrywały w tamtych czasach irracjonalne domysły w tak zwanych naukowych badaniach, zwłaszcza jeśli badaczem był wojskowy. To właśnie wtedy odkryłem, że choć według normalnych kryteriów jestem nadal szybki, nie jest to już ta szybkość, z którą wiązałem swoje plany życiowe. Ta moja szczególna cecha dawała mi zawsze poczucie dystansu wobec tego, co pospolite i zwyczajne. Nagłą zmianę zaakceptowałem z mieszanymi uczuciami straty i jednocześnie ulgi. Stopniowo zacząłem się przyzwyczajać do nowej sytuacji.

Jeśli chciałem studiować malarstwo, co było dla mnie wyborem oczywistym, musiałem ponadto dowieść, że potrafię rysować. Po testach z ołówkiem i kartką papieru stwierdzili z wielkim przekonaniem – i co gorsza bardzo mnie do tego zachęcali – że powinienem podjąć jakieś bardziej konkretne studia, na przykład medyczne lub prawnicze.

Mogłem oczywiście narysować lub skopiować dowolną rzecz, gdyby mnie o to poprosili. Takie sprawdziany jak test Meyera Dohnera nie pozwalały jednak precyzyjnie określić moich umiejętności, a taką właśnie próbę musiałem przejść, jeśli chciałem dowieść, że nie straciłem uzdolnień artystycznych. Byłem naprawdę w podwójnym klinchu. Czułem się tak, jakbym stracił całkiem albo przynajmniej częściowo zdolność tworzenia. Była to kolejna strata, trudniejsza do zaakceptowania niż utrata szybkości, która wpłynęła na mnie tak otepiająco. Czułem, że nie

jestem już tym samym człowiekiem i że najwyraźniej żadne próby koncentracji ani najsilniejsze nawet pragnienia nie mogą tego odwrócić.

Miałem coraz poważniejsze kłopoty z chodzeniem. Doszło do tego, że mogłem chodzić tylko z pomocą różnego rodzaju podpórek. Musiałem też uważać na nierówności chodnika, bo łatwo traciłem równowagę i upadałem. Te upadki stawały się coraz częstsze i były nie tylko niebezpieczne, ale krępujące.

Podobnie jak moja matka w czasach, kiedy byłem dzieckiem, nosiłem w kieszeniach mnóstwo plastrów, opatrunków i bandaży, żeby opatrywać skaleczenia po każdym upadku. Jeden z badających mnie neurologów powiedział, że jego zdaniem zanim ewentualnie nastąpi poprawa, mój stan na jakiś czas się pogorszy.

W każdym razie nawet próby ustalenia, na czym polega mój problem, były dla mnie co najmniej kłopotliwe.

Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że źródłem wszelkich moich problemów jest wiara, iż jako człowiek niepodatny na destrukcję mogę przeskoczyć sam siebie. Padłem ofiarą tego złudzenia.

Aby zwalczyć to irracjonalne przeświadczenie, zostałem artystą, bo w sztuce granice pomiędzy prawdą a zmyśleniem są płynne, i to w pewnym sensie pozwala rozładować napięcie. Oddałem się bez reszty postrzeganiu zewnętrznego, widzialnego świata i w ten sposób przezwyciężyłem swój problem.

Z upływem lat, w miarę jak się starzałem, odzyskiwałem kontrolę nad swoim organizmem, posługując się szczątkowym zmysłem równowagi i wykorzystując ostrość widzenia do zachowania sprawności na wybranych przez siebie obszarach, czyli twórczości malarskiej, a później pisarskiej. Dopóki nie brałem na siebie zbyt ciężkich obowiązków, było znośnie. Wielu z moich najbliższych przyjaciół przez długie lata nie uświadamiało sobie, jakie czyniłem wysiłki, żeby się przystosować. Byłem uzależniony od wrażliwości podszew moich stóp na informacje o rodzaju każdej powierzchni, po której próbowałem się przemieszczać. Większość ludzi jest raczej niewrażliwa na takie rzeczy i nikt nawet nie zauważał, a tym bardziej nie komentował moich niepewnych kroków ani częstych potknięć i upadków.

Uważano mnie po prostu za niezdarę. Ale moje obrazy, w miarę jak nabierały coraz więcej realizmu, niejako kompensowały ludziom to moje względne niedołęstwo.

Znałem z własnego doświadczenia uczucie utraty równowagi i wiedziałem, czym jest nadwrażliwość na dźwięki lub na wszystko to, co uważałem za zaburzenia w stabilności fizycznego świata. Nauczyłem się żyć w czymś w rodzaju własnej rzeczywistości, w której bardzo często występowały zakłócenia tego, co przeważnie uważamy za statyczne, niezmiennie.

Kiedy po raz pierwszy przeżyłem trzęsienie ziemi w Kalifornii, ledwie je zauważyłem. „Cóż w tym takiego nadzwyczajnego? – zapytałem. – Ja nic nie odczułem”.

Moją pierwszą osobistą próbę przeszedłem w jakiś rok po powrocie do kraju, kiedy wciąż jeszcze chwiałem się na nogach i nie mogłem ustać przez dłuższy czas w miejscu.

W takim to stanie poszedłem na kampusową bieżnię, z której korzystali studenci, zanim powstał obiekt zwany stadionem Drake'a. Ducky Drake był długoletnim trenerem biegaczy, powszechnie uwielbianym i szanowanym. Pozwolił, żebym ćwiczył z akademicką drużyną biegaczy. Miałem stare kolce i dres. Ponieważ był to wówczas powszechnie noszony strój treningowy, mogłem pozostać praktycznie nie zauważony. Dołączyłem do biegaczy, którzy przygotowywali się do sztafety, i zacząłem z nimi trenować. Mogłem oszukiwać sam siebie przez pierwsze pięćdziesiąt jardów, biegnąc z grupą zawodników i wykorzystując swoją przyrodzoną szybkość, dotrzymywać im kroku. Potem jednak zaczynałem się zataczać, zupełnie jak samochód, który złapał gumę, albo bąk, który traci obroty. Po stu jardach zniknęła całkowicie synchronizacja z grupą i stawałem się zagrożeniem dla każdego, kto znalazł się blisko mnie. Nie mogłem w to uwierzyć. Z upośledzeniem tak tajemniczej natury trudno człowiekowi żyć. Po pięciu czy sześciu próbach dałem za wygraną, wróciłem do sali gimnastycznej, zdjąłem swój strój biegacza i zacząłem dociekać, co jest ze mną nie tak.

Upłynęło dużo czasu, nim naprawdę pogodziłem się ze swymi ograniczeniami i tym, że są one trwałe. Do tej pory wiodłem bardzo satysfakcjonujący żywot i trudno się było go wyrzec. Następnego dnia po biegu poszedłem do psychologa i psychiatry w przychodni dla weteranów, ale choć obaj mi współczuli, nie znaleźli innego rozwiązania poza radą, żebym zaczął ćwiczyć chodzenie. Poinstruowali mnie, jak powinienem synchronizować ruchy rąk i nóg, co w ich przekonaniu miało rozwiązać problem. Ale nie rozwiązało. Próbowałem też chodzić z laską, choć nie miałem żadnych kłopotów z nogami. Wypróbowałem laski różnej długości i stwierdziłem, że potrzebna mi jest krótka, raczej po to, żebym mógł się podeprzeć, podnosząc się z ziemi po upadku, niż żebym mógł się prosto trzymać.

W ciągu kilku lat poddano mnie także licznym bardziej wymyślnym testom, gdyż wciąż próbowano dociec, co jest przyczyną moich kłopotów. Jedyne, do czego doszli, była teoria, że wybuch zniszczył lub uszkodził w jakiś sposób niektóre elementy ucha środkowego włącznie z przewodami półkolistymi. Była to diagnoza tak dziwaczna, że mocno powątpiewałem w jej trafność, co zresztą wcale mi nie pomogło.

Było też wielce prawdopodobne, że doznałem uszkodzenia mózgu, więc wykonali nie kończącą się serię różnego typu encefalogramów. Żeby je uzyskać, musieli najpierw przyczepić mi małe elektrody do klatki piersiowej i do głowy; stosowali przy tym różne metody, od szczypczyków do kleju. Nigdy nie mówili, jakie są wyniki tych eksperymentów. Wojskowi lekarze najwyraźniej uważają wyniki swoich badań za informacje poufne i nie ujawniają ich byle pacjentowi, a już zwłaszcza pacjentowi niskiemu rangą. Zdołałem z nich wycisnąć tylko tyle, że ich zdaniem nie doznałem wstrząsu mózgu, a przynajmniej oni nie wykryli jego śladów.

Po czterech latach wypełnionych niezliczonymi badaniami wiedziałem tyle samo, co we frontowym punkcie medycznym i w szpitalu. Nic się nie zmieniło, więc nawet dziś chodząc, muszę uważać, żeby się nie potknąć na najmniejszej nierówności; każdy próg, krawężnik, a nawet kamyk może spowodować upadek. Poddano mnie oczywiście różnym zabiegom terapeutycznym, które miały mi przywrócić pewność i łatwość chodzenia i manewrowania własnym ciałem. Jedyny wniosek, jaki płynął z tych wszystkich prób, można by podsumować tak, jak zrobił to jeden z pierwszych badających mnie neurologów. Powiedział on kiedyś: „Zanim ewentualnie nastąpi poprawa, prawdopodobnie pański stan na jakiś czas się pogorszy”. Starłem się nie okazywać rozgoryczenia z powodu tak niefrasobliwego traktowania mojej dolegliwości, bo wiedziałem, że robią wszystko, co potrafią, żeby postawić mnie na nogi. Byłem dla nich tylko jeszcze jedną ofiarą idiotycznej wojny. Czasami miałem wrażenie, że są zadowoleni z posiadania tak „trudnego” przypadku, i wiedziałem, że wzywają mnie do szpitala weteranów nie tylko po to, żeby próbować mnie wyleczyć, ale również dlatego, żeby popisać się swoim trofeum. Stało się to, czego obawiała się kiedyś moja matka – byłem dla nich czymś w rodzaju kuriozum.

Powiedzieli mi, że znają tylko siedem przypadków podobnego urazu u żołnierzy, ale wszyscy oni są głusi jak pień. Oczywiście większość tych, którzy doznali tego rodzaju szoku, jak mi to oględnie dał do zrozumienia jeden z neurologów, już nie żyła. Chciał mi uświadomić, nie mówiąc tego wprost, że powinienem się cieszyć, że żyję, a nie marudzić, że mam jakieś tam kłopoty z chodzeniem i utrzymaniem równowagi.

Wykonywałem wiele skomplikowanych ćwiczeń i musiałem trzymać głowę w ten sposób, żeby maleńkie *cilia*, to znaczy rzęski w moich przewodach półkolistych, były stymulowane i żeby wysyłały komunikaty do mózgu, ale już same sugestie lekarzy, żebym utrzymywał taką pozycję, przyprawiały mnie o zawroty głowy i mdłości.

Przypominam sobie, jak w szpitalu weteranów przy Sepulveda Boulevard sadzali mnie na krześle i wprawiali w ruch wirowy, podstawivszy mi pod brodę emaliowaną nerkę. Wirowałem tak długo, aż zakręciło mi się w głowie, i wtedy wymiotowałem. Po całej serii takich wirowań robili inne próby, wstrzykując mi do uszu zimną i gorącą wodę, po których to zabiegach nie tylko przez parę dni bolały mnie okropnie uszy, ale dostawałem takich zawrotów głowy, że w drodze do domu bez przerwy się przewracałem.

Mimo wszystkich tych zabiegów niewiele wskórano. Jedynym rozwiązaniem było dla mnie pogodzić się z tym i żyć, nie robiąc z moich dolegliwości wielkiego problemu. Z czasem prawie o nich zapomniałem. Te zaburzenia zmysłu równowagi są widoczne we wszystkich moich obrazach, ale większość ludzi, patrząc na nie, nie uświadamia sobie, że wynika to z przyczyn fizycznych, a nie z mojego szczególnego poczucia estetyki. Czytałem przeróżne rozprawki na temat deformacji u El Greca czy Vincenta van Gogha; ich autorzy próbowali dowodzić, że występujące u tych artystów odchylenia od norm percepcyjnych związane są wyłącznie z wadami

wzroku lub zakłóceniem procesów postrzegania, a nie wynikają z woli malarza. Taka opinia jest uwłaczająca dla większości artystów.

Pozostaje mi mieć nadzieję, że moich prac nie spotka taki los, że żaden drugorzędny krytyk nie podda ich tego typu analizie i nie znajdę się wśród wielkiej rzeszy malarzy, którzy zostali zdegradowani przez skazy w percepcji samych krytyków i przez ograniczenia ich systemu ocen.

### Rozdział III

Sprawia mi swoistą przyjemność głęboka wiara, że u podstaw sztuki malarskiej, jak każdej innej dziedziny twórczości, w której znajdują wyraz osobiste poglądy artysty i jego sposób widzenia, leży cała gama złożonych decyzji.

Kiedy człowiek chce stworzyć coś jednocześnie oryginalnego i komunikatywnego, musi uwzględnić tyle wariantów, że często trudno mu je rozdzielić i znaleźć taki sposób ich zaprezentowania, który byłby jednocześnie efektywny i odkrywczy i dzięki któremu jego dzieło zyskałoby walor powszechnie odczuwanego przez większość istot ludzkich realizmu.

Niemal każde doznanie wizualne, jakiego doświadczamy i które chcemy jakoś skomentować, ma charakter dynamiczny. Zmienia się nieustannie nie tylko wraz z ciągłymi zmianami załamującego się i odbijającego światła, ale także zgodnie ze zmianami, jakie zachodzą w samym twórcy, w artyście. Wszystko, co jest pod względem wizualnym, fizycznym i psychicznym odstępstwem od tego, co uznajemy za normę, artysta włącza do swojego procesu percepcji. Przy bardziej refleksyjnym nastawieniu prawie każdy z nas może nauczyć się dostrzegać te różnice, permutacje i możliwe warianty, ale w praktyce nikt ich nie widzi. Większość ludzi przechodzi obok tych zjawisk obojętnie, jakby miała klapki na oczach i używała zmysłu wzroku tylko biernie lub po to, by móc omijać przeszkody, jakimi najeżone jest życie.

Jako artysta uświadamiam sobie coraz wyraźniej, że musimy wszyscy rozwijać naszą zdolność wchłaniania otaczającego nas świata i traktować wszystko, co wchłaniamy, jako potencjalny materiał dla osobistej wypowiedzi. Doszedłem do takich wniosków, kopiując w Luwrze obrazy, które były mi najbliższe.

Jako inżynierowi i malarzowi jednocześnie, udało mi się uzyskać prawo do wnoszenia do muzeum kasety z farbami cztery razy w tygodniu. Muzeum okazało mi życzliwość, a ja nauczyłem się naprawdę patrzeć na obrazy.

Znalazł się ktoś, kto zgodził się przechowywać moje materiały, a później także moje obrazy, w murach budynku, na którego ścianach wisiły tuż obok prawdziwe arcydzieła. Nie mogłem w to uwierzyć. Ale poszedłem ze swoimi bonami weterana prosto do sklepu z materiałami malarskimi i zaopatrzyłem się w to, co niezbędne, napełniając zbierane od dawna buteleczki po lekarstwach terpentyną i werniksem. Znalazłem też dobre pędzle i rolkę dobrego płótna. Strasznie chciało mi się malować.

Naciągnąłem blejtramy, przypiąłem pasek do kasety i pomaszerowałem do muzeum, gdzie wparadowałem do środka, nie płacąc nawet za wstęp, i od razu zacząłem malować *Mężczyznę z rękawiczką* Tycjana, wenecki obraz, który zawsze podziwiałem. Zacząłem od szkicu ołówkiem, potem wykonałem podmalówkę, a w następnym tygodniu byłem gotów nałożyć impasty. Czułem się, jakbym się unosił, albo, tak jak w dzieciństwie i wczesnej młodości, BIEGAŁ.

Towarzyszyło mi też takie uczucie, jakbym mógł zrobić wszystko, co mi się zamarzy; zdawało mi się, że niebo stoi przede mną otworem. Pracowałem, nie myśląc zbyt wiele. Malowałem z taką pasją, że udało mi się oddać na płótnie wrażenie prawdziwej przestrzeni, i choć moje dzieło nie dorównywało oryginałowi, było całkiem niezłe. Rosemary, kobieta, która została później moją żoną, była tak samo rozentuzjasmowana jak ja. Czuliśmy się zupełnie tak, jakbyśmy się oboje idealnie dostroili do życia wypełnionego malowaniem, marzeniami i myśleniem o nim, tworzeniem na miarę naszych talentów.

To właśnie mogło być czymś, za czym goniłem przez całe moje życie. A z pewnością nadawało mojemu życiu sens. Zacząłem rzeczywiście opanowywać techniki niezbędne do tego, aby tworzyć owe imaginacyjne przestrzenie i móc je nazwać swoimi. Moja wyobraźnia odkryła powtórnie sposób na tworzenie tej iluzji przestrzeni wyczarowanej z pędzla, myśli, farb. Nauczyłem się stosować ciepłe barwy na pierwszym planie i uświadomiłem sobie, że naśladowuję pod tym względem niejakiego pana Tycjana. Ciemne tło natomiast rozjaśniały nieco plamy błękitu i purpury, dzięki czemu zyskiwała plastyczność i głębia obrazu.

Regulamin muzeum nie pozwalał malować obrazów w skali 1:1 ani też kopiować ich w całości. Zrozumiałem, że ma to zapobiec próbom sprzedania kopii jako oryginału. Miałem jeszcze tak słabą technikę, że w moim przypadku to niebezpieczeństwo w ogóle nie wchodziło w rachubę. Jednak paru innych kopistów, którzy, jak się przekonałem, byli zawodowcami, potrafiło odtworzyć oryginały bardzo wiernie. To wyjaśnia, dlaczego za pierwszym razem musiałem oddać swoje płótna do ostemplowania pieczęcią Luwru na wierzchu i na odwrocie. Także po skończeniu pracy musiałem przedstawić kopię do oceny. Chronili pilnie swoje oryginały i bardzo słusznie. Nie byłem prawdziwym kopistą, więc uważałem oczywiście, że nie stanowią żadnego zagrożenia. Ale ich ostrożność sprawiła, że poczułem się, jakbym był naprawdę częścią muzeum, i w jakiś paradoksalny sposób przydała mi ważności.

Nabrałem także większego szacunku do swoich prób, nawet tych najbardziej nieśmiały. Nauczyłem się stopniowo techniki, dzięki której można uzyskać wrażenie głębi, nawet kiedy dysponuje się tylko formatem metr na półtora. Przestałem się zmagać z tymi ograniczeniami i udało mi się przekonać siebie samego, że w moich niewielkich obrazach jest prawdziwa przestrzeń. Ta wiara bardzo mi pomogła. Potrafiłem stworzyć taką iluzję światła i przestrzeni, która była nie tylko imitacją, ale miała w sobie jakąś magię.

Po namalowaniu piątej kopii, Vermeera, nie przejmowałem się już wiernością mojego dzieła w stosunku do oryginału. Mój obraz miał własną rzeczywistość i każde pociągnięcie pędzla, czy to laserunkowe, czy impastowe, musiało być szczere i autentyczne, choć niekoniecznie wierne oryginałowi. Zacząłem wyczuwać, czym jest prawdziwa oryginalność.

Jedynym problemem, jeszcze jednym skutkiem tamtego wybuchu, jest to, że wciąż trzęsą mi się ręce, tak że czasem muszę odłożyć pędzel i odzyskać spokój i pewność manualną. Odkryłem,

że mój stan emocjonalny wiąże się bardzo ściśle z tą niepewnością ręki i że kiedy ciężko pracuję, trudno mi osiągnąć spokój, którego tak bardzo potrzebuję. Nawet kiedy jestem po prostu głodny, ów stan wpływa na moje malowanie.

Ale uczyłem się. Miałem przy sobie butelkę z wodą albo szedłem do jednego z kilku publicznych poidełek, a czasem po prostu do toalety, gdzie piłem wodę z kranu, podstawiwszy złożone dłonie – i niezbędny spokój natychmiast powracał.

Doszedłem do wniosku, że fizyczne osłabienie to oznaka, że nie jestem w tak dobrej kondycji, jak mi się zdawało. Zacząłem uprawiać co rano gimnastykę. Kupiłem sobie podręcznik jogi, który pomógł mi wydatnie w osiągnięciu spokoju, jakiego mi brakowało i jakiego nigdy nie odzyskałem w pełni. Uraz, jakiego doznałem na froncie, praktycznie zrujnował mi życie.

Inne ćwiczenia, jakie uprawiałem, miały związek z utratą zmysłu równowagi. Kupiłem używany rower i jeździłem na nim dookoła fontanny przed kościołem Saint Sulpice, starając się tę równowagę utrzymać; manewry, przy których rower spełniał rolę żyroskopu, bardzo mi pomagały w odzyskaniu pewności siebie. W ciągu kilku tygodni nauczyłem się jeździć równo, bez zachwiań. Dzieci na placu bawiły się, obserwując moje wysiłki, ale i trochę mi współczuły. Początkowo niektóre pakowały mi się na rower, żeby pomóc mi w utrzymaniu równowagi. Później uganiały się za mną, kiedy robiłem sobie przerwę w malowaniu. Wiedziały, że jestem malarzem, i próbowały mnie nakłonić, żebym je malował.

Przypominały mi moją siostrę i jej prośby, żebym jej coś opowiedział, więc często siadałem na ławce w parku i opowiadałem im różne historie. Kiedy byliśmy mali, dzieliłem sypialnię z siostrą i byłem jej pierwszym opowiadaczem. Dzieciom z placu opowiadałem przeważnie o malarzach, o których czytałem, próbując zgłębić tajemnicę ich umysłu i talentu, w nadziei, że coś z tego zostanie we mnie i wpłynie na moje malarstwo.

Szybko się zorientowałem, że te dzieciaki nie są przyzwyczajone, żeby ktoś im czytał na głos. Opowiedziałem im o Pissarro, o tym, jak żył w nędzy i malował na tym, co miał pod ręką, bo nie stać go było na zakup płótna. Rozwinałem odpowiednio tę opowieść, wiedząc, co może im się spodobać, i przekształciłem ją w historyjkę o tym, jak to biedak staje się bogaczem dzięki jakiejś chytrej sztuczce lub przemyślnemu planowi. Większość z nich była uboga, więc te opowieści bardzo je ekscytowały; miałem nadzieję, że uda mi się namówić któreś z nich do narysowania lub namalowania pewnych epizodów, jakie wplatałem w swoje opowieści.

Przynosiłem im papier i ołówki, nawet czasami kilka piórek, a one odwdzięczały mi się rysunkami ilustrującymi moje opowiadania. Zacząłem kupować w muzeum pocztówki z reprodukcjami moich ulubionych obrazów i rozdawać im jako nagrody za najlepszy rysunek do jednej z historii, które opowiadałem im wcześniej, albo takiej, którą usłyszały przed chwilą. Było naprawdę zdumiewające, jakie robiły postępy i jak pilnie pracowały, korzystając z ławki albo rozkładając papier bezpośrednio na ziemi. Zdawało się, że w sercach i umysłach tych malców



jest jakieś specjalne miejsce dla magii, jakiej wymagało ożywianie za pomocą rysunków moich opowiadań. Doświadczenie to okazało się dobre także dla mnie. Wpływało odświeżająco na mój sposób patrzenia, po całych tygodniach kopiowania we wnętrzach muzeum.

Moje historyjki o malarzach i obrazach nie zawsze były prawdziwe; często wysnuwałem zawiłe opowieści z wyobraźni. Czułem, że w jakiś szczególny sposób wskrzeszam obrazy tych artystów i niejako ich samych.

Dzieci zawsze miały mnóstwo pytań, które dotyczyły albo malarzy, albo, jeśli pocztówka z reprodukcją była wyjątkowo ciekawa, samej tematyki obrazu i tego, jak się to wszystko ma do ich życia i do Paryża z całą jego magią. A moje odpowiedzi bardzo już przypominały moje opowieści dla siostry, które snułem w mroku sypialni. Owe paryskie smoki, o których im opowiadałem, żyły prawdopodobnie na dziedzińcach, za wielkimi bramami domów, jakie się tu widywało, i to wszystko stwarzało atmosferę magii. Niektóre najbardziej fantastyczne historie zaostrzały apetyt na kolejne opowieści o wydarzeniach i ludziach, które wymyślałem na poczekaniu. Pobudzało to także szalenie moją własną wyobraźnię, tak zmaltretowaną przez wojnę z całą jej grozą, i uruchamiało lęki, które ujawniały się w najczarniejszych chwilach mego życia.

Skończyłem już prawie z pracą w Luwrze i zacząłem malować na uliczkach odchodzących od placu. Odkrycie tego, co robię, nie zajęło dzieciakom dużo czasu. Nie kryłem się przed nimi i byłem przekonany, że szybko je znuży obserwowanie amerykańskiego malarza.

Stopniowo, po troszeczkę, wciągnęło je to moje malowanie. Przede wszystkim chciały wiedzieć, czy sprzedaję swoje obrazy. Odpowiedziałem, że tak, choć przychodzi mi to z trudem, i że najchętniej dałbym wszystko, co namalowałem, moim dzieciom. I wtedy się zaczęło: „To niech mi pan też da jeden”. Trudno było im wytłumaczyć, że nie chodzę do regularnej pracy i że dzięki tym obrazom mogę wyżywić rodzinę. Choć to akurat było dla nich zrozumiałe.

Jeszcze częściej pytania dotyczyły tego, jak i dlaczego, malując, robię to czy tamto i jak to się dzieje, że w końcu następuje to cudowne przejście od dwuwymiarowego rysunku na kawałku płótna do czegoś, co pobudza do myślenia i staje się możliwą do zaakceptowania rzeczywistością. Pod wpływem ich sugestii wprowadzałem zmiany w sposobie malowania i w samym obrazie. Malowaliśmy niejako razem. Stałem się „ich” malarzem; zaczęły sobie uświadamiać, że maluję jak gdyby specjalnie dla nich, i nie było już ważne, kto będzie właścicielem obrazu, kto go sobie zatrzyma. Te obrazy należały do nich, bo były przy ich malowaniu i pomagały mi. Nawet kiedy się wyprowadziły z okolic placu lub rozproszyły się po różnych szkołach, podtrzymywaliśmy nasze kontakty.

A później, kiedy byłem starszy i kiedy także ci malcy dorośli, wielu z nich zaprzyjaźniło się z moimi dziećmi. Wszyscy oni byli, dzięki obrazom, moją drugą rodziną. Czasami ci dorośli już ludzie chcieli kupić któryś z tych wczesnych obrazów – od nich wszak zaczęła się nasza

przyjaźń.

Przez ponad trzydzieści lat mieszkaliśmy przeważnie w Paryżu, gdzie malowałem i sprzedawałem swe obrazy. Okoliczności zmusiły nas do przeniesienia się z małego mieszkania przy rue Saint Sulpice do starego warsztatu stolarskiego, który udało mi się wynająć. Warsztat nigdy nie był zamieszkały. Urządziłem tam pokoje dla naszych dzieci i jedno pomieszczenie do rekreacji, żeby ich przyjaciele mogli przychodzić do nas w deszczowe dni i przyprowadzać swoich przyjaciół.

Rosemary nauczyła się piec i przygotowywała ciastka i kanapki, żeby dzieci miały po lekcjach *quatre heure*, czyli coś w rodzaju podwieczorku, zanim ich rodzice, którzy pracowali często do szóstej lub dłużej, wrócą i zrobią jakąś kolację.

W jednym z pomieszczeń urządziłem magazynek na moje płótna. Malowałem szybko – to przecież miałem w genach – więc naturalną kolejną rzeczą wkrótce zabrakło dla obrazów miejsca.

Pokoje w tym mieszkaniu – warsztacie były wysokie, choć niezbyt przestronne. Nauczyłem się budować specjalne stelaże, na których obrazy leżały jeden nad drugim, z przerwami, żeby mogły wyschnąć, co trwało zwykle parę dni, do tygodnia.

Moje stelaże nie były stelażami w normalnym tego słowa znaczeniu, ale konstrukcją własnego pomysłu. Stelaże miały trzy poziomy i obudowałem nimi wszystkie ściany, tak że w sumie zmieściłem na nich trzysta obrazów różnego formatu. Najpierw rozpakowałem obrazy z pracowni, a potem przyniesione z wilgotnej sutereny (nazywanej po francusku *le cave*) i z domów przyjaciół, u których je przechowywałem. Następnie zasiadłem z wielką księgą kupioną na pobliskim pchlim targu i zacząłem je katalogować. Spisałem je według rozmiarów – zwykle miały tak zwany francuski format  $73 \times 46$  – usytuowania na stelażach i tematu.

Zrobiłem to wszystko pewnej zimy, w czasie wolnym od zajęć, i wreszcie miałem cały swój malarski dorobek zebrany w jednym miejscu. Mogłem teraz, zaglądając do katalogu, znaleźć każde płótno, jakie namalowałem, a także notatki na temat obrazów, które sprzedałem, z informacją o nabywcach, o miejscu, w którym się znajdują, i o ich jakości. Uszeregowałem je też i podzieliłem według własnych kryteriów, operując ocenami w skali od 0 do 10. To było najtrudniejsze, i to z dwóch powodów. Po pierwsze w przypadku obrazów, którym dałem ocenę zero lub jeden, nie mogłem się powstrzymać od dłubania przy nich, a robiłem to po to, żeby podnieść zarówno ich wartość, jak mniemanie o sobie. Spędziłem mnóstwo czasu, poprawiając, a czasem nawet zamalowując cały obraz, którego zbytnio nie ceniłem. Inny problem był z obrazami, którym przyznałem oceny najwyższe: dziewięć, dziesięć punktów. Tych ani nie mogłem, ani nie chciałem sprzedać, więc ich lista w specjalnym katalogu wydłużała się, rosły także ich sterty na stelażach.

Wszystko zaczęło mi się wymykać spod kontroli. Rosemary nalegała, żebym dał sobie spokój z katalogowaniem i poświęcił zaoszczędzony czas na malowanie. Oczywiście miała jak

zwykle rację, ale ja wiedziałem, że kataloguję tylko wtedy, kiedy światło lub pogoda są tak fatalne, że nie mogę malować. Zacząłem też naturalnie przekładać obrazy i zmieniać oceny. Przy okazji dowiedziałem się jednak czegoś o moim dorobku malarskim i uświadomiłem sobie, że zanim zacząłem go w jakiś sposób porządkować, sprzedałem wiele obrazów, wyceniając je znacznie poniżej ich prawdziwej wartości, tylko dlatego że potrzebowałem pilnie pieniędzy. Nie mogłem tego przeboleć.

Zacząłem krążyć po mieście, to znaczy po Paryżu, zwłaszcza wśród zamieszkałych tu Amerykanów, którzy wcześniej kupowali moje obrazy; podawałem im sztywne ceny, żeby nie było żadnych targów. Zarezerwowałem też czas dla potencjalnych nabywców, którzy fatygowali się na nasze drugie piętro, żeby obejrzeć obrazy na miejscu. Kończyły się nam pieniądze, a zatem satysfakcja z tego, że sprzedaję obrazy, i to ludziom, którzy je uwielbiają, rekompensowała mi żal spowodowany ich utratą.

To właśnie wtedy zacząłem fotografować i ewidencjonować cały swój zbiór na slajdach. Robiłem też odbitki i wklejałem do katalogu. Wszystko to zaczęło przybierać formę dochodowego biznesu. Musiało do tego dojść. Dorobiliśmy się wszak czwórki dzieci.

Następnej zimy, kiedy było zbyt mroźno, żeby malować, zacząłem pisać. Znalazłem starą maszynę marki Underwood, kupiłem taśmę i zapas papieru. Czułem się teraz tak, jakbym prowadził podwójne życie, ulicznego malarza wiosną i latem i stukającego jak dzieciół pisarza zimą, a nawet czasem w jesienne dni, kiedy był taki ziąb, że grabiały mi palce, albo kiedy padał ulewny deszcz. Początkowo nie znosiłem intruzów w azylu, jakim było moje życie malarza, ale nasz dom łączył funkcje magazynu i przestrzeni mieszkalnej, było w nim za mało miejsca, więc musiałem się poddać. Nauczyłem się parzyć kawę, więc potencjalni klienci mogli sobie pomyszkować w składzie, posiedzieć i pogawędzić w towarzyskiej atmosferze. Rosemary zachęciła do obejrzenia obrazów nauczycieli ze szkoły, w której pracowała, i ponad połowa z nich stała się od razu kolekcjonerami.

Pan Śmigacz pisał też swoją książkę. Zatytułowałem ją *Ptasiek* i pisząc, świetnie się bawiłem. Po raz pierwszy zasiadłem i podjąłem próbę wykorzystania doświadczeń młodego ojca, opowiadającego różne historie swoim dzieciom. Ta, którą opisałem, była zakamuflowaną wersją mojego życia z ptakami – i życia ptaków ze mną. Najtrudniejszym zadaniem nie było bynajmniej opisanie pragnienia czy potrzeby szybkości, ale utrwalenie pędu. Latanie było czymś najbliższym tego, czego doznawałem, biegając.

Niektóre impulsy, jakie odczuwałem, wydawały mi się czymś wręcz nadprzyrodzonym. Miałem bardzo realistyczne sny o swojej babce ze strony matki, którą jeszcze pamiętałem. Wydarzeniem, które dawało mi impuls do pisania, był pogrzeb babki, na który poszedłem z matką, kiedy nie miałem jeszcze czterech lat. Wydawało mi się, że widzę babkę, ilekroć zamknąłem oczy. Matka opowiadała, że po tym pogrzebie budziłem się co noc i bełkotałem coś

o jej sukniach i perfumach. Te obrazy i doznania pamiętam doskonale, znam nawet piosenki, które musiałem wtedy słyszeć i które potem śpiewałem sobie, kiedy się bałem albo czułem się samotny. Przyłapuję się na tym, że śpiewam je lub nucę nawet teraz, po tylu latach.

Te piosenki i obrazy są wspólną własnością moją i mojej siostry; musiałem jej o tym opowiadać i śpiewać, kiedy była bardzo mała, jeszcze zanim nauczyła się dobrze mówić. Wszystkie nasze dzieci dzieliły z nami te „wspomnienia”. Prosiły, żebym o tym w kółko opowiadał, bo choć nie były to ich wspomnienia, poznały je dzięki mnie, kiedy były małe. Dla mnie babka – matka ojca – która zmarła, zanim rozpocząłem studia na UCLA, była wciąż żywa, żywa we wspomnieniach moich i moich dzieci. Z tych wspomnień, które są teraz własnością nawet mojej żony, wywodziły się także opowieści nie związane z babką, historie, którymi zabawiałem dzieci, kiedy dorastały i domagały się, żeby im coś opowiedzieć. Zostałem jednomyślnie mianowany rodzinnym opowiadaczem.

Historią, którą moje dzieci lubiły najbardziej, była opowieść o tym, jak to mojego ojca dwukrotnie poraził w dzieciństwie piorun. Ojciec stał sobie przy siatkowych drzwiach, patrząc na burzę szalejącą nad Wisconsin, gdzie spędzał wczesną młodość na farmie ojca, kiedy nagle strzelił w niego piorun – jego przewracając, a siatkę w drzwiach zamieniając w popiół. Ojciec opowiadał, że spaliło się też na nim prawie doszczętnie ubranie.

Moja babka patronuje zza grobu tej historii i choć opowiadałem ją moim dzieciom tyle razy, upiększając oczywiście i rozdymając tak, że prawie już nie pamiętam wersji, którą opowiadał mi za pierwszym razem ojciec, one nigdy nie miały jej dość. Ulegałem ich prośbom, odpowiadając na wszystkie pytania o szczegóły. Mój ojciec potrafił relacjonować to wydarzenie bez żadnego koloryzowania.

Przypominam sobie też historię, którą często opowiadała moja matka, o tym, jak poszła pojeździć na wrotkach bez butów, które mama zabrała jej za jakieś przewinienie. Matka, stosownie do swej reputacji diabła wcielonego, przywiązała wrotki do bosych stóp i poszła do wrotkami. Zwykle opowiadając tę historię, pokazywała nam blizny na kostkach, w miejscach, gdzie otarła sobie skórę tak, że aż wdała się infekcja.

Od tego było już niedaleko do historii o alarmie pożarowym, jaki matka wszczęła, będąc uczennicą ósmej klasy szkoły parafialnej w Filadelfii. Po latach i mnie przydarzyło się coś podobnego, kiedy trzęsąc w szczególny sposób nogą, wywołałem alarm podczas strasznie trudnego sprawdzianu z łaciny. Łacinnik, Joseph Stermer, na którego wszyscy w szkole mówili „wujaszek Joe”, zaczął się dopytywać, czy nie czujemy drżenia ziemi, ale żaden z nas oczywiście niczego nie czuł. Powtórzywszy pytanie kilka razy, nauczyciel wyprowadził wszystkich uczniów na boisko i tam czekał z nimi, aż szkoła się zawali. O ile mi wiadomo, w Filadelfii nigdy nie było trzęsienia ziemi i tym razem także ją ominęło. Ale i tak musieliśmy dokończyć nasz sprawdzian z łaciny.

Lekcje łaciny były dla mnie straszliwą męką, bo zaczynałem się jej uczyć w miejscowej szkole parafialnej, gdzie nauczyciel miał o niej takie samo pojęcie jak ja.

No więc wyszliśmy wszyscy na boisko i czekaliśmy na trzęsienie ziemi. W pewnej chwili uświadomiłem sobie jednak, że to ja wywołałem wstrząsy, poruszając nogą, i tajemnica się wyjaśniła. Musiałem w każdym razie zdawać egzamin jeszcze raz i przy okazji problem łaciny został rozwiązany, przynajmniej dla mnie. Rozmowa z wujaszkiem Joe była jedną z najtrudniejszych spowiedzi w moim życiu. Stermer patrzył na mnie w milczeniu przez minutę, po czym powiedział:

– Dziękuję, że mi to powiedziałeś, William, i bardzo cię proszę, nie mów o tym nikomu. – Popatrzył mi prosto w oczy. – A jeśli komuś powiesz, nigdy nie zdasz łaciny, przynajmniej dopóki ja będę uczył w tej szkole.

Za jego radą ukończyłem też kurs dla zaawansowanych, co potem bardzo mi się przydawało w życiu. Do końca roku chodziłem z nim po lekcjach przez pobliski park do jego domu, na herbatę. Stermerowie nie mieli dzieci. Piłował mnie okropnie, rozmawialiśmy tylko po łacinie. Zdałem z wyróżnieniem – było to zresztą jedyne wyróżnienie, jakie spotkało mnie w tej szkole – i zostaliśmy przyjaciółmi.

Moje dzieci przepadały za tą historią. Kazały sobie ją ciągle opowiadać i zawsze na końcu domagały się, żebym „powiedział coś po łacinie”. Recytowałem z pamięci to, co zapamiętałem z *Wojen galickich* Cezara. Żadne z moich dzieci nigdy nie uczyło się łaciny, nie sądzę zresztą, żeby uczyli jej jeszcze w mojej starej szkole. W każdym razie w oczach moich dzieci byłem uczonym, władającym łaciną ojcem.

W pierwszym roku dłuższego urlopu, który wziąłem po siedmiu latach nauczania w miejscowej szkole średniej, wynajęliśmy nasze amerykańskie mieszkanie za takie pieniądze, żeby móc opłacić podróż statkiem do Europy. W tym czasie mieliśmy już czworo dzieci. Ludzie, nawet nasi najbliżsi przyjaciele, uważali, że całkiem mi odbiło, utrzymywałem bowiem, że nigdy nie zrealizuję się jako malarz, jeśli nie opuścimy starych pocziwych Stanów i jeśli nie spędzę dłuższego czasu z malarzami z moich marzeń.

Najpierw zamieszkaliśmy w Niemczech, a konkretnie w Bawarii. Życie było tam tańsze, zniszczenia wojenne mniejsze niż gdzie indziej, a sceneria, panorama Alp, oczarowała nas wszystkich bez reszty.

Miejscowi wieśniacy szybko nas zaakceptowali; zaprzyjaźniliśmy się nawet z kilkoma mieszkańcami wsi, którzy mówili po angielsku i byli zadowoleni, że mogą poćwiczyć. Rosemary władała francuskim, nabytym w szkole średniej i na lektoracie uniwersyteckim, ale moja łacina zupełnie wywietrzała. Przypomniało mi to piosenkę, którą śpiewaliśmy w klasie, kiedy nie słyszał nas wujaszek Joe Stermer. Szło to mniej więcej tak: „Łacina to martwy język, łacina to

zimny trup, najpierw zabiła Rzymian, a teraz mnie kopie grób”. I podczas gdy Rosemary i ja staraliśmy się na próżno doskonalić swój francuski, hiszpański i prymitywny niemiecki, nasze dzieci stawały się poliglotami. Decyzja o opuszczeniu Ameryki była trudna do zaakceptowania dla nas wszystkich, zwłaszcza dla naszych rodziców. Byliśmy jednak mocno rozczarowani i zniechęceni tym, co uznawaliśmy za upadek wartości, moralności, a także jakości życia w naszej ojczyźnie.

Jedyną amerykańską stacją radiową, jakiej słuchaliśmy w Niemczech, i to sporadycznie, była rozgłośnia wojskowa AFN. Nasze dzieci lubiły Matta Dillona i różne przeznaczone dla najmłodszych programy, które i my lubiliśmy w swoim czasie. Tu, w Niemczech, łatwiej było też ustrzec dzieciaki przed niebezpieczeństwem narkotyków i przemocą.

Dzięki pochłanianym z zapalem lekturom kształtowały się ich poglądy, którymi wymieniali się między sobą i z nowymi przyjaciółmi. Każde z nich ukształtowało sobie też własny zmysł estetyczny, nabyło wiedzy i ogólnej kultury, odwiedzając z nami i z kolegami szkolnymi muzea w najbogatszych, najbardziej pod tym względem rozwiniętych państwach zachodniego świata.

Znalazłem w Monachium dobre sklepy z materiałami malarskimi, gdzie mogłem kupić wszystko, czego potrzebowałem, i to po umiarkowanych cenach. Nauczyłem się niemieckiej numeracji, innej niż francuska, ale też opartej na systemie metrycznym. Kupiłem podwójnie gruntowane blejtramy i różne rodzaje kleju i gruntów, którymi mogłem zastąpić toksyczną biel ołowiową.

Postanowiliśmy posłać dzieci do miejscowej niemieckiej szkoły, pozostawiając im jednak całkowitą swobodę, jeśli chodziło o regularność uczęszczania do niej. Wymyśliliśmy nową przypadłość zwaną *mal d'ecole* i każde z dzieci zawsze mogło oznajmić, że zapadło na tę chorobę, i nie iść tego dnia do szkoły. Musiały jednak pozostawać w łóżkach tak długo, jak długo czuły się chore i jak długo trwała kuracja. Najdłużej chorowała Kate, która chciała skończyć lekturę *Małych kobietek* i czytała je nawet w szkole pod ławką.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było przygotowanie blejtramów za pomocą przywiezionego sprzętu i dobrych niemieckich pinezek. Wkrótce miałem spory zapas zagruntowanych płócien. Wymyśliłem coś, co znakomicie zastąpiło mi mój przyrząd do wbijania pinezek, i kupiłem zestaw farb prawie tak dobrych jak te, w które później zaopatrywałem się w Paryżu. Pewnego pięknego wrześniowego dnia uznałem wreszcie, że jestem gotów wyjść w plener i malować. Stare wiejskie domostwa i stodoły z sąsiekami były dla malarza obiektami wprost idealnymi. Frau Fürst, u której wynajmowaliśmy pokoje, dała mi składane krzeselko, które zostawił kiedyś na strychu jakiś malujący przyjaciel domu. Wszystko nabrało takiego tempa, że musiałem trochę przyhamować, żeby po prostu nie odlecieć.

Malowanie pomagało mi powściągnąć moją tendencję do pośpiechu. Nauczyłem się używać niemieckiego słowa *langsam*, które, o ile mi było wiadomo, oznaczało „powoli”. Dowiedziałem

się też, że jestem *flessig mann*, czyli w wolnym tłumaczeniu „ciężko pracującym człowiekiem”. Było mi obojętne, jak mnie nazywają; byli tak pomocni i uczynni, a moje obrazy robiły na nich duże wrażenie. Okazało się, że rodzina Frau Fürst w miarę skromnych możliwości tradycyjnie pomagała artystom. Opowiadali mi, jak to Frau Fürst jako dziesięcioletnia dziewczynka zawsze anonsowała małe księżniczki, kiedy przybywały z jeziora Starnberger na lekcje malarstwa. Rosemary stwierdziła kiedyś, słuchając tych opowieści: „Zupełnie jakbyśmy się cofnęli o pół wieku, do innej rzeczywistości, kiedy ludzie żyli całkiem inaczej”.

Nauczycielka, która uczyła nasze dzieci w wiejskiej szkółce, mieszkała w tym samym domu co my. Trudno było uwierzyć, że są to ci sami ludzie, których uczono mnie nienawidzić i zabijać, kiedy służyłem podczas wojny w amerykańskiej armii.

Jedną z metod stosowanych w niemieckiej szkole, do której chodziły moje dzieci, było układanie drewnianych klocków z nadrukowanymi na nich literami. Dzieci układały je na specjalnych podpórkach, tworząc słowa już sobie znane albo wybrane z załączonej do kompletu klocków książki. Nasze dzieci nie znały wielu niemieckich słów, więc pozostałe miały nad nimi przewagę i w związku z tym poprosiliśmy, żeby przenieść je do młodszej klasy, żeby mogły sobie jakoś poradzić. I dało to nadspodziewanie dobre rezultaty.

Z pomocą Frau Hindelmeyer, Frau Fürst i jej córki Fraulein Gigi dzieci zaczęły układać słowa, a wkrótce nauczyły się je także wymawiać.

Pewnego dnia zdarzyła się mała katastrofa; Matt, nasz syn, zrzucił przypadkowo ze stołu pudło z klockami. Rozsypały się po pokoju, więc cała rodzina pomagała je zbierać i układać we właściwych przegródkach. Była to, jak się okazało, najlepsza metoda nauki, ale przez ten wypadek z klockami Matt zyskał sobie przydomek Schlumpera, co, jak nam się wydawało, oznaczało niezdare. Matt jednak wcale się tym nie przejmował. Nawiasem mówiąc, dzieci uczyły się niemieckiego szybciej niż my, nawet z pomocą Frau Fürst.

Kate zaprzyjaźniła się z dziewczynką w jej wieku, którą nazywała Muki. Tak mówiono na nią pewnie w domu; naprawdę miała na imię Florence. Florence miała trzy starsze siostry i dwóch starszych braci. Owe siostry zaproponowały natychmiast, że będą się opiekować naszymi najmłodszymi w zamian za lekcje angielskiego. Angelika, starsza z sióstr, była pojętna i uczyła się błyskawicznie. Duży, żółty budynek, w którym mieszkaliśmy, szybko przeobraził się w szkołę. Dwaj bracia Florence mieli swoje towarzystwo i raczej stronili od szkolnej atmosfery, jaką stworzyła w domu Rosemary.

Urządziłem sobie pracownię w pomieszczeniu, które nazywało się *Waschkuche* i które dawniej służyło jako pralnia. Były w niej jeszcze wielkie kotły ze staroświeckimi tarami, a miejsca miałem tyle, że mogłem tam pracować, przechowywać materiały i gromadzić świeżo namalowane obrazy. Korzystając z lustra, które wisiało naprzeciw drzwi, namalowałem tam między innymi autoportret.

Miałem teraz ochotę na malowanie portretów, więc namalowałem po kolei Rosemary, Kate, Matta i Camille. Potem pozowały mi ochoczo Angelika i Verena, a wreszcie sama Frau von Kraft. Lubilem rozmawiać ze swoimi modelkami i w ten sposób szlifowałem moją kiełkującą niemczyznę. Dowiedziałem się przy okazji czegoś o von Kraftach, a także o Demmelach i rodzinie Frau Fürst. Z ich opowiadań mogłaby powstać powieść. Zdaje się, że Herr von Kraft, baron z całą furą jeszcze innych tytułów, był podczas wojny zawodowym żołnierzem, pilotem, i niestety należał do odpowiedzialnych za masakrę amerykańskich pilotów w miejscowości Malmedy w Belgii. Po wojnie najpierw go internowano, potem odsiedział pięć lat w więzieniach amerykańskich dla zbrodniarzy wojennych. Utrzymywał, że nie jest odpowiedzialny za tę zbrodnię, ale też większość Niemców, których poznałem, wypierała się w podobnych sytuacjach odpowiedzialności. Z czasem uodporniłem się na poczucie winy, które, jak sądziłem, powinienem mieć także ja. W jednym przypadku, podczas walk o Bulge, ja sam uczestniczyłem w niepotrzebnym uśmiercaniu ludzi. Czasami nie można od tego uciec, choćby człowiek był nie wiem jak szybki w nogach. Coś takiego dopada go prędzej czy później.

Frau von Kraft, która była księżniczką, mieszkała podczas wojny w Prusach Wschodnich. W samym środku całego wojennego zamętu uciekła do Anglii z gromadką dzieci.

Po wojnie, a może jeszcze w czasie jej trwania, zamek i wszystkie posiadłości von Kraftów zostały im odebrane w ramach reparacji wojennych. Nie była tym aż tak bardzo rozgoryczona, jak sobie wyobrażałem. Mnie samego kusiłoby, żeby się jakoś wymiksować z tego wszystkiego i wziąć nogi za pas, ale ona uważała, że ma obowiązek dochować wierności uwięzionemu mężowi. Zamieszkała w wielkim domu w naszej wsi, choć nie była jego właścicielką. Księżniczka ma zawsze uprzywilejowaną pozycję, nawet kiedy jej kraj przegra wojnę.

Starałem się słuchać uważnie i nie wygłaszać żadnych niepotrzebnych negatywnych komentarzy, ona zaś potrafiła to docenić. Była teraz kimś, kto jak wielu odpowiedzialnych Niemców, czuł się winnym *Deutsche Katastrophe*. Zapytała mnie, jaki był mój udział w wojnie; wyznałem jej, że wprawdzie nie zdezerterowałem, ale odczuwałem silną pokusę, żeby to zrobić. Byłem wtedy naprawdę zbyt młody, żeby się w tym wszystkim rozeznąć. Wspomniałem o swojej reputacji tego, który zawsze ucieka. Nie skomentowała tego. Potem namalowałem jej całkiem niezły portret; jej spojrzenie zdradzało, jaki ma stosunek do takich plebejuszy jak ja. Był to jednocześnie portret pełen współczucia, starałem się bowiem wczuć w jej ówczesną sytuację.

Namalowałem też portrety dziewczynek, z których każda miała w sobie jakąś inną cechę dziedziczną po matce. Malując, miałem wielką ochotę uciec od tego wszystkiego, od całej tej zagmatwanej sytuacji. Rozmawiałem o swoich wrażeniach z Rosemary i z dziećmi, posługując się jak zwykle różnymi historyjkami, żeby przybliżyć im problem i żeby jakoś zasygnalizować, o czym powinny wiedzieć.

Kiedy była względnie ładna pogoda, wsiadałem na rower z kasetą na plecach, aby szukać



w krajobrazie tematów, które wyrażałyby mój stosunek do ludzi i ich doświadczeń życiowych. W okolicy było mnóstwo jeziorzek nieco większych od stawów i kilka większych jezior w głębi wielkich mrocznych lasów. Robiły na mnie niesamowite wrażenie. Często musiałem się zmuszać, żeby nie rzucić roweru i kasy i nie wiać stamtąd, gdzie pieprz rośnie. Pragnienie pędu wciąż było we mnie silne i teraz wydawało mi się, że wiem, od czego uciekam i ku czemu biegnę jednocześnie. Miało to pewien związek z zawiłociami ludzkiej psychiki, w tym i mojej. Nie było ucieczki od ogólnego poczucia winy, nie tylko związanej z wojną, ale także z przejawami przemocy i prześladowań, których wszyscy byliśmy świadkami, choć udawaliśmy, że ich nie zauważamy lub o nich nie wiemy.

Próbowałem to wszystko uchwycić w obrazach, żeby uczynić bardziej widocznym dla mnie samego i dla każdego, kto na nie kiedykolwiek spojrzy. Czasami stwierdzałem, że oblewa mnie pot, i nie był to efekt wysiłku, ale nerwowego napięcia towarzyszącego pracy. Często wracałem potem do malowania z głębszym, a tym samym i szerszym zrozumieniem tego, czego się lękałem i czego jednocześnie poszukiwałem. Zacząłem też uświadamiać sobie, co pozostawiłem w Ameryce. Moje bardzo uproszczone, zracjonalizowane spojrzenie na świat i na znane mi wydarzenia, z jakimi mogłem się zapewne spotkać powtórnie, nie pomagało w przebrnięciu przez labirynt, który wytworzył się w moim mózgu. Nie mogłem dłużej odsuwać myśli o tych wydarzeniach ani zaprzeczać ich istnieniu. Z moim krótkim życiorysem dziecka, potem dziecka-żołnierza, wreszcie podczas wojny wyszkolonego zabójcy, dusiłem się w tym życiu, jakie wiodłem teraz. Czasem czułem się jak jaszczurka lub wąż, który za długo nosi na sobie starą, już zbyt ciasną skórę. Ów impuls, żeby uciec albo wysliznąć się ze skóry, która nie spełnia swego zadania, był czasem trudny do przezwyciężenia. Miałem wrażenie, że nie jestem sobą; jak miałem to wyjaśnić mojej żonie i dzieciom? Wiedziałem, że nie potrafię, ale nie miałem innego wyjścia.

Zasiadałem więc przed swoimi płótnami i pozwalałem, aby ich iluzja stawała się moją rzeczywistością, wyzbywałem się wszelkich tęsknot za tym, co racjonalne. Zapragnąłem namalować bliskiego przyjaciela rodziny von Kraftów, niejakiego Bruce'a Hungerforda. Nie było to jego prawdziwe nazwisko, tak jak moim prawdziwym nazwiskiem nie jest William Wharton, ale takim posługiwał się oficjalnie i takie wolał.

Bruce urodził się w Australii. W bardzo młodym wieku, w tak młodym, że podobnie jak mnie uważano go za dziecko przedwcześnie i niepokojąco dojrzałe, zafascynowała go muzyka, jak mnie malarstwo. Zdobył kilka ważniejszych nagród w Australii, ale – znów podobnie jak ja – uświadomił sobie wcześnie, iż to, że urodził się w akurat tej części świata, nie pozwala mu na taką samorealizację, jakiej by pragnął.

Postanowił zostać pianistą. Zdobył większość nagród i wyróżnień australijskich dla młodych pianistów, po czym opuścił kraj rodzinny, żeby osiąść w Europie. Specjalizował się głównie

w wykonywaniu utworów Beethovena, Brahmsa, Schumanna i Mozarta. Byli dla niego wszystkim, całym jego życiem, bardziej nawet niż dla mnie malarze. Żył ich życiem i nie miał innego. Nigdy się nie ożenił, a po przyjeździe do Europy osiadł w wiosce po drugiej stronie jeziora Starnberger, nad którym mieszkaliśmy. Początkowo zarabiał na życie, udzielając lekcji utalentowanym młodym Niemcom, potem zaczął koncertować, najpierw w mniejszych miejscowościach, potem w coraz większych.

Miał bardzo szczególne i oryginalne pomysły na życie. Był zagorzałym zwolennikiem amerykańskiego mistyka, Edgara Caseya. Casey był dla niego wysłannikiem z innej epoki, który głosił przesłanie dla całej ludzkości. Bruce przyłączył się do grupy Amerykanów studiujących jego nauki. Wspierał ich działalność, zasilając ją pieniędzmi z honorariów za koncerty i kwotami zebranymi wśród ludzi wierzących w mistyczne teorie Edgara Caseya.

Zamieszkał w uroczym, niewielkim domu nad samym brzegiem jeziora i, jeśli nie liczyć wyjazdów na tournée i zajęć zawodowych, rzadko go opuszczał. Miał wspaniałą fortepian, na którym ćwiczył i grał. Z czasem poznaliśmy go osobiście i nawet się zaprzyjaźniliśmy. Frau von Kraft, podobnie jak jej córki, kochała muzykę. Bruce był dla nich kimś w rodzaju guru. Dzięki rodzinie Kraftów byliśmy zapraszani na prywatne koncerty w domu Bruce'a. Zawsze niezwykle ceniliśmy muzykę, którą Amerykanie nazywają „klasyczną”, zwłaszcza europejską, w tym przede wszystkim niemiecką.

Muzyka była jednak dla nas tylko jednym ze składników kultury ogólnej i nie pochłaniała nas bez reszty. Mimo to z czasem poznaliśmy dobrze Bruce'a, jego słabostki i co ważniejsze, jego filozofię życiową. Był ortodoksyjnym wegetarianinem, z tych, których nazywa się teraz weganami. Zaznajomił nas z grubsza ze swoimi poglądami i próbował zachęcić do tego, byśmy otworzyli serca i umysły na nauki Edgara Caseya. Podawał liczne przykłady imponujących dokonań Caseya jako uzdrowiacza i jasnowidza, o których to praktykach sporo wiedział i które chciał z nami wypróbować. Dla nas, zafascynowanych jego muzyką, były to doświadczenia, które poszerzały nasze horyzonty myślowe i dostarczały nam całkiem nowych doznań.

Bruce, jak już mówiłem, często zapraszał nas na prywatne koncerty do swej drewnianej chaty, która przypominała domki budowane na drzewach przez dzieci amerykańskie. Frau von Kraft z dziewczętami piekła ciasteczka lub ciasto, które jedliśmy po koncercie z lodami, zakupionymi w cukierni w miasteczku. W wiosce, w której mieszkał Bruce, nie było cukierni ani piekarni, więc cała sztuka polegała na tym, żeby kupić lody w ostatniej chwili i gnać na złamanie karku dookoła jeziora, zanim się roztopią. Nie mieliśmy zamrażarki, a Bruce miał tylko maleńką lodówkę, ale jakoś sobie radziliśmy. Do koncertu Bruce przebierał się w smoking z klasyczną białą kamizelką i czasami cummerbandem, zależnie od rangi dzieła. Zanim zaczął grać, omawiał w prostych słowach ważniejsze cechy utworu, jakiego mieliśmy wysłuchać, i przedstawiał krótką historię każdej kompozycji. Potem grał wstępnie po kilka pasaży dla zilustrowania swego

wyvodu. Koncerty zaczynały się dokładnie o wpół do dziewiątej, więc jedna z córek von Kraftów zostawała zwykle z naszymi dziećmi.

Któregoś dnia przed wyjściem skonstruowałem im planszę *ouija*, wykorzystując jako podstawę lustro z łazienki. Wypisałem półkoleście czarnym flamastrem litery i liczby, a potem zrobiłem mały drewniany trójkąt na trzech gwoździach, który przesuwiał się po lustrze jako wskaźnik. Pokazałem dzieciom, w jaki sposób należy, siedząc naprzeciw siebie, przykładając po trzy palce do wskaźnika, żeby wyczuć wibracje. Wyjaśniłem, skąd wzięła się nazwa *ouija*: było to połączenie francuskiego *oui* i niemieckiego *ja*. Wyjaśniłem też, jak mają po kolei zadawać pytania, a potem czekać, aż wskaźnik przesunie się i wskaże literę lub liczbę na lustrze, dając tym samym odpowiedź.

Tamtego wieczoru przybyliśmy na koncert nieco później niż pozostali goście. Zacząłem wyjaśniać, dlaczego się spóźniliśmy, a kiedy doszedłem do planszy *ouija*, Bruce pobladł jak ściana.

– To znaczy, że zostawiliście małe dzieci same w domu z planszą?

– No tak. Nic im się nie stanie. Pookładałem lustro poduszkami, więc go nie potłuką.

– Boże, jak mogliście zrobić coś takiego? Może się zdarzyć dosłownie wszystko. Czy nie dotarło do was nic z tego, co wam mówiłem?

Rosemary spojrzała na mnie niepewnie. Byliśmy oboje trochę oszołomieni gwałtowną reakcją Bruce'a. Interesowało mnie to, co nam mówił, ale nigdy nie widziałem w tym niczego groźnego czy niepokojącego.

– Myślę, że trochę przesadzasz, Bruce, ale jeśli ma cię to uspokoić, wsiądę na rower i pojedę z powrotem, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

– Zrób to, bardzo cię proszę, a ja zaczekam z koncertem, aż wrócisz. Zamierzałem zagrać Piątą symfonię Beethovena, ale nie mógłbym tego zrobić, wiedząc, że twoim dzieciom grozi takie niebezpieczeństwo.

Wskoczyłem na rower Rosemary, który był lżejszy, i popedałowałem siedem kilometrów brzegiem jeziora. Nie wierzyłem, że dzieciom może zagrażać jakieś niebezpieczeństwo, bo nie były histerykami ani nawet specjalnie nie interesowały się spirytyzmem.

Kiedy dotarłem do domu, nie mogłem ich nigdzie znaleźć. Przeszukałem wszystkie pokoje i w końcu usłyszałem ich głosy dochodzące ze schowka na szczytce.

– Czy to ty, tato? Czy jest już bezpiecznie? Czy ta pani już sobie poszła?

– Wszystko w porządku, Kate. Dlaczego się tam chowacie? Czy coś was przstraszyło?

Dzieciaki wygramoliły się ze schowka, poowijane w prześcieradła. Rzuciły mi się w ramiona. Były mocno wystraszone, choć nie wpadły w histerię. Opowiedziały mi wszystko urywanymi zdaniem, przekrzykując się wzajemnie. Z ich opowieści wynikało, że zaczęły zadawać pytania damie z obrazu wiszącego w jadalni. Początkowo nie mogłem zrozumieć ani

słowa z tego, co mówiły, ale w końcu Matt uciszył wszystkich, machając rękami.

– Odpowiedziała na wszystkie nasze pytania. To było straszne. Kiedy zapytaliśmy ją, kim jest, odpowiedziała, że babką Frau Fürst. Powiedziała, że dawała kiedyś lekcje muzyki, mówiła jeszcze inne rzeczy. To znaczy sam obraz nie mówił, ale wszyscy rozumieliśmy, co chce powiedzieć, a kiedy wreszcie dama naprawdę przemówiła, bardzo niskim, ale nawet miłym głosem, powiedziała, żebyśmy odwiesili lustro i nigdy więcej go nie używali do takich celów. I jeszcze powiedziała, że zmęczyły ją nasze pytania.

– Tak było, tato – potwierdziła Kate. – To chyba nie był duch. Powiedziała, że przyszła z innej epoki, ale że sypia w tym pokoju, w naszym saloniku.

Senna Camille tuliła się do mnie.

– Ona była całkiem jak mama. Mówiła tak powoli i cicho. Naprawdę. Czułam, że jest w tym pokoju. Nie wychodź nigdzie, tato. Ja się boję.

Zabrałem je wszystkie z powrotem do pokoju, żeby przyjrzeć się obrazowi. Widziałem, że są wystraszone i że mówią prawdę. Nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem zatelefonować, bo nie mieliśmy telefonu.

– No dobrze, moje dzieci. Pan Hungerford miał nam właśnie zagrać, kiedy powiedziałem mu o naszej planszy. Zaczął nalegać, żebym wrócił i zobaczył, czy nic wam się nie stało. Nie wiedział, że rozmawialiście z panią z portretu, ale teraz, kiedy mi o tym powiedzieliście, też mnie to przestraszyło. Co powiecie na to, żebyśmy się wszyscy zapakowali do samochodu i pojechali do pana Hungerforda posłuchać koncertu? Myślę, że się wam spodoba. Pan Hungerford jest wspaniałym pianistą i dziś zagra, nam kawałek, który idzie tak: *da-da-da-damm*. Możecie jechać w pizamach, weźcie tylko jakieś koce z sypialni.

Tak też zrobiliśmy. Dzieci się uspokoily, a muzyka bardzo im się podobała. Bruce ucieszył się z wizyty małych gości, a kiedy potem, gdy dzieciaki poszły już spać, powiedziałem mu, co się zdarzyło w domu, wyjaśnił mi, co jego zdaniem mogło się jeszcze zdarzyć i co nie należało do sytuacji wyjątkowych. Zjedliśmy nasze „pokoncertowe co nieco” i wróciliśmy do domu. Rosemary z dziećmi stłoczyli się na tylnym siedzeniu. Kate, której wcale nie chciało się spać, podekscytowana opowiadała mi wciąż o tym, co mogło się stać.

Od tego czasu Bruce zapraszał nas na koncerty z dziećmi i bardzo dokładnie objaśniał muzykę, którą grał. Tłumaczył też, jak dzięki niej można najlepiej poznać naturę ludzkiej egzystencji. Początkowo byłem zaniepokojony tym, że mówi o tak poważnych sprawach takim małym dzieciom, ale one najwyraźniej doskonale go rozumiały i zadawały mu bardzo ciekawe pytania. Bruce dawał dwa razy do roku koncerty w nowojorskiej Carnegie Hall. Nienawidził latania samolotem, ale czuł, że te koncerty to jego obowiązek, część spłaty swoistego długu, jaki ma zawsze człowiek obdarzony tak niezwykłym talentem. Dobrze go rozumiałem. Wciąż zastanawiałem się, jak ja się odpłacę po tych wszystkich latach zdobywanych tak gwałtownie

doświadczeń.

Później, już w Los Angeles, gdzie wystawiałem w plenerze swoje obrazy, plon dwóch lat pracy, dostaliśmy list od Frau von Kraft: pisała, że Bruce zginął w wypadku samochodowym, wracając do domu po koncercie w Carnegie Hall. Samochód prowadziła jego siostra, Bruce zginął na miejscu. Nikt z pozostałych pasażerów nie odniósł obrażeń, ale Bruce'a nie dało się uratować.

Wywnioskowaliśmy z listu Frau von Kraft, że wyjeżdżał z Niemiec przeświadczony, iż będzie to jego ostatni koncert. Jako osoba, którą łączyły z Bruce'em więzi przyjaźni, robiła wrażenie pogodzonej z tym, co się stało. Miała kilka płyt z nagraniami Bruce'a dla wytwórni Vanguard i pisała, że słucha ich regularnie, żeby go w pewnym sensie przywołać. Nigdy więcej już się do mnie nie odezwała.

Wszystko to było dla mnie trudne do zniesienia; nawet moje najcięższe przeżycia z przeszłości nie uodporniły mnie na takie ciosy. Moje życie jest wciąż wypełnione podobnymi wydarzeniami oraz pisaniem i malowaniem, dzięki którym mogłem utrzymać rodzinę. Niektóre z tych wydarzeń opiszę w dalszym ciągu mojej opowieści.

## Rozdział IV

Jednym z naszych ulubionych zajęć była jazda na łyżwach. Kupiliśmy kiedyś kilka par używanych łyżew dla całej rodziny. Rosemary i ja po prostu uwielbiliśmy ten sport. Dla mnie ślizganie się po przezroczystym lodzie, pod którym widać było całe podwodne życie z ławicami ryb pierzchających na wszystkie strony, kiedy nad nimi przemykałem, stanowiło ważne przypomnienie o mojej prawdziwej naturze, jaką obdarzył mnie los. Dla Rosemary była to także wielka radość. Nawet bez łyżew poruszała się na lodzie tak, jakby nie miały na nią wpływu siły grawitacji i tarcia, co było jej najwdzięczniejszą, najbardziej uroczą cechą.

Braliśmy zwykle wszystkie dzieci i ślizgaliśmy się wśród sosen i dębów okalających jeziorko. Jeśli to nie jest magia, to nie wiem, co nią jest. W lasach wokół jeziora panowała zazwyczaj cisza, zakłócana tylko zgrzytem łyżew o lód i radosnym śmiechem szalejącej rodziny. Rosemary i ja uprawialiśmy łyżwiarstwo figurowe, a Kathleen i Matt szybko się od nas tego nauczyli. Potrzebowaliśmy tylko odrobiny muzyki, ale zastępowaliśmy ją sobie śpiewem. Drzewa zdawały się chwiać i kołysać w rytmie tych naszych śpiewów i podzwaniania łyżew o lód. Czasem bawiliśmy się nawet w chowanego albo urządzaliśmy sobie wyścigi.

Jeździłem trochę na łyżwach w dzieciństwie, ale nigdy nie sprawiało mi to takiej przyjemności jak w tych *uralte* borach w Bawarii. Matthew wymyślił zabawę, która polegała na tym, że jadąc na rowerze, ciągnął za sobą na sznurku Camille. Co chwilę spadał z roweru, ale lód był mocny i gruby, więc tylko otrząpywał się i gonił rower, który przeważnie zdążył już odjechać gdzieś daleko. Nawet Kathleen próbowała od czasu do czasu takiej jazdy. Kiedy tak mknęli, z ich ust buchała wielkimi obłokami para. Pewnego dnia utworzyliśmy coś w rodzaju tanecznego „węża”; na przedzie byłem ja, za mną Rosemary, potem Camille i Kathleen, a na końcu Matt. Trochę się bał, ale jakoś udawało mu się utrzymać, i mieliśmy świetną zabawę. Myślę, że przekazałem mu w genach tego swojego bzika na punkcie szybkości. Byłoby to nawet miłe.

Matt i Kathleen próbowali mnie podpuszczać. Wiedzieli o moim osobliwym talencie, ale nigdy im go jeszcze nie demonstrowałem. Nie chciałem uchodzić – czego tak bardzo obawiała się moja matka – za dziwoląga, zwłaszcza w oczach własnych dzieci. Ale bawiliśmy się tak fantastycznie, a poza tym nie było nad jeziorem żywej duszy. Rozpędzenie się na całego zajęło mi trochę czasu. Czułem, że ogarnia mnie gorączka. Rosemary też się denerwowała. Było z tym trochę tak, jakby się miało pijaka w rodzinie i jakby wszyscy chcieli to ukryć.

– Okej, zrobię to, jeśli chcecie, ale sami nie próbujcie. To może być niebezpieczne.

Stałem na brzegu jeziorka. Odszedłem parę kroków i zaczerpnąłem jak zwykle tchu. Potem wypuściłem powietrze i znów doznałem tajemniczego uczucia, które trudno określić. Utkwiłem wzrok w przeciwległym brzegu jeziorka; nabierając szybkości, czułem na twarzy coraz silniejszy powiew wiatru. Po pięciu latach prawie zapominałem, jakie emocje towarzyszą pędowi. Na

drugim końcu jeziora, gdzie mnie już nie widzieli, zrobiłem zwrot. Drzewa zlały się w jedną plamę. I oto znów jestem z nimi. Trochę zmarzłem od tego zimnego podmuchu. Camille musiała się zagapić, bo mówi:

– No zrób to, tatusiu. Nie stój tak.

– Tato już to zrobił, ty głupia. Nie widziałaś? Trzeba bardzo szybko patrzeć. To jest taki trik, bo on prawie znika. Nie można spuszczać z niego oka, tak jak z magika, który pokazuje sztuczki.

– Naprawdę, tato? Potrafisz naprawdę zniknąć?

– Nie, nie potrafię, Mimi. Nie wiem, jak to się dzieje, że tak szybko się poruszam, ale zawsze tak ze mną było. Nikt nie wie, na czym to polega. To tak jak z kolorem oczu; jedni mają niebieskie, inni piwne. Albo jak z talentem do skakania. Ale to nie ma żadnego znaczenia, a poza tym jest rodzinną tajemnicą. Przyrzekłem sobie, że nie będę tego robił, chyba że zmusi mnie sytuacja. Nie zrobiłem tego nawet wtedy, kiedy was tak wystraszyła dama z obrazu.

– To jest coś podobnego jak z nią?

– Nie, skarbie. Nie umiem tego wytłumaczyć, tak jak wy nie potrafiliście wyjaśnić historii z portretem. Zdarzają się rzeczy, których nie rozumiemy. Czasem myślę, że tak właśnie powinno być. No chodźcie, zrobimy wolną rundkę dookoła jeziora. Pokażę wam, do którego miejsca dojechałem, kiedy straciliście mnie z oczu. Zrobiłem na lodzie znak, wypisałem swoje inicjały.

Pomknęliśmy na drugi koniec jeziora. Pokazałem im wielkie WW wypisane czubkami łyżew. Matt i Kathleen aż ukłękli na lodzie, żeby przyjrzeć się znakowi. Kathleen spojrzała na mnie z dołu.

– Och, naprawdę, tato... Jak ty to zrobiłeś? Wypisałeś to wcześniej, zanim przyszedliśmy nad jezioro?

– Myśl sobie, co chcesz, Kate. Potrafię tak jak Franky Furbo robić czary, tyle że w szczególny sposób, czyli „naprawdę”. Nie musisz w to wierzyć. Wiesz to. Wiara jest zaledwie połowiczna w stosunku do wiedzy. Mam nadzieję, że zrozumiesz tę prawdę, jak dorośniesz. Twoja matka i ja wiedzieliśmy, że się kochamy, zanim daliśmy sobie jakiegokolwiek dowody. Po prostu wierzyliśmy w to. Jestem pewien, że w swoim czasie zdobędziesz w tym względzie bogate doświadczenie. To jeden z elementów dojrzałości. Wielu ludzi nigdy się tego nie nauczy, ale myślę, że jesteście już na najlepszej drodze do tego, żeby wiara wyprzedzała wiedzę. Musicie tylko mieć zaufanie do własnej wiedzy. Bez wyobraźni życie może być nieco nudne.

– Wystarczy, Will. Mieszasz im tylko w głowach. W swoim czasie same do tego dojdą. Takie „docieranie do sedna” jest ważnym składnikiem życia.

Rosemary patrzy mi z uśmiechem w oczy, żeby wyczytać z nich, co myślę. A ja myślę, że ożeniłem się z właściwą kobietą.

Wracaliśmy do domu, bawiąc się w coś, co nazywaliśmy „tropieniem wilka” i co polegało na tym, że szło się za kimś, stawiając nogi w jego śladach. Matt uwielbiał grać rolę wilka i był

w tym najlepszy z całej rodziny. Dwukrotnie całkiem nas zgubił, albo dając długie susy na boki, albo cofając się ostrożnie po własnych śladach i przemykając po bardziej zamrożonym śniegu, na którym nie zostawiał śladów.

Wymyśliliśmy mnóstwo zabaw na śniegu. Najlepsze były warianty zwykłej zabawy w chowanego, kiedy jedna grupa próbuje zgubić drugą.

Robiło się jednak zimno, a ja miałem zaczęty obraz, oczywiście ze śniegiem, który wymagał jeszcze kilku godzin pracy, żebym mógł go uznać za skończony. Zacząłem biec powoli, miarowym truchtem, żeby zachęcić ich do pójścia w moje ślady i dotrzymania mi kroku. Sam uwielbiałem bieg i miałem nadzieję, że w ten sposób dam także im odczuć radość, jaką daje szybki ruch.

– No, jazda, taki bieg pobudza krążenie, rozgrzejecie się.

Udzielił im się mój nastrój, ale nie przyśpieszaliśmy za bardzo, żeby mogła za nami nadążyć Camille. Dyszała ciężko, ale uśmiech nie schodził jej z twarzy. W końcu jednak wziąłem ją na rękę. Zacząłem podskakiwać jak kłusujący koń; uwielbiała taką zabawę. Zanim się obejrzeliśmy, wkroczyliśmy do wsi z łyżwami przewieszonymi przez ramię. Wszyscy dyszeliliśmy głośno, wchodząc ciężkim krokiem na werandę i do przegrzanego dusznego salonu. Mieliśmy tam mały piecyk, w którym rozpałem przed wyjściem; teraz drzewo zdążyło się prawie całkiem wypalić. Wyszedłem do szopy i wróciłem z naręczem polan. Ponowne rozniecanie ognia z żarzących się jeszcze węgielków dostarczyło nam wiele radości. Otoczyliśmy wianuszkami piec i grzaliśmy się, a w domu zrobiło się bardzo przytulnie.

Rosemary, nie zdejmując płaszcza, poszła do kuchni, gdzie w piecu płonął jeszcze małeńki ogienek. Wkrótce zrobiło się nam tak ciepło, że mogliśmy rozebrać się do swetrów. Rosemary rozlała na talerze gorącą zupę fasolową, którą nastawiła jeszcze przed wyjściem. Wdrobiliśmy do zupy ciemny bawarski chleb i po chwili słychać było tylko głośne siorbanie. Potem Rosemary wniosła gorące *spekpannekoeken*, doskonale jako dodatek do zupy! Podczas pobytu w Bawarii jedliśmy zdecydowanie za dużo. Jedzenie było dobre, sycące; wciąż braliśmy od Frau Fürst albo jej córki Hildegardy nowe przepisy na przeróżne niemieckie specjały.

Na szczęście co roku wyjeżdżaliśmy do Hiszpanii, na południowe wybrzeże. Tam nie posyłaliśmy dzieci do szkoły w ogóle. Rosemary i ja uczyliśmy je niemieckiego i angielskiego, a także trochę francuskiego. Często braliśmy piłkę plażową i kawałek sieci rybackiej, rysowaliśmy na piasku boisko i graliśmy w naszą rodzinną wersję siatkówki, w której piłka musiała się odbić od ziemi. Camille grała według specjalnych reguł; wolno jej było złapać piłkę i przerzucić ją przez siatkę. Uważam, że była to jakaś namiastka lekcji wychowania fizycznego w naszym swobodnym rodzinnym bytowaniu. Wciągnęliśmy do gry paru innych cudzoziemców i jakichś rybaków; wszyscy doskonale się bawili. Był to poza tym doskonały sposób na zrzućnięcie zbędnych „bawarskich” kilogramów; kiedy jechaliśmy do domu, byliśmy już wszyscy całkiem



smukli.

Jedną z największych atrakcji w Monachium podczas ferii zimowych był cyrk. Dzieci upierały się, że skoro jestem taki szybki i wydaje się, że potrafię znikać, to naprawdę powinniśmy się tam wybrać, bo na pewno mi się tam spodoba. W końcu uległem. Ubraliśmy się ciepło, zapakowaliśmy coś do jedzenia i wladowaliśmy się wszyscy do naszego małego fiata.

Do świąt pozostały jeszcze cztery dni, nasz salonik udekorowany był ostrokrzewem z nad jeziora i jemiolą, którą znaleźliśmy na wzgórzu podczas jednej z wypraw do krainy śniegu.

Jazda była taka, że włos jeżył mi się na głowie, bo tłumy ludzi wybrały się na świąteczne zakupy, ale w końcu znaleźliśmy cyrk na jednym z pól, gdzie zwykle odbywał się Oktober Fest. I rzeczywiście przedstawienie było bardzo dobre.

\* \* \*

Uczestniczyliśmy razem w rozmaitych zajęciach i zawsze postępowałem zgodnie z radą, jakiej sam udzieliłem dzieciom, żeby uruchamiały wyobraźnię. Było to czasem trudne, ale usilnie się starałem. Mój problem z szybkością pozostawał nie rozwiązany, ale nauczyłem się z tym żyć, podobnie jak reszta rodziny.

Kiedy na dobre zamieszkaliśmy w Paryżu, ustaliliśmy taki rytuał, że w porze świąt Bożego Narodzenia i latem wyjeżdżaliśmy do Seeshaupt. Czasami jeździliśmy tam też na Wielkanoc, ale francuskie szkoły, w których dzieci spędzały większość czasu, nie były z tego zadowolone, choć woziliśmy z sobą wszystkie podręczniki i przerabialiśmy je w trzech językach. Ostatecznie wychodziło tak, że przez całą końcówkę marca i większą część kwietnia mieliśmy dzieci w domu. Musiały ciężko pracować, ale w rezultacie nie były gorsze od innych uczniów, którzy uczęszczali do szkoły przez cały rok.

Kiedy nauczyciele zorientowali się, że nasze dzieci radzą sobie tak dobrze, bez problemu puszczali je na wakacje, które trwały od połowy czerwca aż do końca września. Oznaczało to, że dzieciaki mogły dłużej korzystać z pięknej pogody, a ja i Rosemary mieliśmy szansę pracować z nimi intensywnie, między innymi nad językami.

W Paryżu urządziłem rodzinie przyzwoite mieszkanie, które spełniało wiele funkcji, sypialni dla małego Willa, kiedy przyszedł na świat, wspinałej pracowni dla mnie i pokoju do nauki, w sytuacjach, kiedy Rosemary lub ja uznaliśmy, że dzieci powinny się bardziej przyłożyć do tego czy innego przedmiotu. I tu także zaaranżowałem magazyn obrazów, taki jak w mieszkaniu przy Saint Sulpice, i jeszcze oddzielną sypialnię dla Kate. Pozostała dwójka zajmowała pokój, który podzieliłem obudowaną półkami i szafkami ścianką działową na dwie części. Łóżka umieściliśmy na antresoli. Można było się do nich dostać po stromych, przypominających raczej

drabinę schodkach.

Te schodki sprawiały dzieciom taką frajdę jak najpiękniejsza zabawka. Zbudowałem je z grubych desek, używając drewnianych kołków zamiast gwoździ. Dzieciaki wdrapywały się na górę i schylając się pod niskim sufitem, wpełzały do swoich szerokich łóżek. Było to miejsce, w którym mogli też wygodnie przenocować ich koledzy, jeśli zostali u nas na noc. Kate była zadowolona, że nie dzieli sypialni z młodszym rodzeństwem. Do swojej wchodziła bezpośrednio ze stołowego, który był jednocześnie salonikiem, i mogła zamknąć drzwi, żeby nikt nie zakłócał jej prywatności. Była na tyle dobrze wychowana, że kiedy miała gości, nie zamykała drzwi i nigdy nie musieliśmy jej o tym przypominać. Will od początku spał w łóżeczku w naszej sypialni. Czekaliśmy z utęsknieniem na chwilę, kiedy będzie na tyle duży, by wyjść z łóżeczka i wpakować się nam do łóżka.

Na antresoli, w miejscu, gdzie nie było łóżek, pozostawała duża przestrzeń dla kolejek, modeli samochodów wyścigowych i wszystkiego tego, co udało się nam zakupić na pchlim targu. Musiałem wprowadzić pewne ograniczenia po tym, jak kilka samochodów wypadło z toru i walnęło mnie w głowę, kiedy siedziałem w salonie, zmęczony po całym dniu malowania na ulicy. Te samochodziki mknęły po torze z ogromną szybkością i kiedy taki bolid huknął człowieka w łeb, zostawiał sińce, które wyglądały jak tatuaże.

\* \* \*

Starałem się doskonalić swoje rzemiosło malarskie. Nikt nie wierzył, że próbuję pokazać coś więcej niż zwykłe uliczne scenki. A ja usiłowałem uchwycić coś, co mówiłoby o życiu paryskich ulic, a więc malowałem nie tylko domy, ale także otaczającą je przestrzeń, nie tylko chaotyczne skupisko murów czy zakamarki podwórek, ale to, co sprawia, że chce się tu żyć.

Nie mogłem też zaniedbywać spraw kompozycji, wzajemnych relacji okien i drzwi, wiernego oddania labiryntów podwórek. Czasami miałem ochotę krzyczeć z zachwytu na widok cudu, jakim był widok sylwetek domów rysujących się wyraźnie na tle zmieniającego nieustannie barwę paryskiego nieba. Nauczyłem się kochać Paryż z jego zmiennymi nastrojami. Malowałem na tych ulicach w skwar i ziąb, próbując uchwycić reakcje ludzi na zmiany pogody, pokazać, jak chowają się przed wiatrem w załomkach domów.

Czasami ludzie przystawali i przyglądali się mojej pracy. Wdawałem się z niektórymi w długie rozmowy, wyjaśniając, dlaczego maluję te stare domy, te, jak to określiła pewna kobieta, „obskurne, spękane, zmurszałe, nędzne mury”. Ja wcale o nich w ten sposób nie myślałem. Miały swoją rację bytu tak samo jak ja; całe to skupisko ludzi, psów, kotów, szczurów i ścian coś dla mnie znaczyło, więc usilnie starałem się odkryć, co decyduje o magii tych miejsc, i wyjaśnić, na czym ona polega.

W pewnym sensie było z tym tak, jak z moją szybkością. Czułem się oderwany od spraw ziemskich, cudownie wolny. Wiedziałem, że zawsze będę odczuwał potrzebę spędzenia jakiegoś czasu tu, w Paryżu, zwłaszcza w okolicy, w której mieszkaliśmy. Tak się szczęśliwie składało, że Rosemary myślała podobnie. Moja żona jest w pewien szczególny sposób moją najzagorzalszą wielbicielek.

Lubiliśmy wychodzić wieczorami, po nakarmieniu dzieci, i delektować się niedrogim francuskim jedzeniem serwowanym w małych rodzinnych knajpkach.

Mniej więcej w tym czasie zacząłem fotografować moje obrazy w różnych fazach powstawania, począwszy od szkicu, a skończywszy na laserowaniu i nakładaniu werniksu.

W restauracyjkach, w których jadałaliśmy, pytali zawsze, co tego dnia zrobiłem. Raz w tygodniu, zwykle w soboty, pokazywałem im zdjęcia. Pytania, jakie mi zadawali, były prawie zawsze oryginalne i interesujące. Dziwiło ich to, że nie maluję obrazów abstrakcyjnych. Francuzom, podobnie jak większości ludzi, kompletnie pomieszały w głowach ekstrawagancje nowoczesnego malarstwa. Musiałem po kilka razy wyjaśniać, że odrzuciłem taki sposób wyrażania swojego emocjonalnego stosunku do Paryża, do nich i w ogóle do Francji. Zwykle przyjmowali moje wyjaśnienie, że nie jestem zwolennikiem abstrakcji i że fizyczne istnienie murów, nieba i ulic, na których toczy się życie, jest dla mnie czymś szczególnym i ekscytującym. Piękno znajduje się najczęściej gdzieś poza kolorem, formą, ruchem czy zwykłymi mechanizmami percepcji, na których bazuje malarstwo abstrakcyjne.

Lubiłem rozmawiać z tymi ludźmi; stwierdzałem, że jeśli chodziło o moją koncepcję postrzegania rzeczywistości, dzielił nas mniejszy dystans niż ten, który dzielił mnie i większość innych artystów. Chwilami trochę mnie to niepokoiło, ale wtedy przypominałem sobie czasy, kiedy byłem jedynym znanym mi tak niesamowicie szybkim człowiekiem, i myślałem o tym, jak głębokie są moje autorefleksje w porównaniu ze statyczną percepcją rzeczywistości, w jakiej tkwili inni. W pewnym sensie izolowało mnie to od niej, ale jednocześnie sprawiało, że czułem się jej częścią.

Nasze drugie, większe mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, ale piętra w tym budynku były znacznie wyższe niż przeciętne. Z parteru na piętro, na którym mieszkaliśmy, prowadziło siedemdziesiąt pięć stopni. Schody były piękne, wiły się spiralnie, nie miały prawie podestów na piętrach. Okalały przestronny szyb; w dole widać było podwórze. Mnie bawiło spoglądanie w dół i uważałem taką konstrukcję za wyjątkową zaletę domu, ale dla Rosemary takie schody, nawet z poręczą, były niebezpieczne i budziły w niej niepokój. Po kilku miesiącach przewyciężyła jednak lęk wysokości i już bez problemu wspinała się na ten nasz miniaturowy Mount Everest.

Mój niepokój budziła natomiast groźba pożaru w takich starych budynkach. W Paryżu nie ma wyjść ani schodków ewakuacyjnych, jakie spotyka się w większości miast amerykańskich.

Brak tych schodków i oplatającej nasze miasta pajęczej sieci instalacji elektrycznej to jedna z tajemnic urody Paryża. Martwiłem się jednak, jak nasze dzieci zdołają uciec przed ogniem w razie pożaru, zwłaszcza że te piękne schody były drewniane. Nie miałem wtedy pojęcia, jak radzą sobie z tym Francuzi.

Tymczasem okazało się, że podłogi na każdym piętrze są podwójne i przestrzeń między nimi jest wypełniona piaskiem. Działa to tak, że kiedy wybuchnie pożar i ogień strawi dolną podłogę, piasek spada i gasi płomienie na niższym piętrze. Jest to jeden z powodów, dla których rzadko słyszy się w Paryżu wycie syren strażackich, a także jakiegokolwiek hałas z góry. Piasek nie tylko gasi płomienie, ale także tłumi wszelkie odgłosy. Mimo to obawiałem się pożaru.

Poszedłem do wielkiego domu towarowego Le Bazaar de l'Hôtel de Ville i kupiłem długą linę, najgrubszą, jaką udało mi się znaleźć. Miała ponad pięćdziesiąt metrów długości. Cała rodzina była zafascynowana tym zakupem. Matt podejrzewał, że ma to coś wspólnego z moimi wyczynami „szybkościowymi”.

Zagoniłem Kate i Matta do roboty, każąc im wiązać na tej grubej linie supły, co pół metra, na całej długości. Było to poważne zadanie i jego wykonanie zajęło im ponad dwa tygodnie. Kiedy zawiązali ostatni supeł, chwyciłem linę za jeden koniec i wyrzuciłem ją przez okno na podwórze. Drugi koniec przywiązałem do kaloryfera. Kiedy wyjrzałem przez okno, okazało się, że lina, zgodnie z moimi przewidywaniami, zwisa, kołysząc się swobodnie, nad podwórkiem.

Rosemary nie komentowała całego przedsięwzięcia, dopóki nie wyrzuciłem liny na zewnątrz. Wcześniej zwój wypełniał salonik, a jeden koniec leżał niczym wąż na naszym stole. Ale kiedy wyrzuciłem linę za okno, moja żona w końcu przemówiła.

– Will, czy mogę zapytać, o co tu właściwie chodzi? Czyżbyś zamierzał zademonstrować nam jeden ze swoich wyjątkowych talentów, żeby dostać pracę w cyrku?

Przyznam się, że udawanie tajemniczego osobnika, który nie ujawnia wszystkich swoich planów, bardzo mnie bawiło.

– Nie, moja droga, to jest lina ratunkowa, a nie coś, co miałoby pobudzać ciekawość mojej zazwyczaj wyrozumiałej żony, ani nic, co można by demonstrować w wesołym miasteczku. Zresztą sama zobaczysz.

Wciągnąłem linę z powrotem i wcisnąłem ją pod łóżko Kate. Potem odczekałem, aż dzieci pójdą do szkoły, a Rosemary z Willem na spacer połączony z zakupami. Kiedy zostałem sam, znów wyrzuciłem jeden koniec liny przez okno i opuściłem ją tak, że zaczęła się układać w zwoje na ziemi. Potem opasałem się drugim końcem, który przewlokłem przez kaloryfer. Po wypróbowaniu jego wytrzymałości na obciążenie otworzyłem okno i zacząłem się powoli opuszczać. Zwykle nie mam lęku wysokości, ale teraz podwórze wydawało mi się bardzo odległe. Przesunąłem linę tak, żeby nie dyndała przed żadnym oknem, i byłem gotów do eksperymentu.

Chwytnąc linę coraz niżej to jedną, to drugą ręką, zacząłem się opuszczać. Cały czas odbijałem się nogami od ściany budynku i stwierdziłem, że utrzymanie się na linie nie jest dzięki grubym węzłom trudne. Nie chciałem próbować, czy zdołam podciągnąć się w górę, ale to nie byłoby prawdopodobnie konieczne. Nie zamierzałem też zostać włamywaczem – akrobatą.

Byłem szczęśliwy, stanąwszy na bruku. Spojrzałem na linę i pomyślałem o dzieciach: czy poradziłyby sobie z zejściem równie łatwo?

Przez kilka następných dni kazałem im ćwiczyć opuszczanie się z antresoli do salonu. Nie miały najmniejszego problemu z tą wysokością, nie chciałem jednak, żeby próbowały zjeżdżać po linie na podwórze, choć Matt zapewniał mnie, że potrafiłyby to zrobić – i prawie mnie przekonał.

Częścią eksperymentu było też zjeżdżanie do saloniku po słupie. Okazało się to wielką atrakcją, nawet zbyt wielką zdaniem mojej żony, która utrzymywała, że dzieci w końcu pospadają. Ale nie pospadały, a jeszcze dodatkowo namówiły mnie, żebym uciął końcówkę liny, która była zbyt długa do naszych celów, i powiesił ją obok słupa do zjeżdżania. Przerzucali się ze słupa na linę i z powrotem. Zacząłem już podejrzewać, że daje o sobie znać „gen szybkości”, ale na szczęście na tej zabawie się skończyło.

Ze względu na swą dostępność, nawet normalną drogą, po schodach, podwórko, choć niezbyt duże, stało się dla naszych dzieci placem zabaw. Wymyślały różne rodzaje gry w piłkę, a to, że podwórze było wąskie, okazało się nawet korzystne, bo piłka nie leciała tam, gdzie nie trzeba. Sąsiedzi nie byli jednak zachwyceni tymi zabawami naszych dzieci i zapraszanych przez nich kolegów, musiałem więc w końcu zwołać rodzinne zebranie, żeby przedyskutować ten problem. Wszyscy zgodzili się co do tego, że robią zbyt wiele hałasu, i postanowili przenieść się z zabawami do parku o dwie przecznice dalej, gdzie nie przeszkadzaliby nikomu, a przynajmniej zrządzającemu ojcu i sąsiadom.

Najlepiej nadawał się ich zdaniem do zabawy stary plac Saint Sulpice z fontanną, ale był on zbyt oddalony od naszego domu. Mieliśmy jednak niedaleko do przystanku autobusowego. Można było stąd dojechać prosto do Ogrodu Luksemburskiego albo do placu Saint Sulpice, więc w środy i soboty dzieciaki wsiadały do autobusu z piłkami i jechały się bawić. Nasi sąsiedzi natychmiast się uspokoili.

Tymczasem ja wciąż malowałem na ulicach, ale poszerzałem obszar swych działań, jeżdżąc na rowerze. Zakładałem na plecy kasetę, przewieszałem przez bagażnik worki pełne buteleczek z terpentyną, werniksami i rozcieńczalnikiem i ruszałem w plener. Znalazłem miejsce, gdzie mogłem przechowywać rower i swój sprzęt; była to mała, na pół rozwalona komórka na naszym podwórzu. Wysprzątałem w niej, wyremontowałem, co trzeba, i założyłem drzwi z porządnym zamkiem. Potem przenieśliśmy tam na plecach wszystkie farby i cały sprzęt, dzięki czemu wybitnie powiększyła się moja przestrzeń do malowania. Skonstruowałem też podest

i prowizoryczne schodki, i wysokie stelaże do przechowywania obrazów, podobne do tych, jakie zbudowałem w mieszkaniu przy Saint Sulpice.

Kiedy zrobiło się zbyt zimno, żebym mógł pracować na ulicy, i kiedy okazało się, że mały Will i reszta dzieci potrzebują więcej miejsca w mieszkaniu, musiałem znaleźć jakieś rozwiązanie. Miałem też dość smarowania moimi farbami wszystkiego dookoła. Spróbowałem więc malować na niewielkim podeście w komórce, otoczony obrazami namalowanymi wcześniej w plenerze. Było mi trochę ciasno.

Kupiłem mały piecyk na naftę, a właściwie nie kupiłem, tylko znalazłem na śmietniku. Miałem prawdziwego fioła na punkcie przeszukiwania śmietników, i to odpowiednio wcześniej, zanim pojawiali się tam zawodowcy. Stwierdziłem, że człowiek mógłby bez trudu funkcjonować, korzystając z tego, co inni wyrzucili na śmietnik. Oczyszcziłem i wyremontowałem piecyk, znalazłem też sklepik, w którym można było tanio kupić naftę.

Ustawiłem w tym swoim małym śmieciarskim niebie sztalugi i z grzejnikiem między nogami zacząłem malować w otoczeniu płócien i farb.

Podczas chłódów malowałem głównie martwe natury, kompozycje z kwiatów i owoców, kupowanych na Marche d'Aligre, o kilka przecznic dalej. Czułem się wspaniale, mając te wszystkie barwne kwiaty i owoce przed oczami w szare zimowe dni.

Zacząłem dzielić swoje malarskie sesje na „plenerowe” i „wnętrzowe, z piecykiem”. Ze względu na ciasnotę malowałem głównie na małych formatach. Zacząłem też myśleć o samodzielnym robieniu blejtramów, bo te w sklepach były drogie. Kupiłem w składach drzewnych w sąsiedztwie trochę długich listew. Miałem swoje piły, młotki i dwa śrubokręty – zwykły i krzyżakowy. Brakowało mi tylko jakiegoś imadła albo ścisku, żeby połączyć listwy pod właściwym kątem, ale nie znalazłem nic odpowiedniego podczas moich śmietnikowych eksploracji.

Większość ludzi w okolicy pracowała „w drewnie” i w związku z tym nikt nie wyrzucał niczego, co byłoby przydatne jako narzędzie. Ale posługując się starymi ramami okiennymi i kawałkami ościeżnic, ustawiłem właściwy kąt i przybiwszy z tyłu trójkąty ze sklejki, zmajstrowałem prostokątne blejtramy.

Na bazarze znalazłem odpowiednie płótno lniane i kupiłem od razu całą belę. Pociąłem je na kawałki odpowiednich rozmiarów, naciągnąłem i stosując specjalną, własną metodę, przypiąłem pinezkami do ramy. Potem zagruntowałem płótno klejem stolarskim, zakupionym w składzie budowlanym.

Kiedy blejtramy wyschły, pociągnąłem każdy potencjalny obraz gruntem gesso, odczekałem, aż wyschnie, i nałożyłem drugą warstwę. Dzięki temu miałem blejtramy za jedną trzecią ceny, jaką zapłaciłbym w sklepie z materiałami malarskimi. Nie byłem pewien, jak się sprawdzą w robocie, ale wyglądały dobrze. Trochę się marszczyły w rogach, jednak i z tym jakoś sobie

poradziłem. Nie rozwiązałem tylko problemu, jak malować podczas chłódów. Wprawdzie piecyk grzał mi nogi, ale farby gęstniały tak, że nie dało się ich rozprowadzać na płótnie. Sztywniały mi też palce i traciły całą niezbędną wrażliwość. No ale skoro byłem malarzem, musiałem znaleźć jakieś wyjście.

Jednym z moich najwspanialszych trofeów z wypraw na śmietniki była zdezelowana maszyna do pisania marki Underwood. Zastąpiła mi starą, którą w okresie kryzysu musiałem sprzedać. Maszyna była zakurzona i oblepiona brudem, więc klawisze w ogóle nie chodziły, ale pomyślałem sobie, że coś z niej wycisnę. Wykąpałem ją całą w alkoholu. Był to najmniej kosztowny rozpuszczalnik, jaki przyszedł mi do głowy, a miałem już dość wdychania oparów terpentyny. Miałem nadzieję, że nie będzie się lepila po wyschnięciu. Wykąpałem ją tak trzy razy, a potem postawiłem na końcu podwórka w niezbyt nasłonecznionym miejscu. Kiedy się wchodziło do pokoju, w którym schła, wrażenie było piorunujące. Jechało gorzałką jak w starej knajpie. Posługując się pędzelkami i druciakiem, oczyściłem klawisze i cały mechanizm. Nie udało mi się tylko uruchomić klawisza z literą „w”.

Po trzech dniach przeklinania i siódmych potów maszyna zaczęła działać. Zaczynał się jeszcze mechanizm cofacza, ale w końcu udało mi się go naprawić. Taśma była naturalnie w strzępach. Zainwestowałem trochę gotówki i kupiłem staroświecką dwukolorową taśmę, czarno – czerwoną. Szukałem normalnej, czarnej, ale w sklepie papierniczym, w którym ją kupiłem, akurat takiej nie mieli. Zamierzałem napisać książkę, w której zebrałbym i połączył doświadczenia z ulicy z moimi nowymi poglądami na istotę malarstwa. Właściwie niczego jeszcze nie napisałem, nie licząc kilku wierszy, które miały być werbalnym ekwiwalentem moich obrazów (jakby w ogóle coś takiego dało się zrobić), ale uważałem, że stary Śmigacz potrafi pisać książki tak, jak potrafił wszystko inne.

Było to jednak znacznie trudniejsze, niż myślałem. Wyobrażałem sobie, że pisanie jest czytaniem *à rebours*, ale okazało się, że to coś więcej. Szczęśliwie moje doświadczenie w zakresie kompozycji obrazu pomagało mi rozwiązać pewne problemy.

Próbowałem przekazać coś z moich obłądnych przeżyć wojennych. Spędziłem na pisaniu większość zimowych popołudni, zanim doprowadziłem rzecz do końca. Rosemary, moja nauczycielka angielskiego, próbowała mi jakoś pomóc, ale moje problemy były dla niej właściwie niezrozumiałe. Przekonałem się, że sztuka pisania przypomina malarstwo: w żadnej z tych dziedzin twórczości nikt nie może człowiekowi pomóc. Pisanie książki to przedsięwzięcie dla jednej osoby, bez względu na temat. Żadne poszukiwania i dociekania nie pomogą, jeśli człowiek nie ma własnych doświadczeń. A jeżeli nie zachowa należytej ostrożności, może się to skończyć napisaniem czegoś w rodzaju książki kucharskiej lub przewodnika turystycznego, co nie będzie miało wiele wspólnego z tym, co chciał naprawdę powiedzieć.

Książkę w końcu napisałem, co zajęło nieco więcej czasu, niż sobie wcześniej wyobrażał pan

Śmigacz. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęła się pogoda sprzyjająca malowaniu w plenerze. Kiedy przeczytałem książkę, stwierdziłem, że nie udało mi się powiedzieć tego, co miałem do powiedzenia.

Być może traumatyczne przeżycia nie tak łatwo wyrazić. Typowe amerykańskie opisy wojny, takie jak w książkach Hemingwaya czy w *Szkarłatnym godle odwagi*, nigdy nie robiły na mnie wielkiego wrażenia. Nawet niektóre nowsze książki, jak *Młode lwy*, wydawały mi się mdłe w porównaniu z moimi wrażeniami z okresu, kiedy doświadczyłem „wojennego obłędu”. Porzuciłem więc plany literackie, przykryłem maszynę pokrowcem, schowałem maszynopis w bezpiecznym miejscu za belką pod sufitem, po czym spakowałem sztalugi i farby, gotów do powrotu na ulice.

Zmęczyła mnie też woń naszego podwórka, mieszanina zapachu starych murów, ludzi i zapachów kuchennych wydobywających się z licznych pootwieranych okien. Coś takiego może być męczące dla kogoś, kto czeka, że lada chwila nadejdzie wiosna.

Na ulicy poczułem znów, że żyję. Skupiałem uwagę na różnych podwórkach i drewnianych drzwiach, o których myślałem przez całą zimę. Niemal zadurzyłem się w konsjerżkach, zamiatających jezdnie i chodniki i wykonujących inne typowe czynności. Mycie okien także nabrało impetu. Czułem się tak, jakby razem z tymi oknami przejrzały moje oczy, co od razu znalazło odbicie w obrazach. Moje ostatnie prace skończone przed nadejściem jesieni i zimy miały ciemniejszą, bardziej szarą tonację, co odpowiadało światłu i nastrojowi tamtego czasu. Nie wpłynęło to właściwie na jakość obrazów, tylko jakby je pogłębiło i przepełniło atmosferą melancholii. Przygotowywałem się na nadejście wiosny i późniejszy wspaniały moment przeskoku do lata. Byłem tego złakniony. Pięć pierwszych obrazów miało tak żywe kolory i tyle było w nich światła, że zużyłem prawie cały zapas czerwieni, oranżów, błękitów, żółcieni, a zwłaszcza żółcieni kadmowej.

Szczęśliwie sprzedaliśmy dziesięć obrazów zimowych, a więc napełniłem nasze rodzinne kufry brzęczącą monetą, a przy okazji zyskałem miejsce na nowe płótna. A kufry te musiały być pełne, bo wraz z nadejściem lata zamierzaliśmy wrócić do Seeshaupt i naszego jeziora, a to oznaczało zwiększone wydatki na farby plus koszty podróży do Bawarii. Czekala nas długa podróż: musieliśmy przejechać 880 kilometrów bardzo małym, ale ekonomicznym fiatem multiplą, zatrzymując się tylko raz, żeby coś zjeść w hotelu na granicy francusko-niemieckiej. Nawiasem mówiąc, rodziny tak liczne jak nasza rzadko zatrzymują się w hotelach.

Wyjechaliśmy z Paryża naszym fiacikiem wypełnionym po dach, na którym jeszcze piętrzyła się sterta bagażu. W środku też było mnóstwo gratów. Nie licząc oczywiście mojej kasy i blejtramów. Wyglądaliśmy trochę jak żółw chory jednocześnie na świnkę i na puchlinę wodną. Wyruszyliśmy wieczorem, ułożywszy dzieci na różnych miękkich materiałach, takich jak prześcieradła, koce i cała nasza letnia garderoba. Musiały się ułożyć ciasno jedno obok drugiego,



na poziomie okien. Miały dzięki temu wspaniały widok, oczywiście dopóki się nie ściemniło. Bałem się, że jeśli jakiś *flic* zajrzy do środka, może nas zatrzymać. Dzieci, jak na takie warunki, zachowywały się fantastycznie. Obiecałem im, że w Niemczech dostaną nagrodę, jakiej tylko sobie zażyczą. Zналиśmy pewien hotel przy granicy, gdzie mogliśmy się przespać, można tam też było zjeść *Wienerschnitzel* z frytkami. Mieli prawdziwie międzynarodową kuchnię. Rosemary trzymała na kolanach śpiącego Willa, a ja garbiłem się nad kierownicą, odczuwając boleśnie razem z naprawioną osią każdy wstrząs.

Dla zabicia czasu natychmiast po przekroczeniu granicy krainy szampana zaczęliśmy śpiewać. Jechaliśmy prosto na wschód autostradą nr 4. Trasa była długa i nic dziwnego, że małego Willa zmorzył sen. Chyba z piętnaście razy odśpiewaliśmy *I've Got Six Pence, Jolly Jolly Sixpence*, piosenkę, która jest jednocześnie ćwiczeniem w szybkości i wytrzymałości.

Poprzestaliśmy na tym piętnastym razie wszyscy, oprócz Kate, która dalej nuciła pod nosem. O ile ją dobrze znam, chodziło o jej głęboką wiarę, że jeśli ona niczego nie zmieni, to nic się nie zmieni samo. Moja córka była niesamowita z tymi swoimi drobnymi przesądami.

Do hotelu dotarliśmy o północy. Obudziłem dzieci, a Rosemary poszła do recepcji załatwić posiłek i zameldowanie. Zwykle braliśmy dwa pokoje, jeden dla starszych dzieci i jeden dla Willa, Rosemary i dla mnie. Rosemary załatwiła rezerwację telefonicznie, więc już na nas czekali. W ciągu dziesięciu minut rozbudzone dzieci były na nogach i to obutych – szczęśliwie tym razem żaden but nie zginął. Były też gotowe do kolacji, przypominały sobie różne pyszności, które jedliśmy wcześniej w tym hotelu.

Biedna Camille zasnęła nad swoimi frytkami; pozostała dwójka jakoś się trzymała, ale widać było, że są wykończeni. Przyniosłem z samochodu duże papierowe torby z piżamami i zmianą ubrania na następny dzień. Rosemary ukołysała Willa, po czym powłócząc nogami, ruszyliśmy na górę. W pokoju runęliśmy na łóżka i była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem.

## Rozdział V

Wszystko to brzmi jak streszczenie jakiejś zwariowanej kreskówki, ale w rzeczywistości nie było takie zabawne. Przede wszystkim ciągle brakowało nam pieniędzy. Żadne z nas nie miało rodziców, dziadków ani nikogo, kto mógłby nam ich pożyczyć. Oboje pochodzimy z robotniczych rodzin. Nie mamy w banku nic oprócz niewielkiej sumki na czarną godzinę, dzięki której uda nam się pewnie jakoś przeżyć lato.

Najwięcej pieniędzy pochłaniały moje materiały malarskie. Jak się zapewne domyślicie, choć kupowałem tylko rzeczy niezbędne, farby, płótno, pędzle, terpentynę i damarę, zużywałem tego bardzo dużo. Werniks sporządzałem sam, mieszając w specjalnych proporcjach kryształki damary z terpentyną. A musiała to być terpentyna oczyszczona, znacznie droższa od zwykłej. Damera pochodzi z Filipin, pigmenty sprowadza się z całego świata, płótna powinny być z Holandii, która jest źródłem zaopatrzenia w len najwyższej jakości, ale ja rzadko mogłem sobie na holenderskie płótna pozwolić, więc kupowałem byle co.

Malowałem przeciętnie pięćdziesiąt obrazów rocznie. Sprzedawałem, jeśli dopisywało mi szczęście, połowę, czyli dwadzieścia pięć. Koszty samych tylko materiałów zużywanych do namalowania jednego obrazu wynosiły czterysta franków, czyli około osiemdziesięciu dolarów. Jeśli sprzedawałem obrazy sam, bez pośrednictwa marszanda czy galerii, mogłem wyciągnąć tysiąc franków, to jest dwieście dolarów za obraz. A trudno znaleźć kogoś, kto ma tyle pieniędzy, odwagi i pojęcia o malarstwie, żeby zapłacił taką kwotę. Ja zaś, chcąc znaleźć się w czołówce francuskich podatników, musiałbym żądać znacznie więcej.

Ponieważ malowałem albo na ulicy, albo w mojej komórce na podwórzu, oszczędzałem na kosztach wynajmu pracowni, która miała, można powiedzieć, powierzchnię nieograniczoną. Obliczałem, że uwzględnivszy koszty materiału, wynajmu galerii i honorarium marszanda, mogłem liczyć na najwyżej dwieście dolarów za obraz. Mnożąc to przez pięćdziesiąt – gdybym oczywiście sprzedawał wszystko, co namalowałem – uzyskałbym dziesięć tysięcy dolarów, ale po stronie wydatków dochodziły jeszcze koszty prezentacji obrazu. Nie wszystko zresztą udaje mi się sprzedać i nie wszystko zgadzam się przemaalować na żądanie klienta. Cały czas jechaliśmy zatem na znacznym deficycie. Już same opłaty za mieszkanie mogły nas zrujnować. Wciąż kombinowałem, jak by tu zwiększyć sprzedaż obrazów i na czym zaoszczędzić, ale nic z tego nie wychodziło.

Jedyną sprawą, w jakiej osiągnąłem pewien postęp, było zwiększenie liczby godzin zajęć z malarstwa, jakie zacząłem prowadzić.

Na moje ogłoszenie, które wywiesiłem na tablicy w hallu Amerykańskiej Szkoły w Paryżu, odpowiedziało dwadzieścia osób – szesnaście kobiet i czterech mężczyzn. Po ustaleniu, gdzie będą się odbywały zajęcia i jakie będą opłaty, na naukę zdecydowało się dziewięcioro

kandydatów. Większość nie miała żadnych doświadczeń malarskich, ale wszyscy chcieli praktycznych zajęć, a nie wykładów o sztuce, co zresztą bardzo mi odpowiadało. Odbiłem na kserokopiarence spisy niezbędnych materiałów, podałem swój prywatny adres oraz dni i godziny, w jakich miałyby się odbywać zajęcia i znów wywiesiłem tę informację w szkole. Możecie mi wierzyć albo nie, ale po tygodniu odbyła się pierwsza lekcja. Ustaliliśmy, że będziemy się spotykać rano, w naszym mieszkaniu.

Większość moich uczniów miała dzieci w szkole amerykańskiej, więc zaproponowana przeze mnie godzina bardzo im odpowiadała. Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, a opłata wynosiła dziesięć dolarów za godzinę. Było to dla nich sumą do przyjęcia, nam zaś pieniądze te poważnie zasilily budżet. Postanowiłem, że sam malować będę po południu, tym bardziej że dni coraz bardziej się wydłużały. Rosemary zapowiedziała, że w tym czasie będzie wychodzić na zakupy, zabierając z sobą Williama. Wykorzystywała jego wózek do transportu produktów spożywczych i innych zakupionych drobiazgów.

Przystosowałem do zajęć nasz salonik. Korzystamy z wielkiego stołu, który zmajstrowałem sam z szerokich, lekko wypaczonych dech, zakupionych okazyjnie w składzie drzewnym. Stół ma trzy metry długości i metr szerokości, jest masywny i ciężki. Matt razem z jednym ze swych kolegów pomogli mi wtaszczyć deski po schodach na górę i ułożyć je w salonie. Ledwie sobie z tym poradziliśmy. Dechy wyglądały na wielkie już w składzie, ale po wniesieniu do pokoju i zmontowaniu z nich stołu okazał się on prawdziwym monstrem.

W tym samym składzie zakupiłem też kantówki dziesięć na dziesięć centymetrów na nogi i jedną dodatkową, długą na trzy metry, do przybicia pod blatem. Aby zwiększyć stabilność stołu, przybiłem jeszcze dwie listwy na krzyż i przykręciłem solidne żelazne kątowniki, do których przymocowałem nogi. Na malowanie nie zostawało mi wiele czasu. Musiałem się na parę dni przeobrazić w konstruktora, stolarza i wołu roboczego w jednej osobie.

Złożyłem wszystko na podłodze saloniku. Kiedy już za pomocą mojego niezawodnego śrubokrętu i pary kombinerek przykręciłem nogi do kątowników i do blatu sześciocentymetrowymi wkrętami, odwróciliśmy stół i ustawiliśmy go na środku pokoju.

Matt zwolnił się specjalnie z lekcji. Stwierdził, że dowie się więcej o życiu, montując stół, niż z jakiegokolwiek lekcji. Ja z kolei dowiedziałem się wiele o nim, o jego sile i woli. Kate też nie poszła do szkoły, żeby nam pomóc. Także ona chciała się czegoś nauczyć; nie mogła być przecież gorsza od brata. Nie muszę mówić, że ja nauczyłem się w trakcie tej roboty tyle samo, co oni.

Jeszcze jedną osobą, która dowiedziała się wiele o stołach – i przy okazji o nas – była Rosemary.

Jedliśmy na razie w kuchni. Po robocie dosłownie padliśmy.

Całe to monstrum przypomina tłustą krowę ze sterczącymi do góry nogami. Drewno to

mahoń z Filipin, twardszy niż dąb.

Następną wielką operacją po zmontowaniu ma być postawienie tego kolosa na nogi w taki sposób, żeby nie poluzowały się wkrety. Nie śpię całą noc, trapiąc się, jak to zrobić.

Skąd, u licha, wziął mi się pomysł skonstruowania tego olbrzyma? Uświadomiłem sobie, że robię to dla moich uczniów, żeby mieli miejsce do pracy. Ale dechy kupiłem wcześniej, więc cała idea musiała już gdzieś tkwić w mojej świadomości. To typowe dla mnie zaczynanie „od pieca”, tak postępowałem zawsze i jest to prawdopodobnie część syndromu „Śmigacza”.

Kolejny dzień spędzamy ze szlifierką przyniesioną z pobliskiej wypożyczalni narzędzi; kiedy stół jest już gładki, nakładamy pierwszą warstwę politory. Nie możemy jeszcze szlifować blatu, bo stół w dalszym ciągu leży do góry nogami, więc przerywamy robotę i idziemy do *friterie*, a po powrocie prawie natychmiast kładziemy się do łóżek – wdychamy opary politory i śnimy jakieś koszmary. Decydujący dzień mamy jeszcze przed sobą. Teraz musimy przeobrazić tego kloca, tę zawalającą cały pokój abstrakcyjną rzeźbę, w coś użytecznego. Wszyscy, Matt, Rosemary, Camille i ja, stajemy w szeregu po jednej stronie stołu; każde ma pod ręką po kilka opasłych tomisk – słowniki, antologie, nawet *Przeminęło z wiatrem*. Zamierzamy podnosić stół po troszeczkę i w miarę podnoszenia wsuwać pod blat książki. Wiedziałem, że w literaturze można szukać oparcia, ale że może być ona oparciem dla stołu... Mówię to półgłosem i Kate o mało nie upuszcza sobie ciężaru na nogi.

– Tato, błagam, przestań z tymi twoimi dowcipami. To poważna sprawa.

Zabieramy się znów do roboty. I udaje nam się! Dochodzimy do etapu, na którym stół opiera się częściowo na krawędzi blatu, a częściowo na końcach nóg. Nic najwyraźniej nie puściło, jedyne odgłosy, jakie słyszę, to nasze stękanie. Wcielam się w rolę faraona nadzorującego ustawianie mastaby albo czegoś w tym rodzaju.

– A teraz, dzieci, rzecz najtrudniejsza, decydująca próba. Kate, ty i Camille staniecie z mamą po jednej stronie, a Matt niech stanie po drugiej. Spróbujemy go postawić na nogi, ale najpierw poproszę cię, Rosemary, żebyś usunęła na bok książki i wyprostowała dywan. A my tymczasem zbierzemy siły przed ostatecznym atakiem.

Wszyscy zajmują nowe pozycje, Rosemary nerwowo usuwa książki i wygładza dywan. Czekam, aż wszyscy ucichną, żeby posłuchać, co jeszcze mam do powiedzenia.

– No więc na „trzy” podnosimy stół. Ale musimy robić to ostrożnie, bo nie chcemy go sobie chyba upuścić na nogi, prawda? Okej. Wszyscy gotowi? Uważajcie, żeby nie przytłuc sobie palców. Jak powiem „trzy”, podnosimy.

Nabieram tchu. Po chwili stół jedzie w górę; słychać skrzypienie, ale nic nie trzeszczy, jakby miało pęknąć. Wreszcie potwór staje na wszystkich czterech nogach, a my spoglądamy na siebie i oddychamy z ulgą. Czuję, że pot zalewa mi oczy. To przede wszystkim nerwowe. Uśmiechamy się do siebie. Próbnie naciskam blat; stół leciutko się chwieje, ale w zasadzie stoi stabilnie.

Wygląda pięknie i idealnie pasuje do dużego pokoju. Zadowoleni, chcemy jak najszybciej uczcić sukces. Postanawiam pójść na stragan na naszym Marche d'Aligre po porcję gyrosu dla każdego. Mamy wreszcie stół, przy którym możemy jeść. Ustawiamy dookoła krzesła, siadamy i uśmiechamy się do siebie. Nie byłem pewien, czy krzesła normalnych rozmiarów będą dobre do tak monstrualnego mebla. Okazuje się, że pasują do niego jak ulał. Camille mówi głośno to, co myślą wszyscy.

– Wiesz, tato, to wygląda zupełnie jak stół na dworze króla Artura, tyle że nasz nie jest okrągły. Czuję się trochę jak królowa.

– Ja jestem matką, a więc to mnie przypada rola królowej – mówi Rosemary.

– A co byście powiedzieli, gdybyśmy go teraz wyszlifowali i pociągnęli lakierem, żeby był idealnie gładki? – pytam.

Daję nura do mojej pracowni i przynoszę stamtąd dwie świeżo zakupione puszki lakieru. Mam nawet nowiutkie pędzle. Sądząc po uśmiechach dzieci, podobnie jak ja aż palą się do roboty. Rozdaję pędzle i szmatki do wycierania, czyli stare pieluchy Williama. Te pieluchy zdążyły obsłużyć czwórkę dzieci, są więc mięciutkie i bardzo chłonne. Mam ich tyle, że dla każdego wystarcza po dwie. Wydaje mi się, że skończyliśmy z pieluchami, przynajmniej na jakiś czas. Jeśli pojawi się na horyzoncie nowy niemowlak, przrzucimy się na inne, nowoczesne pieluszki jednorazowego użytku i pomyślimy nad urządzeniem jeszcze jednej sypialni. Już zaczynam w wyobraźni szastać forsa, jaką spodziewam się zarobić, ucząc i malując. A jeszcze teraz, z tym nowym stołem!

Najpierw wygładzam ręcznie, papierem ściernym, boki stołu. Chcę, żeby drewno wyglądało jak najnaturalniej. Nie ma prawie wcale pyłu, więc od razu otwieramy puszki. Możemy zaczynać. Jeśli wydawało mi się, że farba, którą pomalowaliśmy spód, śmierdziała, to tylko dlatego, że nie wahałem tego nowego paskudztwa.

Smród jest zabójczy. Wypełnia cały pokój. Owijamy sobie twarze czystymi pieluchami, żeby go nie wdychać. Wyglądamy jak banda lekko spłoszonych rabusiów. Kto kiedy widział rabusiów w maskach ze spranych, poplamionych siuškami szmat?

Ale wykonujemy robotę i okazuje się, że ten specjalny lakier jest po wyschnięciu twardszy od politory. Chłopak ze sklepu z farbami powiedział mi, że to specjalny przemysłowy lakier syntetyczny do malowania na wysoki połysk. Nie mam pojęcia, co to jest, ale blat wygląda teraz, jakby był z marmuru czy z „marmurkowanego” drewna. Przypomina jakąś kamienną płytę nagrobną z wykopalisk. Stwierdzamy, że na powierzchni nie ma śladu pociągnięć pędzla. Śladów nie zostawiają też na blacie mokre szklanki. Może Rosemary jest rzeczywiście królową i zmieniła prawa fizyki?

Od chwili, kiedy w salonie stanął stół, pokój nabiera nadzwyczajnych właściwości. Dzieciom

idzie lepiej w szkole, bo odrabiają lekcje przy stole, który nazwaliśmy magicznym.

Wszystko to trochę mnie niepokoi. Ta pozytywna odmiana magii zdominowała nasze życie rodzinne, ale czułem jednocześnie, że moja własna magia, przejawiająca się w szybkości, zaczyna mnie opuszczać. Bałem się powiedzieć o tym Rosemary, bo była taka szczęśliwa, ale należało spojrzeć prawdzie w oczy: straciłem całą siłę w nogach. Zaczynam myśleć o tak strasznych chorobach, jak polio i różne rodzaje uszkodzeń ośrodkowego układu nerwowego, ale uzmysławiam sobie, że przecież byłem szczepiony przeciw polio. Mogą to być zatem różne rzeczy. Pewnie, starzeję się, ale czuję też, że jest w tym coś więcej.

Wiem, że powinienem iść do lekarza albo przynajmniej wrócić do szpitala dla weteranów na badania, żeby ustalili, co mi dolega. Zastanawiam się, co to może być, skoro ogólnie czuję się dobrze, tyle że jestem powolny i bardzo mnie to gnębi.

Próbuję odzyskać formę. Zacząłem ćwiczyć, biegając w Ogrodzie Luksemburskim. Dojeżdżam tam rowerem i przypinam go do parkanu, a potem zaczynam biegać, nie tak szybko, jak biegałem kiedyś, ale jednak.

Potem zdarza się coś, czego nie przewidziałem. Okazuje się, że bieganie jest dla stróżów porządku z Ogrodu Luksemburskiego czymś absolutnie niedopuszczalnym. Gonią mnie, aż fruwią im pelerynki, i gwizdzą. Uświadamiam sobie, że nigdy nie przyjrzałem się dokładnie, czy są uzbrojeni. Zatrzymuję się na chwilę, tylko po to, żeby się upewnić. I od razu otacza mnie trzech, trajkocząc coś po francusku w policyjnym stylu. Zrozumiałem, że chcą zobaczyć jakiś dokument potwierdzający moją tożsamość. Na szczęście wychodząc z domu, zabrałem w ostatniej chwili portfel i włożyłem go do kieszeni dresu. Oglądają mój paszport tak, jakbym przekroczył jakąś granicę przysługujących mi swobód.

Gliniarz z najbardziej imponującymi dystynkcjami zaczyna wykład, cały czas wskazując coś i wymachując palcem. Udaje mi się uchwycić sens tego, co mówi. Nie wolno biegać po ogrodzie, to niebezpieczne. Nawet dzieci to wiedzą, zapewnia mnie. Kiwam głową i cały czas się uśmiecham. Policjanci wskazują mi najbliższą bramę. Zaparkowałem swój rower przy innym wyjściu, po drugiej stronie ogrodu, ale odchodzę z uśmiechem, słysząc, jak ciągle coś tam burczą. Nie biegnę; idę powoli w stronę wskazanego wyjścia.

I to był koniec z bieganiem po ogrodzie. Zacząłem biegać w pobliżu naszego domu i dwa razy spotkała mnie z tego powodu reprimenda od bardzo miłych staruszek. Dałem więc sobie spokój z bieganiem. Musiałem się pogodzić z tym, że nie tylko jestem za stary, żeby biegać dobrze, ale jestem też najwidoczniej według francuskich standardów za stary, żeby biegać w ogóle, przynajmniej publicznie.

Cieszyłem się, że wracam do normalnego trybu pracy. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, żeby sprzedać swoje obrazy. Uważałem, podobnie jak cała rodzina, że są dobre, ale należało dać

szansę ich docenienia innym, nie tylko najbliższym i przyjaciółom.

Zwołuję rodzinną naradę i zaczynam im wyjaśniać, co zamierzam. Tak jak się spodziewałem, dzieci są „za” i obiecują, że pomogą mi w sprzedaży. Zgłaszają wiele niezwykłych pomysłów, z których najlepszym jest założenie katalogu wszystkich obrazów, jakie sprzedałem, i ustalenie adresów ich nabywców.

Najlepsza jest w tym Rosemary. Prowadziła cały czas korespondencję i chętnie udostępnia nam spis adresów. Biznes zaczyna się kręcić. Rosemary ma też najładniejszy charakter pisma i najlepszą pamięć do kojarzenia nazwisk z listy z twarzami, a co jeszcze ważniejsze, zapamiętała wszystkich, którzy cokolwiek zakupili. Po tygodniu wysilania pamięci mamy prawie dwieście nazwisk ludzi, którzy posiadają po jednym lub więcej moich obrazów. Dwie rodziny miały ich po trzydzieści.

Matt wpada na pomysł, żeby napisać do nich listy na firmowym papierze i załączyć do każdego po pięć czarno-białych reprodukcji obrazów, które uznamy za najlepsze. Jest to moim zadaniem, więc znajduję przy końcu ulicy Basfroi drukarza, który zapala się do tego pomysłu, stwierdziwszy, że wysłanie takich materiałów do Amerykanów będzie dobrą reklamą także dla niego.

Ustalamy, że zrobimy ponad tysiąc reprodukcji i że zapłacę tylko za materiał. Reprodukcje są czarno-białe, na tyle tylko mogłem sobie pozwolić, ale wyglądają pięknie. Oglądając je, czuję się jak prawdziwy, znany artysta. Na odwrocie każdej z odbitek zamieściłem informację o naszym „rodzinnym przedsiębiorstwie” i trybie sprzedaży obrazów. Napisałem też, że obrazy widoczne na reprodukcjach będą sprzedawane po niższej cenie, ale tylko przez pewien ograniczony czas.

Na każdej reprodukcji składam przed wysłaniem swój podpis. Pojedyncze komplety składają się z pięciu takich kart. Odpowiada mi to zdecydowanie bardziej niż urządzenie wernisaży, na które większość ludzi przychodziła napić się na nasz koszt wina, nie mając najmniejszego zamiaru czegokolwiek kupować.

Z podpisywaniem reprodukcji i wkładaniem ich do kopert jest mnóstwo pracy. Poszło prawie wszystko; okazuje się, że nie przesadziliśmy z ilością. Pewnie biorąc pod uwagę chłonność rynku, malowałem zbyt dużo obrazów, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu malowałem wszystko, co mnie w jakiś sposób poruszyło, i reszta była nieważna. Teraz należało usiąść i czekać na odzew.

Pierwsi reagują klienci z Paryża, mniej więcej połowa z tych, do których wysłaliśmy ofertę. Po tygodniu zarobiłem więcej, niż wydałem na druk reprodukcji. Nie zaczęły mi się jeszcze oczywiście zwracać koszty samych obrazów, ale i tak jesteśmy szczęśliwi. Ze zwykłego żywiciela rodziny przeobrażam się w prawdziwego bossa.

Nie wierzymy własnym oczom, kiedy zaczynają napływać odpowiedzi, nawet z Ameryki. Przerasta to moje marzenia, które zawsze były szalone.

Informują nas w listach, że oprawiają sobie reprodukcje, a niektórzy czują się urażeni tym, że sprzedaliśmy obrazy, które chcieli kupić, komuś innemu.

Kathleen pełni funkcję księgowej; kiedy ja wychodzę w plener malować, ona odpowiada na prośby i jak gdyby nadzoruje tę swoistą aukcję. Pod koniec drugiego tygodnia księgi są wprowadzone na czysto.

– Tato, mamy dwadzieścia cztery pewniaki, zapłacone czekami.

Matt zdejmuje płótna z blejtramów, składa listwy, zawija je w obrazy i wkłada do tub po linoleum, żeby wysyłać do klientów. Nie przypuszczam, żebyśmy mieli jakieś kłopoty z celnikami. Mój syn pracuje, dotrzymując mi tempa; obaj chodzimy spać późną nocą.

Mimi wyciągnęła swój kalkulator i informuje mnie na bieżąco, ile zarobiliśmy. W krótkim czasie liczba sprzedanych obrazów dochodzi do trzydziestu, i to biorąc pod uwagę tylko te, które opłacono czekami. Po dwóch tygodniach ogólna kwota przekracza sześć tysięcy dolarów. Niektórzy płacą trochę więcej, żeby się upewnić, że dostaną obraz, na którym im zależy.

– No i co o tym myślicie?

Camille podaje te wyniki reszcie rodziny. To więcej, niż Rosemary zarobiła przez cały rok w szkole. Wydaje mi się, że jest tym wszystkim najbardziej zdumiona.

Pewnego wieczoru zapraszam całą rodzinę do naszej ulubionej restauracji, na którą dotychczas rzadko mogliśmy sobie pozwolić, choć obiad z trzech dań z deserem kosztuje tam tylko siedem franków. Jest to restauracja „rodzinna”: żona gotuje, mąż serwuje potrawy. Są prawie tak samo podekscytowani jak my. Jeden z obrazów przedstawia właściciela krojącego mięso na *boeuf bourguignon*. Jest zły, że sprzedaję obraz, ale obiecuję mu, że namaluję drugi i zapłaci nam w naturze, jedzeniem. Wszystko toczy się dalej gładko i wkrótce mam dość pieniędzy, żeby kupić materiały, zwłaszcza farby. Jedna tubka czerwieni kadmowej kosztuje tyle, ile jeden cały posiłek w restauracji.

A zatem interes się kręci. Ja wciąż maluję w plenerze; zaczynam zyskiwać status autentycznego malarza ulicznego. Wyglądam też jak taki malarz. Nie jestem zbyt schludny z natury, a kiedy się czymś mocno podniecę, zaczyna się ujawniać moja tendencja do szalonego pośpiechu i maluję, praktycznie wyciskając farbę prosto z tuby lub czasem rozcierając ją na płótnie palcami.

Postanawiam zrobić wystawę namalowanych w ciągu paru ostatnich miesięcy obrazów, na których uwieczniłem moich przyjaciół. Mam też pomysł, żeby namalować portrety tych ludzi; rzadko robię takie rzeczy, ale teraz jestem tak podekscytowany naszym sukcesem, że bardzo mnie to korci. Camille wpada na pomysł, żebym uwiecznił domy niektórych znajomych.

– Tato, ludzie są tacy dumni ze swoich domów, nawet jeśli nie należą do nich i jeśli za wynajem płaci IBM albo jakaś inna potężna firma czy państwo. Myślę, że bardzo byśmy się wzbogacili, gdybyś zaczął malować takie domy.



I okazuje się, że się nie pomyliła!

## Rozdział VI

Tak się zatem wszystko zaczęło. Dziś, po roku, trudno w to wprost uwierzyć. Sprzedaliśmy prawie wszystkie zreprodukowane obrazy i musiałem znów udać się do drukarza, aby przygotował mi nową porcję. Tym razem reprodukcje wychodzą jeszcze lepiej niż poprzednio, a poza tym nie musimy już szukać nazwisk potencjalnych klientów. Dostajemy listy od ludzi, o których nigdy nie słyszałem i którzy widzieli moje obrazy w różnych regionach Ameryki, w domach przyjaciół. A nawet w jeszcze innych krajach, nie mówiąc już o Francji.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie kupić sobie beretu, żeby wyglądać jak prawdziwy malarz uliczny, ale w końcu dochodzę do wniosku, że moja stara „kapitańska” czapka, granatowy kaszkiet z „antenką”, będzie lepsza.

Mijają kolejne trzy miesiące i sprzedajemy całą drugą partię obrazów. Zacząłem fotografować pozostałe płótna z mojej kolekcji. Znów idę do tego samego drukarza, on zaś stwierdza, że powinienem spróbować z reprodukcjami barwnymi; on ze swej strony postara mi się policzyć niedrogo. Robię kolejne tysiąc zdjęć moich najlepszych obrazów. Planuję, że na początek porzysyłamy po pięć i zachowamy pewien zapas dla tych, którzy nie dostali pierwszej ani drugiej serii.

Okazuje się, że niepotrzebnie się trapiłem. Razem z Mattem i Kathleen uwijamy się, zdejmując płótna z blejtramów i pakując je do tub. Nie ma obawy, że ich nam zabraknie; sklep z dywanami i wykładzinami zdaje się mieć niewyczerpane zasoby takich opakowań, ale żeby się zabezpieczyć, zamawiam jeszcze sto sztuk. Właściciel jest zadowolony, że się ich pozbywa, i wszyscy są szczęśliwi.

Praca jest jednak ciężka i czasochłonna. Zaczynam nie nadążać z realizacją zamówień. Matt postanawia zrobić sobie wolne do końca roku szkolnego, więc za pośrednictwem Rosemary kontaktujemy się w tej sprawie z dyrektorem.

– To kwestia umowy, panie Wharton. Jeśli będzie pan płacił chesne, a Matt nie opuści się w nauce, wszystko jest do załatwienia.

Kiwam głową, ale zaczynam się martwić o przyszłość Matta. Kto wie, jak długo potrwa ten cały obłąd ze sprzedażą obrazów.

– Ale będzie mógł wrócić do szkoły bez żadnych konsekwencji?

– Proszę się nie martwić, panie Wharton. Postaramy się, żeby władze oświatowe nie robiły z tego wielkiego problemu. Matt jest jednym z naszych najlepszych uczniów i mogę za niego poręczyć.

Wobec tego i ja zgadzam się ręczyć za Matta. Lubię z nim pracować w swojej komórce, gdzie teraz maluję. Obmyśliłem taki sposób przechowywania obrazów, żeby łatwo było znaleźć i obejrzeć to, czego w danej chwili szukam. Wieszam je po prostu na specjalnych zaczepach, tak

jak zawiesza się drzwi na zawiasach.

Teraz obrazy można oglądać i dosłownie wertować, bez obawy, że się je uszkodzi, trąc jednym o drugi. Umieszczam te stojaki na tyle wysoko, żeby móc pod nimi przechodzić i poruszać się swobodnie po całej komórce. Mam dwa takie komplety po pięćdziesiąt obrazów. Nie ruszam tych, które złożone są w magazynku w mieszkaniu, a zatem zyskuję miejsce na ponad setkę obrazów w tej małej klitce, w której maluję.

Tymczasem Kate prowadzi korespondencję. W ciągu jednego tylko tygodnia dostaje dwadzieścia pięć zamówień, które musimy zrealizować, demontując ramę, zwijając obraz i pakując go do tuby. Rosemary nadal odpowiada na prośby o obrazy oraz robi odbitki dokumentów związanych z transakcjami.

Sporządza też odbitki instrukcji, jak należy obchodzić się z obrazami. Pomagam jej w tym względzie; może w ogóle jestem niedbały, ale nie jeśli chodzi o obrazy. Obrazy wymagają czułości, połączonej z pewną wiedzą o tym, jak powstają.

Zaczynają mnie nachodzić pierwsze wątpliwości i niepokoje, że może sprzedajemy zbyt wiele obrazów i że niewiele zostanie dla rodziny. Roztrząsamy ten problem z Mattem. Okazuje się, że i jego nurtują podobne myśli.

– Jak sądzisz, tato, ile masz obrazów?

– Właściwie nie wiem, Matt. Nigdy nie myślałem o tym, że zapas może się skończyć; pewnie wyobrażałem sobie, że mam ich nieprzebrane zapasy „w sobie” i że mogę na każde życzenie powoływać je do istnienia. Ale niestety tak nie jest, Matt. To cała kombinacja: najpierw musi być coś, co chcę namalować, a poza tym potrzebuję materiałów do realizacji zamierzenia. Jest z tym tak, jak z linią produkcyjną, tyle że w tym przypadku nie widać jej końca – ani jeśli chodzi o podaż, ani o popyt. Jak wiesz, nigdy nie było to dla mnie problemem. Lubię malować i nigdy nie czułem się przez nikogo zmuszany do malowania. Nie wiem, dlaczego teraz miałbym się przejmować.

– Wiesz, tato, chyba masz rację. Lubię w twoich obrazach to, że choć nie ma w nich jakiejś szalonej energii, są takie pełne życia. I wpływają na człowieka naprawdę kojąco. Można w nich wyczuć miłość i emocjonalny stosunek do tego, co malujesz, i do samego obrazu. Rzadko tego doświadczam, oglądając obrazy innych. Twoją specjalnością jest proste przedstawianie rzeczy z natury złożonych. Więc nie przejmuj się. Maluj po prostu, co chcesz, kiedy chcesz i tak jak chcesz. Ja wyręcę cię we wszystkim, co związane ze sprzedażą, i uwolnię od różnych napięć. Co ty na to?

– To brzmi tak, jakby spełnił się mój sen, Matt. Popracujmy razem. Jeszcze nigdy nie byłem tak dobrze zaopatrzony w materiały i farby i po prostu nie umiem się w takiej sytuacji odnaleźć.

– Urywam i patrzę Mattowi w oczy. Traktuje to, co mówi, serio i wie, że ja też mówię poważnie. Zaczynam sobie uświadamiać, że z Kate, która wszystko organizuje, Rosemary jako szefową

marketingu, Camille jako autorką twórczych pomysłów i wreszcie z Mattem i ze mną jako duetem produkcyjnym stanowimy niezły zespół. Wiem, że muszę wrócić do malowania, do pracy, którą naprawdę kocham, i pozwolić rodzinie, żeby usuwała mi spod nóg wszelkie kłody. Dochodzę też do wniosku, że musimy się zgrać – omówić wszystko szczegółowo i ustalić rytm pracy.

Tego wieczoru po kolacji, kiedy Matt przygotował już dziesięć obrazów do wysyłki, głównie do Stanów Zjednoczonych, zasiadamy przy naszym „magicznym stole”, żeby omówić sytuację. Wygląda to zupełnie jak zebranie zarządu jakiejś dużej, przynoszącej krociowe zyski firmy, jaką w gruncie rzeczy zaczynamy się stawać. Przewodniczy Rosemary.

– Jest to przede wszystkim kwestia podaży i popytu, zarówno jeśli chodzi o zakup materiałów, jak sprzedaż gotowych obrazów. Ja mogłabym się zająć fazą środkową, adresowaniem, wysyłką reprodukcji i odpowiadaniem na listy, ale nie wiem, czy będę miała na to dość czasu. Jeśli jednak obliczenia Camille są trafne i jeśli ojciec dalej będzie malował w takim tempie, to mamy szansę wzbogacenia się i być może rozwinięcia całego interesu.

Robi pauzę i patrzy na nas z uśmiechem, szukając aprobaty. Jako następna zabiera głos Kate.

– Właściwie to już toczy się samo, mamusiu. Jestem bardzo dumna z naszej rodziny. Będę się starała utrzymać jakiś porządek, prowadząc korespondencję. Razem z tatą i Mattem zadbam też o zaopatrzenie w niezbędne materiały. Problem w tym, czy tato wytrzyma napięcie związane z szaleńczym tempem pracy i czy będzie chciał współpracować z takim zespołem.

Matt chciałby się zaangażować w „produkcję”: kupować płótno i jeśli trzeba, przygotowywać blejtramy. Chce także pomóc w magazynowaniu rosnących zapasów obrazów zarówno w komórce, jak w różnych zakamarkach mieszkania. Obawia się, że jeśli wszystko będzie postępować tak jak dotychczas, to nawet gdyby zrezygnował z chodzenia do szkoły, nie nadąży z robotą.

Przyznaję niechętnie, że moim zdaniem będziemy musieli skorzystać z dodatkowej pomocy, zwłaszcza jeśli chodzi o zdejmowanie płócien z ram, zwijanie ich i pakowanie do tub. Matt wyraża troskę o obrazy. Powtarza moje instrukcje dotyczące właściwego zwijania zamalowaną stroną na zewnątrz, tak żeby po wyjęciu i rozwinięciu płótna farba nie pękała.

Camille rozłożyła na stole całą swoją dokumentację. Jak na tak młodą dziewczynę jest naprawdę świetnie zorganizowana i teraz aż pali się do tego, żeby przedstawić sytuację ze swojego punktu widzenia.

– Zacznę od pozytywów.

Rzuca okiem na swoje papiery i pootwierane koperty.

– Do tej chwili sprzedaliśmy, licząc obrazy zamówione i zapłacone z góry, sześćdziesiąt dwa płótna. Po dwieście dolarów za obraz, odliczając koszty przesyłki, co daje ponad dwanaście

tysięcy dolarów minus trzysta dolarów z kawałkiem na znaczki. A pieniądze w dalszym ciągu napływają. To wprost niewiarygodne.

Dla mnie też. Nigdy w życiu nie miałem naraz więcej niż tysiąc dolarów.

– Oczywiście nie licząc kosztów materiału, Camille. Nie popadajmy w euforię. To wszystko jest tak cudowne, a ty przedstawiłaś to tak rzeczowo, że aż kręci mi się w głowie.

Camille patrzy na mnie z uśmiechem.

– Okej, więc powiedzmy, że połowa z tego to koszty materiałów. Jestem pewna, że można je zmniejszyć, kupując materiały w większych ilościach. Ale to i tak masa pieniędzy.

Siedzimy wszyscy oszołomieni. Rosemary pierwsza przychodzi do siebie.

– Ale gdzie są te pieniądze i co my z nimi robimy? Camille obdarza nas znów swoim uśmiechem sfinksa.

– Mam nadzieję, tato – odzywa się Matt – że nie będziesz zły, ale założyłem konto na twoje nazwisko w Banque Nationale de Paris i teraz te pieniądze na ciebie pracują. Oto twoja książeczka czekowa.

Uśmiecha się z zakłopotaniem i wręcza mi książeczkę w niebieskich okładkach. Ściskam serdecznie najpierw jego, a potem resztę dzieci, które obstępują mnie, chcąc dotknąć książeczki. To dowód wielu godzin pracy nas wszystkich. Przekazuję ją Rosemary.

– Jako prezes tej kwitnącej korporacji mianuję cię niniejszym oficjalnym skarbnikiem, zarządzającym wydatkami i dochodami.

Rosemary trzyma cieniutką książeczkę tak, jakby trzymała węża. Uśmiecha się najpierw do mnie, potem do Matta.

– O Boże, tu jest napisane, że mamy na koncie ponad dziesięć tysięcy dolarów. Musieli się chyba pomylić.

– Nie, wszystko jest w porządku, mamo, a tak naprawdę, to mamy nawet więcej, bo od czasu, jak otworzyłem konto, sprzedaliśmy co najmniej sześć obrazów. A konto jest na nazwisko twoje i taty.

Nie wiem, kto zaczyna, ale po chwili wszyscy tańczymy dookoła stołu. Śpiewamy i śmiejemy się, aż w końcu Camille nas ucisza.

– Myślę, że powinniśmy zabrać się do roboty i zrobić więcej barwnych reprodukcji. Kosztują po cztery franki za sztukę, a czarno-białe tylko jednego franka, ale uważam, że warto je zrobić. Jestem pewna, że będziemy mieli więcej zamówień. Można też pewnie będzie podnieść cenę do trzystu, a nawet czterystu dolarów za obraz.

– Proponuję, abyśmy przegłosowali wniosek Camille.

Wniosek spotyka się z przyjęciem tak entuzjastycznym, że zaczynam się obawiać, czy za chwilę nie wpadną sąsiedzi, żeby zobaczyć, co się u nas dzieje. Myślę tak intensywnie o materiałach, które zakupię, że trudno mi się na cokolwiek skupić, ale ryczę na całe gardło

razem z innymi.

– To zmieni całe nasze życie, ale choć jestem bardzo zadowolony, trochę się też martwię. Było nam dotąd ciężko, ale przywykliśmy do takiego życia, bo było w nim to, co ważne – miłość i wzajemny szacunek. Boję się, że to może być zagrożone.

Po chwili namysłu wszyscy przyznają mi rację.

Matt mówi, że rozmawiał ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi, Tomem Kesslerem i Samem Russellem, i że obaj zgodzili się pomagać w robieniu blejtramów, przycinaniu i przybijaniu płótna. Ustalamy, ile będziemy im płacić. Pokażemy im z Mattem, jak się to prawidłowo robi, mogą im też pomagać, kiedy nie będę malował. Pozostaje ustalenie godzin pracy.

– Widziałem też w zeszłą niedzielę na Marche d'Aligre stare imadło, które można by wykorzystać przy przygotowywaniu blejtramów. Powinno znacznie usprawnić pracę.

A zatem wszystko obmyśliliśmy. Utrzymanie budżetu w granicach wyznaczonych stanem konta jest trudną sprawą, ale jakoś damy sobie radę.

Dowiedziałem się o hurtowni materiałów malarskich przy uliczce odchodzącej od pasażu Raucha, blisko miejsc, w których dużo malowałem. Nie mają nic z tych rzeczy na wystawie, bo właściwie nie ma tam witryn. Próbowałem tam kilka razy zadzwonić i zawsze było zajęte. Wiedziałem, że coś jest nie tak, bo malując, widziałem, jak wychodzili z budynku i wchodzili, ale wiedziałem też, że nie interesuje ich jako klient taki nędzny malarzyna jak ja. To poważna firma.

Od pewnego czasu wszystko się jednak zmieniło. Mam książeczkę czekową i wiele obrazów do namalowania. Nastawiam się więc odpowiednio i zaczynam zamawiać materiały, jakbym zamierzał konkurować z Luwrem. Kiedy składam pierwsze zamówienie, na dziesięciometrową belę płótna szerokości dwóch metrów, patrzą na mnie jak na wariata. Pokazuję im moją książeczkę czekową, a wtedy spisują numer konta, sięgają pod kontuar i wyciągają schowany telefon. Sprawdzenie trwa długo i już zaczynam podejrzewać, że Matt coś pokręcił i że wyląduję we francuskim pudle. Ale facet wynurza się wreszcie zza kontuaru z szerokim uśmiechem, gotów ubić interes. Czuję się, jakbym kupował gorzałę w jakiejś melinie. Mam jednak przygotowaną listę materiałów.

Jest na niej nie tylko biała płótna, ale także farby, jakich nigdy wcześniej nie miałem szansy kupić, wszelkie kadmowe, ultramaryna jasna i ciemna, angielskie zielenie od jedyńki do piątki plus zieleń wiosenna i tak zwana permanentna. Dodaję do tego czerń, biel i ziemie – i robi się tego naprawdę dużo. Znajdują też dla mnie damarę i litr oczyszczonej terpentyny. Kiedy jednak dochodzi do kupowania pędzli, zniecierpliwieni o mało mnie nie wyrzucają. Kupuję w końcu wszystkie rozmiary, jakie są mi potrzebne, od szczeciniaków po miękkie, akwarelowe.

Pokazują mi, jak napełniać puste tubki farbą z puszek, czego nigdy nie uczono mnie

w UCLA. Rzecz polega na wciskaniu farby do tubki od spodu, przy zakręconej górze. Pojmuję, w czym rzecz, i napełniam przy nich trzydzieści pięć tubek o pojemności 340 mililitrów każda.

Kiedy kończę zakupy, jestem strasznie obciążony, obawiam się, że nie dam rady zatańczyć wszystkiego do swojej komórki. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę całe to bogactwo rodzinie. Mój zakup wydaje mi się nierealny, dopóki nie przychodzi mi zanieść go do domu.

Kiedy cały spocony wchodzę do komórki, Matt, Tom i Sam witają mnie owacyjnie. Sam mówi, że chyba powinniśmy przemyśleć sprawę samodzielnego przygotowywania blejtramów i być może ma rację, bo chciałbym wrócić do starego trybu malowania i robić wszystko własnoręcznie.

Mamy teraz duży warsztat stolarski. Tom i Sam wypatrzyli go w składzie drzewnym. Jest wprawdzie pęknięty przez pół, ale do naszych celów nadaje się znakomicie. Chłopcy zrobili nawet kilka kozłów z krótszych kawałków zakupionych w tym samym składzie. Może nie jesteśmy najbardziej szykownym atelier malarskim w mieście, ale nikt nie może powiedzieć, że się nie staramy. Do szczęścia brakuje mi solidnych sztalug. W głowie świta mi myśl, że może pora usiąść i zacząć malować? Byłaby to przyjemna odmiana.

Wracam do sklepu i kupuję porządne, prawdziwe sztalugi, nie takie wywrotne, jakich używałem dotąd. Potem uświadamiam sobie, że prawdopodobnie nie zdołam przenieść ich przez cały Paryż na plecach, a nawet przewieźć na bagażniku mojego starego motocykla. Widzę się oczami wyobraźni jako prawdziwego artystę, w berecie, z paletą w jednej ręce i szmatką do wycierania pędzli w drugiej. Ale wtedy nie mógłbym podchodzić nie zauważony do obiektów, które chcę namalować, penetrować podwórka i trzewi miasta.

Gdy już udaje mi się dotrzeć do domu, kładę sztalugi obok obrazów, z których część jest nie dokończona, część wisi na zawiasach, a kilka leży jeszcze na splekanym warsztacie, gotowych do zwinięcia w rolkę i zapakowania do tub. Staję się zawodowcem i to w stopniu większym, niż kiedykolwiek mogłem przewidzieć.

Znów wychodzę z domu i idę do drukarza z kolorowymi zdjęciami obrazów, które zamierzam wysłać z następną porcją ofert. Jakże daleko odszedłem od tego, co uważałem za życie prawdziwego malarza.

Wracając do domu, zagapiam się i wysiadam dopiero na ostatnim przystanku. Stoję naprzeciw BHV, czyli Le Bazaar de l'Hôtel de Ville, największego domu towarowego w Paryżu. Wchodzę do środka i łażę po piętrach. Wiem, że i tak nie będę dziś malować, za dużo myśli kłębi mi się w głowie. Kręcę się więc bez celu. Przechodzę obok stoiska z radiami i telewizorami i docieram na najwyższe piętro, gdzie sprzedają rowery. To dla mnie bardziej interesujące. Nagle dostrzegam coś jeszcze ciekawszego.

Z boku, z dala od innych rowerów, stoi trycykl z przerzutką i nożnym hamulcem.

Najwspanialsze jest to, że z tyłu, za siodełkiem rower ma wielki kosz. Próbuję sobie wyobrazić, ile różności można tam wpakować, wyjeżdżając w plener. Mógłbym załadować wszystkie materiały i mimo to poruszać się swobodnie ruchliwymi ulicami Paryża. A poza tym nie miałbym kłopotów z parkowaniem. Próbowałem wcześniej wyjeżdżać naszym fiacikiem, ale nawet dla niego nie mogłem nigdy znaleźć miejsca. Wydaje się, że taki trójkołowiec to idealne rozwiązanie, zwłaszcza gdybym domontował boczne kosze i pionową deskę, do której mógłbym przymocowywać aktualnie malowany obraz.

Rozmawiam ze sprzedawcą: mówi, że mógłbym kupić trycykl za przystępną cenę, bo choć stoi tu od trzech miesięcy, nie znalazł nabywcy. Sprowadzają je z Austrii.

– Ale ostrzegam pana, zanim zdecyduje się pan na zakup, że bardzo trudno nim jeździć. Było już dwoje chętnych, żeby go kupić, ale oddali go po próbnej przejażdżce, bo nie mogli sobie dać rady.

Mówię mu, do czego rower jest mi potrzebny i jak trudno wozić mi obrazy na zwykłym dwukołowcu. Wyjaśniam też, jakie mam kłopoty z zaparkowaniem samochodu. Pytam, czy potrzebna jest jakaś specjalna karta rowerowa, sprzedawca mówi, że nie. Jestem zdecydowany na zakup. Wyciągam z kieszeni książeczkę czekową. Sprzedawca waha się, ale w końcu przyjmuje czek. Pokazuje mi windę towarową, którą mogę zwieźć trycykl na dół. Myślę, że marzy o tym, żeby się mnie jak najszybciej pozbyć, tak jak ja marzyłem o posiadaniu tego monstrum.

Dopiero kiedy próbuję na tym jechać, zaczynam rozumieć, o czym mówił sprzedawca. Z jakichś niejasnych powodów trzeba robić coś przeciwnego w stosunku do manewrów, jakie wykonuje się na zwykłym dwukołowym rowerze. Zaliczam dwie wywrotki, zanim udaje mi się jako tako opanować pojazd. Usiłuję poćwiczyć na jakimś małym podwórku, ale płyty, jakimi jest wyłożone, są nierówne i wciąż tracę równowagę. Sprawa wygląda beznadziejnie. Już widzę, jak będą ze mnie kpić w domu.

Zanim jednak docieram do naszej dzielnicy, radzę sobie już zupełnie nieźle. Sekret tkwi w tym, że należy utrzymywać równowagę w podobny sposób, jak na zwykłym motocyklu z przyczepą, a więc wychylać się na zewnątrz łuku, a nie do wewnątrz. Nie czuję się jeszcze pewnie, wjeżdżając na nasze podwórko, ale jestem przekonany, że uda mi się opanować rower. I to mimo moich kłopotów z równowagą. Podniecony, nie zauważam nawet, że jadę zygakiem.

Tak jak się spodziewałem, moja żona, syn, córki i nasi pomocnicy uważają, że to najśmieszniejszy wehikuł, jaki w życiu widzieli. Zachęcam ich, żeby spróbowali sami; nie idzie im wcale lepiej niż mnie, dopóki nie zdradzam im mojego sekretu. Dopiero wtedy, ponieważ są młodszy i nie mają kłopotów z równowagą, radzą sobie całkiem dobrze.

Od razu, jeszcze tego samego popołudnia, przystępuję do modyfikowania mojego „dywanu”. Nazwałem bowiem trycykl „latającym dywanem” i mam nadzieję, że zawędruję na nim w różne zakątki Paryża, gdzie znajdę cudowne rzeczy do malowania. W koszu instaluję uchwyty do



przytrzymywania tub z obrazami. Tuby będą stały pionowo, żebym mógł się bez trudu dostać do obrazów, zdejmując przykrywkę. Robię też przegródki na pędzle, według rozmiarów i rodzajów, tak że nie muszę ich szukać, kiedy są mi potrzebne. Po bokach przywiązuję sznurkiem do kosza torby, do których będę mógł włożyć więcej farb, terpentyny w plastikowych pojemnikach, werniksu i oleju. Pewne kłopoty mam z samymi blejtramami. Postanawiam, że skoro przechowuję obrazy na zawiasach, będę się starał nie przekraczać mojego ulubionego „francuskiego” formatu; lubię takie wymiary, bo kiedy stoję przed obrazem, żeby się mu przyjrzeć, wypełnia mi idealnie całe pole widzenia. Z łatwością osiągam efekt, dzięki któremu rzeczywistość obrazu staje się bardziej „realna” niż otaczający mnie świat. Stwierdzam też, że nie potrzebuję żadnej deski do przywiązywania blejtramów. Wystarczą mi dwie listwy z poprzeczką. Robię podkładki z korka, żeby mokry obraz nie dotykał tej podpórki.

Pakuję jeszcze trochę innych niezbędnych drobiazgów i nazajutrz rano czuję, że jestem gotów ruszyć na podbój świata. Najpierw jednak muszę sprawdzić, czy będę mógł ruszyć z miejsca z całym tym majdanem. Z pomocą dzieci wyprowadzam rower z komórki. Wybiegają za mną na ulicę. Byłoby mi wstyd, gdybym zapłaciwszy za pojazd spore pieniądze, nie mógł ruszyć z miejsca. Ale udaje mi się. Nawet nie zahaczam obrazami o bramę. Już na ulicy naciskam mocno na pedały, żeby ruszyć ostro i poczuć w nogach wszystkie swoje lata. Niestety, nie są to te same nogi, które kiedyś niosły mnie z taką szybkością. Ale wciąż jeszcze pracują. Muszą, bo nie mam innych. Tego jednego się nauczyłem: pracuj tym, czym możesz, i nie użalaj się zbytnio nad sobą ani nie marz o tym, czego mieć nie możesz.

Okrażam kilka razy cały kwartał i zapuszczam żurawia do miejsc, które chciałbym namalować. Jestem wielkim szczęściarzem: wszystko, na co rzucę okiem, z miejsca zamienia się w mojej wyobraźni w gotowy obraz.

Kiedy wracam, cała rodzina stoi w bramie i nagradza mnie gromkimi brawami. Pomagają mi wprowadzić trycykl do komórki i wracają do pracy. Wygląda na to, że tylko tego dnia przyszły cztery kolejne zamówienia na obrazy. Sprawdzam, o które płótna chodzi; jestem zadowolony, że trafią do nowych domów, ale jednocześnie przykro mi, że je tracę. Naprawdę, jest z nimi zupełnie jak z dziećmi, które dorastają i odchodzą z domu. Nie chcę o tym nawet myśleć. Ale przecież ja sam kiedyś opuściłem dom.

Nazajutrz rano jestem gotów wracać do roboty. Rzadko się zdarza, żebym przez dwa dni nie brał pędzla do ręki. Rosemary wygłasza mi całe kazanie, żebym na ulicy nie szalał, nie ryzykował i uważał na samochody. Mówię jej, że nie oddalę się bardziej niż o jedną przecznicę, co zresztą jest prawdą. Jak mówiłem, potrafię znaleźć temat wszędzie. Zawsze tak było, nawet kiedy jeszcze byłem chłopcem.

Jadę aleją Ledru Rollin, prowadzącą w stronę rzeki. Jest spory ruch, ale kierowcy reagują

życzliwie na widok mojego wehikułu i ustępują mi drogi. Może po prostu dlatego, że jadę wężykiem, ale raczej chyba dlatego, że na ogół francuscy kierowcy są bardzo szarmanccy. Czuję zatem, że mogę się rozluźnić, pilnując tylko, żeby się trzymać prawej strony. Problem w tym, że jezdnia jest lekko nachylona, więc kiedy manewruję, żeby się nie przewrócić, ściąga mnie bez przerwy na lewo. Jestem coraz bardziej świadom tego, jakim wyzwaniem będzie dla mnie jazda tym trycyklem, dopóki dobrze nie opanuję tej sztuki.

Dotarłszy do rzeki, z wysiłkiem spycham rower na chodnik i idę wolno, starając się ustępować lekko zaszokowanym przechodniom. Kiedy wchodzę na nasyp, który prowadzi w dół do nabrzeża rzeki, postanawiam, nieufny wobec swych ograniczonych umiejętności, sprowadzić rower, pilnując blejtramów i jednocześnie patrząc uważnie pod nogi.

Dochodzę do miejsca, które zawsze chciałem malować, ale którego dotąd nie namalowałem ze względu na to, że trudno tu było dotrzeć z takim obciążeniem, pieszo czy nawet rowerem. Nigdy też nie próbowałem przyjechać tu swoją zdezelowaną hondą; obawiałem się, że nie starczyłoby jej mocy, żeby sprostać tak trudnemu zadaniu.

Kładę rower na stromym zboczu nasypu. Wyciągam kłódkę, którą kupiłem razem z rowerem, i ostrożnie zdejmuję blejtramy, zostawiając w koszu farby, pędzle i całą resztę. Rozpakowuję jak zwykle swoją malarską kasetę. W ciągu pięciu minut jestem gotów do malowania: mam pod ręką paletę, pędzle, ołówek i węgiel. A nawet wywrotny stołek, który na wszelki wypadek zabrałem w ostatniej chwili z komórki. W końcu to ważne, żebym malując, nie musiał przez cały czas stać.

Spędzam cały ranek na szkicowaniu i wykonaniu podmalówki, po czym przechodzę do nakładania impastów. Przerywam dopiero wtedy, kiedy organizm sygnalizuje mi, że jest zmęczony, a obraz mówi: „Nie maluj dalej, daj mi szansę podeschnąć”. To wspaniałe uczucie, zupełnie jakbym miał obok siebie dobrego nauczyciela, który służy mi radą. Wkładam pędzle i farby do kasety i zamykam ją, pozostawiając wieko lekko uchylone. Na ulicznym straganie naprzeciwko kupuję dojrzałe, ale nie przejrzałe awokado i dwa pomidory. Nieopodal jest piekarnia; na minutę przed zamknięciem udaje mi się tam kupić dwie bagietki, z tych, które Francuzi nazywają *bâtard*.

Wracam na swoje stanowisko, siadam, opieram się o jakiś murek i zaczynam jeść, spoglądając to na rzekę, to na niebo, po którym wędrują chmury, a potem na ich odbicie w wodzie. Popatruję też na obraz, planując następne kroki, ale chyba zasypiam w trakcie tych rozmyślań. Nie jestem zmęczony, więc mogę jeszcze bez problemu malować.

Niewykluczone, że naprawdę zasnąłem, bo ktoś, pewnie jakiś przechodzący kloszard, świsnął mi resztkę bagietki i awokado. Malarze pracujący w plenerze są na ogół dla takich łatwą do upolowania zwierzyną.

Wracam do obrazu i sprawdzam, czy podeschnął. Jest na tyle suchy, że mogę kontynuować pracę. Po lekkim odświeżeniu powierzchni i wyciśnięciu farb na paletę jestem gotów do dalszego

malowania. Zatracam się w tym zupełnie do chwili, gdy zaczyna mi „siadać” światło. Początkowo myślę, że mam zmęczone oczy, ale potem zauważam, że ruch na ulicach się ożywił, a wokół mnie zebrał się spory tłumek gapiów. Jest to dobrze mi znajome zjawisko, obrzucam więc obraz ostatnim spojrzeniem i uznaję, że jest właściwie skończony. Pracowałem w swoim dawnym tempie i jestem z siebie dumny. Sygnuję obraz i stawiam datę – z obu stron.

Kiedy pakuję manatki do kosza, ogarnia mnie nagle zmęczenie. Dosiadając swego wierzchowca i włączając się do potoku samochodów, czuję, że jestem naprawdę wykończony. Nie mogę jechać bardzo szybko, bo na jezdni tłok, ale jakoś się posuwam i po wypadnięciu z samochodowej karuzeli pod Bastylią zmierzam już prosto do domu.

Otwieram bez niczyjej pomocy ciężką, czarną bramę i wprowadzam mojego nowego rumaka na podwórze, a potem do – komórki. Zdejmuję obraz ze stelaża i rozpoczyna się mozolna wspinaczka po stopniach. U szczytu schodów czekają na mnie Rosemary i Camille. Staram się nie pokazywać, jak bardzo jestem zmęczony, ale ich nie da się oszukać.

– Dobrze się czujesz, kochany? Już zaczynałyśmy się martwić. Tak obciążony rower to chyba jednak za dużo na twoje siły.

Podnoszę obraz, trzymając go za poprzeczną listwę. Matt wysuwa się zza kobiet, żeby go ode mnie odebrać.

– Tato jest w całkiem dobrej formie, mamó. Spójrz tylko na ten obraz. Cudo!

Obstępują mnie, kiedy osuwam się na bujany fotel. To jedyny mebel w mieszkaniu, na którym można usiąść bez obawy, że człowiek usmaruje się cały farbą. Też oczywiście bywa ubrudzony, ale w odróżnieniu od kanapy czy innych krzeseł mogę go wytrzeć szmatką, którą noszę w tylnej kieszeni.

Warto było się męczyć, żeby zobaczyć uśmiech uznania na twarzach żony i dzieci. Rosemary wyciera mi poplamione farbą ręce i twarz. Camille zdejmuje mi buty. Czuję się jak rycerz, który właśnie wrócił z pola bitwy, witany radośnie przez najbliższych.

Biorę natrysk, przebieram się w domowy strój, który dostałem od Kathleen na gwiazdkę. Po dziesięciu minutach nowy obraz wisi już na ścianie. Wiem, że mój wysiłek nie poszedł na marne, i oni też to wiedzą. To, co mówi Camille, dopełnia miary:

– Może nie powinnam zawracać ci głowy teraz, tato, kiedy jesteś taki zmęczony, ale dziś przysły dwa kolejne zamówienia na obrazy. Do każdego załączony jest czek.

– Zdaje się, że wpadłem w prawdziwy kierat, Mimi, ale tego przecież chciałem: móc malować dla ludzi, których zachwycą moje obrazy.

W ten sposób upływają nam dni. Wszyscy mają jakiś udział w „produkcji”. Jestem szczęśliwy, wyjeżdżając swoim trycyklem i malując na blejtramach wykonanych przez Matta, Toma i Sama. Wszystko to wygląda jak nie kończący się akt spełnienia, urzeczywistnienia mojej

wizji. Rzadko mi się zdarza, żebym nie namalował jednego obrazu dziennie, podczas gdy normalnie zabierało mi to dwa, trzy dni. Zasadniczo trzymam się „francuskiego formatu”, zgodnego z moim sposobem widzenia. Ćwiczę się w niejako automatycznym postrzeganiu rzeczywistości i moje kompozycje są takiemu właśnie patrzeniu podporządkowane.

Czasem zaczynam od malowania nieba, które rozciąga się jak gdyby poza ramy obrazu. Kiedy indziej tło jest płaskie, dominuje zaś pierwszy plan z iluzją nieskończonej głębi. Moje niebo to albo standardowa ultramaryna, która czasami przechodzi w żółcienie, albo ziemia, zależnie od tego, jak widzę to, co maluję danego dnia. Czasami posługuję się sztafażem i umieszczam na obrazie postacie ludzkie, ale tylko wtedy, kiedy wymagają tego względy kompozycyjne. Mam cudowne uczucie, że kreuję jakąś własną rzeczywistość z elementów chaotycznego świata. Stwierdzam, że intrygują mnie nieodmiennie mury z drzwiami i oknami, często oświetlonymi, a także podwórka z własnym, specyficznym światłem. Bez względu jednak na to, co maluję, moje obrazy są zawsze bardzo osobiste.

Nawet kiedy przez połowę takiej dziennej sesji korzystam ze stołka, daję o sobie znać zmęczenie. I nie jest to zmęczenie umysłu ani oczu, ale przede wszystkim nóg i grzbietu, które pojawia się wtedy, kiedy malując w zapamiętaniu, wstanę odruchowo i potem zapomnę usiąść lub przybrać wygodniejszą pozycję.

Zaczynam osiągać wydajność, która pozwala mi realizować zamówienia na bieżąco. Pora zamówić kolejną porcję barwnych reprodukcji, nie tylko obrazów, które zgromadziłem w mieszkaniu, ale także części tych nowszych. Przyszedł mi też do głowy nowy pomysł, z którego zwierzam się Camille.

– A co by było, gdybyśmy zamówili plakaty, takie jak do wystawy, tyle że one same byłyby miniwystawą – i rozlepili je w restauracjach i sklepach, tam, gdzie nam pozwolą?

– Myślisz o reklamie? Moim zdaniem to byłby krok wstecz. Nie potrzebujemy przecież reklamy, tato.

– Nie, Cam, chodzi mi o wierne reprodukcje moich obrazów, bez żadnych tekstów i sloganów reklamowych, tylko z moim podpisem i datą w zwykłym miejscu.

– To już brzmi lepiej.

Mam nadzieję, że mój pomysł nie będzie odebrany jako przejaw próżności. Dobrze byłoby poszerzyć krąg odbiorców o ludzi, którzy nie chodzą do muzeów i galerii. Chciałbym być „malarzem ludzi prostych”.

– Ale to będzie strasznie kosztowne, tato – wtrąca się Matt. – Nie jestem nawet pewien, czy ta nasza drukarnia ze swoim wyposażeniem potrafi coś takiego zrobić. Jasne, mamy pieniądze, ale chyba nie aż tyle, żeby je wyrzucać.

– To nie będzie wyrzucanie pieniędzy, Matt, ale raczej inwestycja, a dla ludzi szansa zobaczenia i docenienia tego piękna, jakiego tyle jest w Paryżu. Albo tego, jakie mogą zobaczyć,

jadąc na wieś.

Zapada cisza. Potem odzywa się Kathleen:

– Uważam, że masz rację, tato. Większość mieszczuchów nie dostrzega swego otoczenia. To może otworzyć im oczy.

Mam ochotę ją uściskać. Jest taka mądra! Zapowiadam, że sprawdzę najpierw, czy plakat da się zrobić w naszej drukarni; jeśli nie, pochodzę i rozejrzę się po innych. Zastanawiamy się nad formatem plakatu. Po długiej dyskusji ustalamy, że nie może to być reprodukcja w skali 1:1, ale nieco mniejsza. Pół metra na czterdzieści centymetrów byłoby w sam raz. Dochodzimy też do wniosku, że kilka plakatów mogłoby być reprodukcjami portretów ludzi, którzy mieszkają i pracują w okolicy. Byłbym naprawdę zadowolony, a oni, jak sądzę, też.

Poszukiwanie drukarni jest dla mnie niezłym wytchnieniem, odpoczynkiem od malowania. Najpierw przeglądam książkę telefoniczną, szukając firmy poligraficznej, która mogłaby wykonać plakaty. Okazuje się, że wydrukowanie czegoś takiego i to w zaplanowanym przez nas formacie, będzie droższe i trudniejsze, niż sądziliśmy. Miałem zbyt wysokie wyobrażenie o nowych technologiach. Zwołuję jeszcze jedną naradę rodzinną i próbuję wyjaśnić, na czym polega problem.

Szefowie drukarni, które znalazłem, powątpiewają, czy znajdę kogoś, kto podejmie się wykonania takiego zamówienia. Już mam dać za wygraną, kiedy natrafiam w okolicy Sorbony na niewielką drukarnię, która realizuje takie prywatne zamówienia. Właściciel nie może zrozumieć, że nie chcę żadnego tekstu, tylko reprodukcję obrazu. Mam przy sobie na szczęście CD-ROM-y z reprodukcjami. Próbuję mu wyjaśnić, w czym rzecz. Moja kiepska francuszczyzna bynajmniej mi w tym nie pomaga.

– Widzi pan, chciałbym, żeby ludzie po prostu zobaczyli moje obrazy. Niekoniecznie muszą je kupować. Wystarczy, że popatrzą. Taki jest właśnie sens malarstwa: poszerzać percepcję.

– Ale czy nie wystarczą zdjęcia, panie Wharton? Niech pan przyniesie parę zdjęć i zrobię panu odbitki w dowolnym formacie.

Prowadzi mnie na zaplecze, do pomieszczenia, które wygląda jak salka projekcyjna. Sprawa rusza z miejsca, myślę. Wyjmuję swoje płytki i slajdy. Szef drukarni wyświetla je na wielkim ekranie. Wyglądają naprawdę fantastycznie. Drukarz zmienia proporcje ekranu, w zależności od formatu obrazu. Pokazuję mu wykaz formatów blejtramów sprzedawanych w moim sklepie. Łatwiej mi w ten sposób wytłumaczyć, o jakie rozmiary plakatów mi chodzi. Potem pokazuję mu swoje CD-ROM-y. Ma komputer sprzężony z projektorem wideo i rzutuje obraz we wskazanym przeze mnie formacie, o niezwyklej wprost rozdzielczości. Uczę się stopniowo czegoś o jego profesji. Nie wiedziałem dotąd, że można rzutować zapisany na płytkach obraz na wielki ekran.

Wygląda na to, że podobają mu się moje obrazy, więc mówię mu, że jako malarz chciałbym,

żeby ludzie mogli oglądać moje prace, i to niekoniecznie w galeriach.

– Innymi słowy potrzebuje pan tylko odbitek, bez typografii – powtarza chyba czwarty raz. – Ile pan ich chce: dwa, trzy, cztery tysiące?

Doszliśmy znów do ściany. Patrzymy na siebie w milczeniu. Przetykam ślinę i robię mądre miny.

– Ile by kosztował tysiąc reprodukcji?

– Tysiąc reprodukcji tego samego obrazu? I to by było wszystko?

Kiwam głową. Poprawia się na krześle i z uśmiechem kręci głową.

– No wie pan! Żeby uzyskać jakość zbliżoną do zdjęcia, musiałbym wykonać wyciągi barwne do trzech kolorów plus do czerni. To niemożliwe, nie byłoby pana na to stać.

– Niech pan poda cenę, chociaż w przybliżeniu. Jesteśmy obaj artystami, więc jakoś się dogadamy.

Wyciąga notes i zaczyna robić wstępną kalkulację. Próbuję nadażać za jego tokiem myślenia, ale jakoś mi się to nie udaje.

Kiedy wreszcie podnosi wzrok, na jego twarzy maluje się rezygnacja. Podkreśla końcową kwotę.

– To wszystko, co mogę dla pana zrobić. Nawet zakładając, że użyję nie najdroższych materiałów i wykonam zamówienie w czasie, kiedy nie będę miał innych zleceń. Będzie to pana kosztowało ponad pięć tysięcy franków. Nawet gdyby sprzedawał pan te plakaty po dziesięć franków, pieniądze się nie zwrócą. Pozostaje jeszcze pytanie, jak pan to rozprowdzi po Paryżu. To jest całe wielkie, osobne przedsięwzięcie.

Patrzę na jego wyliczenia i przetrawiam wszystko w myślach.

Może istotnie mam apetyt na więcej, niż mogę przełknąć. Jednocześnie uświadamiam sobie, że urządzenie wystawy z jakąkolwiek, choćby minimalną reklamą kosztowałoby mnie co najmniej tyle samo.

– No dobrze, naradzę się z rodziną. Zawiadomię pana jutro, jaką podjąłem decyzję. A przy okazji: ile czasu zajęłoby panu wykonanie tych plakatów?

Wyciąga terminarz wypełniony notatkami. Wodzi po nich palcem, po czym podnosi wzrok i na jego twarzy pojawia się znużony uśmiech. Wiem, że to z jego strony wielkie poświęcenie, podobnie jak sama decyzja, że w ogóle podejmie się tej roboty.

– Jak już mówiłem, muszę to zrobić w wolnym czasie. I musi mi pan dostarczyć oryginał w dobrym stanie. Oryginał, nie reprodukcję. W ten sposób, stosując właściwe oświetlenie, będę mógł panu pokazać, jak to będzie wyglądać, i wtedy podejmiemy decyzję.

Patrzy mi czujnie w oczy, a ja odwzajemniam jego spojrzenie.

– Będę tu jutro z obrazem. W porządku?

– Jeśli o mnie chodzi, to w porządku, ale nie biorę żadnej odpowiedzialności za obraz. Musi

pan tu być, kiedy będę nad nim pracował, a to zajmie mi dwa dni.

Kiwam głową.

– Będę tu jutro, jeśli to panu odpowiada.

Francuz odpowiada *d'accord*. Gdyby ktoś przysłuchiwał się z boku naszej rozmowie, mógłby pomyśleć, że jesteśmy lekarzami omawiającymi jakiś ciężki przypadek.

Odjeżdżam swoim trycyklem z kompletnym mętlikiem w głowie. Może właśnie o coś takiego mi chodziło, ale czy naprawdę jestem gotów aż tyle za tę przyjemność zapłacić, a co ważniejsze, czy gotowa jest na to moja rodzina? A poza tym, jak już będziemy mieli te plakaty, trzeba je będzie rzeczywiście porozlepić w całym Paryżu.

\* \* \*

Wracam do domu w porze kolacji. Rosemary zaprosiła Sama i Toma. Wyjaśniam, jak potrafię najlepiej, co załatwiłem. Powinienem był porobić sobie jakieś notatki, ale ja nie z tych, co pamiętają o takich rzeczach. Kiedy kończę swoje sprawozdanie, padają pytania, potem zabiera głos Rosemary:

– Ty sam musisz podjąć decyzję, Will. To twoje obrazy. Wprawdzie wszyscy się do tego włączyliśmy, ale ty wykonywałeś pracę twórczą. Ja jestem za tym, żeby drukować te plakaty. Mamy teraz pieniądze; kiedy będzie lepsza okazja?

Patrząc na nią i łzy napływają mi do oczu. Poślubiłem właściwą kobietę. Cała reszta rodziny, a także Tom i Sam są za. Nawet Camille pozbyła się swoich dawnych obiekcji.

– No dobrze, wobec tego pozostaje nam tylko wybrać obraz. Czeka nas masa przeglądania. Chciałabym też zasugerować, że możemy wystawić te plakaty na sprzedaż, po dwadzieścia franków za sztukę. Takie merkantylne podejście zrekompensuje nam częściowo poniesione wydatki. Musimy również zapłacić od godziny tym, którzy zechcą nam szukać miejsca na te plakaty.

Jak zwykle wszystko przemyślała. Zgadza się z nią i zaczynamy znosić obrazy, każdy swoje ulubione. Około północy wybieramy jeden, który najbardziej nam się podoba. Jest to obraz sprzed trzech lat, pejzaż z Sekwaną z okolic Le Port Marły. Przy jednym brzegu zacumowane są mieszkalne barki. Tak się wtedy zaangażowałem, że namalowanie obrazu zajęło mi dwa tygodnie wyteżonej pracy. Cieszę się, że wybrali właśnie ten pejzaż. Jednym z kontrkandydatów był widok placu Furstenberg, który malowałem dość często.

Zawijam obraz w papier, zabezpieczając go tekturą, i stawiam przy frontowych drzwiach. Uwijamy się wszyscy, odnosząc z powrotem na miejsce pozostałe, także te z komórki. Mam wrażenie, jakby wybrany obraz był ofiarnym jagnięciem, złożonym na ołtarzu niejako w imieniu całej rodziny.

Kładę się spać wcześniej, niż planowałem. Jestem podniecony i bolą mnie zmęczone nogi. Może będę musiał kupić sobie Jaskę. Wykorzystałbym ją też jako podpórkę, żeby opanować drżenie ręki przy malowaniu.

Nazajutrz, kiedy dzieciaki są w szkole, ostrożnie umieszczam obraz na rowerze i wiozę go do drukarni. Jestem przyjemnie zaskoczony reakcją drukarza na moje dzieło. Zwołuje swoich współpracowników, którzy mają je zreprodukować. Wszyscy są zachwyceni.

Mówię, że przyjdę następnego dnia pomóc podjąć ostateczną decyzję, i pytam, czy będzie *d'accord*, jeśli ich naszkicuję albo nawet namaluję przy pracy. Zgadzą się wszyscy, a ja wprost nie mogę się doczekać, kiedy zacznę. Namalowałem już wielu robotników w warsztatach meblarskich, samochodowych i w innych miejscach, w których ludzie pracują fizycznie. Malowałem też tartaki, gdzie przerabiali powalone przez wicherę drzewa na tarcicę.

Kiedy Camille po powrocie ze szkoły sprawdza pocztę, okazuje się, że przyszły czeki za dwa kolejne obrazy, tym razem te z kolorowych reprodukcji. Camille i Kathleen z wielkim zapałem rozprawiają o swoim pomysłe, żeby zrobić kompletny katalog wszystkich obrazów, jakie namalowałem od chwili, gdy zacząłem fotografować swoje prace. Pomysł mi się podoba i cała rzecz może się udać, zwłaszcza teraz, kiedy sporo się uczę w drukarni o technikach reprodukcji.

A jest to bardziej skomplikowane, niż myślałem. Najpierw Frederick (tak ma na imię drukarz) robi wyciągi i wywołuje je. Wszyscy pracownicy uczestniczą w doborze kolorów zgodnych z oryginałem.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak dzięki innemu medium zyskuje na znaczeniu to, czy obraz malowany jest prymitywną metodą wyciskania farb prosto z tuby, czy pędzlem, a także to, jakich używa się pędzli i jaka jest faktura lub splot płótna. Jak ważne jest, by materiał, artysta i temat stanowili jedność. Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem, malowałem, kierując się intuicją i wyobrażeniem, jak powinien wyglądać obraz. Byłem bardziej zainteresowany jakością samej farby, zwłaszcza fakturą, niż dekoracyjną spójnością czy sposobem przedstawienia tematu.

Kiedy już wszystkie decyzje zapadły i wykonano próbne odbitki, nie mogę wprost uwierzyć w ich jakość. Rosemary i dzieci są tak samo podekscytowane jak ja. Uczę się też wiele o kolorze, czego powinienem był się zresztą nauczyć w UCLA, a o czym nie miałem pojęcia. Zróżnicowanie walorowe, tonalne, temperatura i inne cechy koloru – wszystko to było dotąd wymieszane w mojej świadomości. Wiem, że już nigdy nie będę tym samym malarzem, jakim byłem. Może zresztą za dużo spekuluję. Tak czy inaczej odbitki mają tę soczystość, jakiej nigdy nie widziałem ani na zdjęciach, ani w obrazach. Aż się palę, żeby złapać kasetę i znów ruszyć w plener. To, co dostałem, jest zdecydowanie warte pieniędzy, jakie zapłaciłem, nawet gdyby nie udało mi się tych plakatów nigdzie powiesić.



Zawieszenie tego wszystkiego do domu, przy tym formacie i grubości papieru, jaki wybrał dla mnie Fred, to odrębny problem. Próbuję najpierw z moim trycyklem, ale cały ciężar wciąż leci na bok i nie mogę utrzymać równowagi. Wobec tego w niedzielę, kiedy zwykle chodzimy do Luwru i kiedy jest mniejszy ruch, pakujemy plakaty do naszego fiacika, usunawszy uprzednio wszystkie siedzenia. Po pewnym czasie mamy wszystkie plakaty bezpiecznie złożone w czterech pakach na antresoli w komórce. Żeby zabezpieczyć je przed wodą, owijam je wodoodporną folią. Wtaszczenie tych pak do komórki było niezłym wyczynem!

Wyjmujemy pięć plakatów z jednej z paczek i zanosimy do mieszkania, gdzie będzie można je właściwie ocenić. Jesteśmy wszyscy zaszokowani, zwłaszcza ja, widząc, jak dzięki specjalnemu oświetleniu zastosowanemu przez Freda została wyeksponowana faktura obrazu, który jest tak plastyczny, jakby był trójwymiarowy. Reprodukacja wygląda zupełnie jak oryginał. Wrażenie jest ogromne.

Camille znów wpada na świetny pomysł.

– Rozdajmy po plakacie wszystkim tym, którzy kupili jakiś obraz z listy. Gdybyś jeszcze mógł poświęcić trochę swojego cennego czasu, tato, i podpisać je flamastrem, byłaby to naprawdę wielka frajda dla obdarowanych. Te plakaty z czasem będą jeszcze nabierać wartości, a poza tym to piękny prezent. I jestem absolutnie pewna, że każdy, kto dostanie taki plakat, powiesi go sobie w domu na ścianie.

– Podaj mi mazak, Cam. Podpiszę od razu plakaty tym, którzy już kupili obrazy. Jestem pewien, że będą je kupować ludzie, których nie stać na oryginał. Szczerze mówiąc, nie wiem już, co jest „prawdziwsze”. Spójrzcie, to zdumiewające. Czuje się prawie zapach terpentyny i werniksu.

Tej nocy podpisuję wszystkie plakaty dla naszych dotychczasowych klientów, po jednym dla każdego, i jestem pewien, że ich ucieszą. W końcu cała magia obrazu zawarta jest w nim samym, a nie w pieniądzech, jakie się za niego płaci.

Zwijamy plakaty i wkładamy je do tub, tak jak robiliśmy z oryginałami. Koszty wysyłki są spore, ale efekt jest dla nas ważniejszy. Jestem naprawdę przekonany, że ludzie, którzy je dostaną, poczują się w jakimś sensie częścią z reprodukowanego na tych plakatach obrazu.

## Rozdział VII

Już nazajutrz rano wyruszam w plener. Jestem tak podniecony, że nie mogę opanować drżenia rąk. Jest zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy w ogóle zacząłem malować, zanim jeszcze wdałem się w całą aferę z UCLA. Postanawiam, że skoro tak dobrze poznałem drogę, przemierzając ją na swoim trycyklu, dziś też będę malował nad rzeką. Jadę tam, gdzie kołysze się na wodzie stado łodzi i barek przycumowanych linami i łańcuchami do brzegu. Zapach rzeki jest silniejszy niż woń terpentyny, ale razem tworzą całkiem przyjemną mieszankę. I znów kończę obraz w ciągu jednego dnia. Tym razem robię tylko delikatną podmalówkę: niebo ultramaryną, wodę zielenią wiosenną zmieszaną ze sjeną. Pozwalam, żeby kolory podmalówki mieszały się z sobą, dzięki czemu uzyskuję efekt łagodnego stopienia się wody z niebem. Potem pracuję nad łodziami, traktując je nie jako coś obcego, intruzów, ale ruchomy, pływający element Sekwany. Całość ma lekkość akwareli – w końcu maluję wodę. Nie staram się odtwarzać samych łodzi zbyt szczegółowo. Bardziej koncentruję się na ich odbiciu w wodzie. Tam są żywe. Zaczynam się zastanawiać, jak fajnie byłoby mieszkać na takiej barce, przemieszczać się z dzielnicy do dzielnicy, bez konieczności taszczenia z sobą całej masy gratów. Dawałoby mi to większe poczucie wolności niż tkwienie w mieszkaniu i ciągła bieganina po schodach.

Wracam do domu jakby orzeźwiony, a nie otepiały, jak to często bywa po całym dniu malowania. Może rzeczywiście rozejrzę się za jakąś barką. Jest w historii kilka przykładów artystów, którzy żyli i malowali na łodziach, zwłaszcza wśród impresjonistów.

Wprowadzam trycykl do komórki. Matt przygotowuje blejtramy; posługując się moją metodą, naciąga płótno, odcinane z zakupionej przeze mnie beli. Zaczyna to już robić lepiej ode mnie, ale zużywamy tyle płótna, że zwój robi się coraz cieńszy. Matt jest bardziej uważny i nie tak narwany jak ja. Muszę poskromić swoje ciągoty Śmigacza, bo inaczej zmarnuję sobie życie.

Kiedy pokazuję obraz, cała rodzina wpada nagle na pomysł zamieszkania na barce. Wygląda to tak, jakby zadziałała jakaś telepatia. Śmieję się i mówię im, jak to myślałem o tym samym podczas malowania.

Kathleen uważa, że lepiej byłoby poszukać barki poza Paryżem, ale w miejscu, do którego można by dojechać metrem lub pociągiem. Wydaje się, że to dobry pomysł, ale trzeba rozwiązywać problemy po kolei. Po pierwsze jest kwestia pracy Rosemary w szkole, pracy, która wciąż pozostaje poważnym źródłem naszych dochodów. Po drugie, co zrobić z mieszkaniem? Nie sądzę, żebym chciał je kiedykolwiek komuś wynająć, bawić się w kamienicznika i tak dalej. Camille chciałaby rozpatrzyć wszystkie warianty.

– Nawet gdybyśmy wynajęli, może udałoby się nam znaleźć barkę blisko szkoły, żeby mama miała blisko do pracy i my do szkoły też.

Matt nie uczestniczy właściwie w rozmowie, ale i on wtrąca w końcu swoje trzy grosze,

a raczej centimy.

– Nawet gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, musielibyśmy pozostawać latem w Paryżu, a to nie jest przyjemne. Ja jestem za tym, żeby rozejrzeć się za jakąś starą stodołą albo inną chałupą, w której moglibyśmy koczować. Blisko Paryża, żeby był dobry dojazd, ale jednak na wsi. Myślę zresztą, że byłoby to bardzo dobre, bezpieczne miejsce do trzymania obrazów. I mielibyśmy tu więcej przestrzeni. To mieszkanie jest naprawdę za małe dla sześciorga ludzi. A poza tym nie sądzę, żeby zanieczyszczone paryskie powietrze służyło twoim obrazom.

Milkniemy wszyscy i patrzymy na Matta. Myślę, że byłoby to rozwiązanie wspaniałe i dla niego, i dla mnie. Miałbym i prawdziwy wiejski pejzaż do malowania, i być może pracownię, w której mógłbym malować w niepogodę, i wreszcie dobre, czyste powietrze.

Nie sądzę jednak, żeby to się podobało dziewczętom, a zwłaszcza Kate, która jest w takim wieku, kiedy kontakty towarzyskie zaczynają mieć duże znaczenie. Ale tu znów się mylę.

– To świetny pomysł, Matt. Moglibyśmy znaleźć jakiś stary dom albo stodołę i wyremontować tak jak bohaterowie *Domku na prerii*.

Znów milkniemy na chwilę. Obserwuję Rosemary. Myślę, że wszyscy się wzajemnie obserwują. A potem następuje prawdziwy wybuch: okazuje się, że to jest właśnie to, czego pragniemy wszyscy: chcemy żyć na łonie natury, wyjeżdżać latem z Paryża, mieszkać wśród gór i jezior, gdzie panuje spokój, nie ma spalin ani hałasu od szóstej rano. Patrzymy na siebie i uśmiechamy się, zdziwieni, że do tej pory nie spróbowaliśmy dla odmiany takiego życia. Bardzo nam odpowiadał pobyt w Seeshaupt, ale było to jednak miasteczko i mieszkaliśmy w jednym domu z inną rodziną. Teraz mamy wreszcie coś do zrobienia oprócz zwykłego trwania. Śnimy wspólnie ten sam sen. Camille jak zwykle opisuje to, czego chcemy.

– To musi być gdzieś pod Paryżem, nie za blisko, ale tak, żeby można było dojechać, nie poświęcając na to całej doby. Do wakacji pozostały tylko dwa tygodnie; moglibyśmy wziąć naszą książeczkę czekową i zacząć się rozglądać. Próbuje mniej więcej obliczyć, ile moglibyśmy zapłacić, żeby zostały nam pieniądze na życie, na materiały dla taty albo na to, żeby mógł poświęcić się pisaniu czy czemuś innemu, co przyjdzie mu do głowy. Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć coś blisko jeziora lub przynajmniej stawu, gdzie moglibyśmy spokojnie popływać, nie w tłumie ludzi, jak na zatłoczonej plaży. Najlepsza byłaby zabita dechami wieś, maleńka, gdzie byłby tylko jeden sklepik, no i może jeszcze piekarnia. Jestem pewna, że znajdziemy coś takiego i tato z Mattem potrafią to wyremontować. Kathleen i ja urządziłybyśmy dom w środku, może udałoby się nam kupić tanio meble na aukcji albo gdzie indziej.

Camille ma to wszystko przemyślane; my wtrącamy do opisu nasze propozycje i tak, po troszeczkę, dom z naszej wyobraźni naprawdę zaczyna ożywać.

## Rozdział VIII

Przed wakacjami sprzedaliśmy jeszcze dodatkowo dwanaście obrazów i kupiliśmy mapy wszystkich regionów okalających Paryż w promieniu stu i więcej kilometrów. Uznaliśmy, że nie chcemy mieszkać bliżej niż dziesięć kilometrów od miasta i jednocześnie nie chcieliśmy się zapuszczać na odległość dwustu, żeby szukać naprawdę wiejskiej okolicy ze wszystkimi walorami, jakie sobie wymarzyliśmy. Przewidujemy, że dużym, ale niezbędnym wydatkiem będzie kupno samochodu; nasz fiat multipla dogorywa.

Na szczęście nie musimy długo szukać. Nasi dobrzy znajomi, Niemcy ze Stuttgartu, mają volkswagena passata z pięcioma biegami, w idealnym stanie. Handlarz, któremu proponowali kupno tego samochodu, dawał zdecydowanie za mało w stosunku do jego rzeczywistej wartości. Oglądamy z Mattem ten samochód; ma na liczniku tylko czterdzieści tysięcy kilometrów i nasi przyjaciele byli jego pierwszymi użytkownikami. Auto nie ma wspomagania układu kierowniczego, ale jest wyposażone w automatyczną skrzynię biegów.

Zgadza się na cenę, której żądają, i zapoznajemy się ze wszystkimi francuskimi i niemieckimi formalnościami, które należy załatwić, żeby uzyskać prawo własności. Wszystko to wydaje mi się śmieszne i zbędne, zwłaszcza poza Paryżem, gdzie ma się odbyć cała inspekcja. Trzeba czekać pół dnia, zanim samochód przejdzie testy dopuszczające go do ruchu. Auto ma nawet radio i pomijając to, że trzeba będzie wymienić niemieckie reflektory na żółte francuskie, przechodzi wszystkie testy bez problemu. Tak więc mamy praktycznie nowy samochód kombi, z – co naprawdę ważne – bagażnikiem na dachu. A jeździ tak, jakbyśmy go wzięli prosto z salonu. Wszystkie nasze wcześniejsze problemy z pakowaniem rzeczy przestają istnieć. Wkładamy najpierw większą część odzieży do pojemników, które kupiłem po dwadzieścia franków za sztukę, i przykrywamy wszystko plandeką. Wypełniamy wnętrze samochodu wszystkim, czego potrzeba na długą podróż.

Sam nie wybiera się nigdzie na wakacje, a więc zgadza się „pilnować sklepu”. Czyli odbierać naszą pocztę, zdejmować obrazy z blejtramów, zwijać je i wkładać do tub. Muszę je tylko malować. Podejmuje się też przysyłać nam przekazem napływające pieniądze i opatrywać wysyłane obrazy odpowiednią instrukcją.

Odczuwam pewną ulgę, zmierzając na południowy wschód od Paryża. Po uważnym przestudiowaniu naszych map ustaliliśmy, że to właśnie jadąc w tym kierunku, dotrzemy do górzystych okolic z mnóstwem jezior. Co najważniejsze, jest tam wiele wsi, prawdziwych wsi, a nie skupisk domów rozciągniętych wzdłuż drogi. Są nawet stojące na uboczu i z dala od miast małe gospodarstwa złożone z domów mieszkalnych i stodoł. Dowiedzieliśmy się też, że aby coś takiego wynająć lub kupić, trzeba się udać do miejscowego notariusza, czyli kogoś w rodzaju naszego „realtora”, który pobiera procent od każdej transakcji.

Tak więc zaczynamy nasze poszukiwania. Przez pięć dni objeżdżamy większość miejsc, które zaznaczyliśmy na naszej mapie jako interesujące, ale nic z tego, co widzimy, nie odpowiada naszym kryteriom. Ogarnia nas lekkie zniechęcenie.

Piątego dnia Rosemary zgadza się poczekać sama na notariusza, który akurat wyszedł na lunch, a ja i Kathleen postanawiamy udać się do innej kancelarii, którą widzieliśmy po drodze. I oto natrafiamy na prawdziwy skarb! Notariusz oznajmia, że ma stary, opuszczony młyn, który akurat „wshedł na rynek”. Mówi, że może go nam od razu pokazać. Jesteśmy wszyscy zmęczeni i chcielibyśmy zjeść nasze „piknikowe” drugie śniadanie, ale ciekawość bierze górę. Stary młyn – to dokładnie to, o co nam chodzi.

Młyn jest ogromny. Cena jest tak samo śmieszna jak cena naszego samochodu, krótko mówiąc, postanawiamy go kupić (zob. *Opowieści z Moulin du Bruit*).

## Rozdział IX

Młyn jakby tylko czekał, aż się wprowadzimy. Nie oznacza to, że jest odszykowany jak większość tak zwanych wiejskich domów we Francji. Choć ma ponad sto pięćdziesiąt lat, był praktycznie niezamieszany. Przez trzy dni krążymy dookoła, potem klamka zapada. Panuje ogólna zgoda; nawet mały Will jest przekonany do zakupu.

Każde z nas ma oczywiście swoje zastrzeżenia i nie bez powodu. Po pierwsze nie jest to młyn w zwykłym słowa znaczeniu, ale stary młyn wodny wbudowany w tamę, która miała zatrzymać wodę potrzebną do spławiania drzewa.

Spławianie było metodą transportu drzewa do Paryża w okresie, kiedy stanowiło ono podstawowy opał. Staw obok młyna ma na moje oko jakieś trzy akry i niestety nie wchodzi w skład „pakietu”. Tama, w którą wbudowany jest młyn, liczy sobie mniej więcej sto lat.

Zbudowano ją z ociosanych, dopasowanych bloków granitu, nie spajanych najwyraźniej żadną zaprawą. Początkowo trochę mnie to niepokoi, ale fakt długowieczności tej budowli i zapewnienia okolicznych mieszkańców, że tama była tu zawsze, uspokajają mnie nieco.

Dach, a raczej to, co z niego pozostało, to stara dachówka łupkowa, cięta ręcznie, nie maszynowo, nierówna, ale, z wyjątkiem kilku miejsc, szczelna. Nawiasem mówiąc, akurat to okaże się z czasem nieprawdą. Ale na razie cała rodzina, włącznie ze mną, jest zachwycona. Czujemy się tak, jakbyśmy oszukali nieubłagany czas i przywrócili to miejsce do życia.

I jest to właściwie prawda. Młyn nie był używany, a już na pewno zamieszany, od końca lat czterdziestych. Wcześniej uruchamiano go nieregularnie, żeby zemleć ziarno na śrutę dla bydła. Cała konstrukcja miełająca to pozostałości starego koła wodnego i cztery żarna o średnicy półtora metra każde.

Dwa z tych kamieni są na swoim miejscu, dwa odstawiono na bok, posługując się zapewne prymitywną dźwignią z drąga i kamiennej podpory. Zdjęto je zapewne po to, żeby odświeżyć powierzchnie trące i mieć żarna w zapasie. Całe podstawowe wyposażenie potrzebne do mielenia ziarna jest w komplecie, ale o tym przekonam się dopiero później, kiedy obejmiemy młyn we władanie.

Są tam też, co dla nas bardziej interesujące, budynki, w których składowano ziarno i mlewo, piękne, surowe pomieszczenia. Ale najciekawsze z naszego punktu widzenia są kamienne, piętrowe budynki z przybudówką, usytuowane za właściwym młynem.

Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy w życiu nie byłem w młynie. Jestem miejskim chłopakiem z Filadelfii, zarówno w sensie geograficznym, jak pod względem temperamentu. Zamierzam jednak spróbować życia malarza – młynarza. I wszyscy pozostali też chcą tu zamieszkać. Każde z nas ma inną koncepcję, od czego należy zacząć, ale wszyscy zgadzamy się co do tego, że musimy połatać dach i wyremontować narożnik domu, w miejscu, gdzie ściana zaczęła

przeciekać i woda rozszczelniła kamienie. Budynek, podobnie jak tama, jest zbudowany bez zaprawy; między kamieniami jest tylko specjalny rodzaj zaprawy zwany *chaume*. Mury mają co najmniej pół metra grubości i są zbudowane z otoczków, nie ociosowanych i nie dopasowywanych.

Zbieramy wszystkie dachówki, które zsunęły się z dachu, i układamy w wielkie stosy. Potem pożyczam od Maurice'a, naszego sąsiada z przeciwka, drabinę i włączę na nią, żeby z jego pomocą razem z Mattem nadbudować zmurszały fragment muru, stosując porządną cementową zaprawę.

Wzmacniamy mur nowymi kamieniami i łupkami; uwijamy się z tym w tydzień. Wymieniamy też i przedłużamy drewniane krokwie i układamy dachówki „z odzysku”, mocując je specjalnymi zaczepami, które dał nam Maurice. Odzyskuję niektóre z cech pana Śmigacza. Najwyższy czas.

Okazuje się, że Maurice jest murarzem. Jego ojciec, też murarz, został kaleką podczas remontu młyna, kiedy prawie dwadzieścia lat temu usiłował naprawić koło młyńskie. Maurice opowiada nam tę tragiczną historię, nie okazując żadnych emocji. Mieszka z matką, madame Legrande, w domu po drugiej stronie drogi. Okazuje się, że młyn jest budowlą z historią. Maurice chętnie opowiada nam o innych tragediach z nim związanych. Między innymi o człowieku, który powiesił się na dole, w pomieszczeniu nazwanym przez nas piwniczką. Piwniczka jest położona poniżej poziomu wody i ma gładką podłogę z ręcznie ociosowanego granitu.

Taką właśnie tragedią był wspomniany wypadek, kiedy nieubłagane koło młyńskie porwało ojca Maurice'a i owinęło go wokół siebie, łamiąc mu kręgosłup. Został kaleką do końca życia, na całe kilkanaście lat, jakie mu jeszcze pozostały. Madame Legrande opiekowała się nim przez cały ten czas; Maurice pokazuje nam prymitywny wózek, w którym poruszał się jego ojciec w ostatnich latach swego życia.

Kiedy opowiadam rodzinie wszystkie te historie, początkowo Rosemary i Camille gotowe są zrezygnować z całego projektu, ale przekonujemy je z Mattem, że możemy przecież zmienić tę smutną tradycję i przeobrazić to miejsce w wymarzony przez nas raj artystów. Zresztą nie trzeba ich za bardzo przekonywać; jesteśmy wszyscy zauroczeni samym młynem i pięknem okolicy. Nasz region nazywa się Morvan i jest częścią Burgundii. A Burgundia słynie w świecie z win.

Ale samo Morvan bynajmniej nie. Gdyby zaś słynęło, nigdy nie byłoby nas stać na zakup młyna. Inni burgundczycy mówią: *ni bon vin vien de Bourgogne* – z Burgundii nie pochodzi żadne dobre wino. Wydaje się, że trudno w tym regionie hodować winogrona. Ponieważ jednak nie jesteśmy specjalnymi amatorami wina, nie ma to dla nas wielkiego znaczenia.

Region słynie jednak także z pięknych białych krów, które dostarczają mleka i mięsa, a więc czegoś lepszego niż wino. Krowy tej rasy, *charolais*, są znane nie tylko w Burgundii.

W młynie nie ma bieżącej wody, a elektryczność doprowadza tylko jeden przewód. Udaje

nam się z pomocą Maurice'a podłączyć prąd. Wodę nosimy ze studni we wsi, z odległości pięćdziesięciu metrów, i planujemy, że doprowadzimy ją, jak najszybciej się da.

Naprawiamy też podłogę w pomieszczeniu, które będzie naszym salonem. Pod belkami stropowymi budujemy antresolę, na której w przyszłości urządzimy miejsce do spania. Wchodzimy po drabinie do spichrza; jego rozmiary są oszałamiające. Będzie tu wspaniałe miejsce do eksponowania, przechowywania i malowania obrazów. Podłoga jest tu również mocno zbutwiała, więc już teraz widzimy, że czeka nas sporo ciężkiej pracy. Ale jesteśmy pełni zapału. Jeszcze raz odsyłam czytelników do *Opowieści z Moulin du Bruit*.

Przyzwyczajamy się jakoś do kąpieli w stawie, mimo że dno jest muliste. Odkrywamy, że można w nim z powodzeniem wędkować. Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że porywamy się na rzecz wielką, ale wszyscy są w tej sprawie *d'accord*.

Główny powód, dla którego potrzebna nam jest taka wielka przestrzeń, to względy ekonomiczne. Owszem, zarobiliśmy trochę pieniędzy dzięki naszemu skomplikowanemu systemowi sprzedaży obrazów, ale nie są to jeszcze pieniądze tego rzędu, żeby można było w pełni sfinansować nasze przedsięwzięcie. Przez całe lato odbywamy kilka narad rodzinnych. Oceniamy, ile pieniędzy i wysiłku będzie nas kosztować doprowadzenie młyna do takiego stanu, żeby można było w nim mieszkać i handlować obrazami. Nasze szacunki różnią się w zależności od tego, jak ciężko pracowaliśmy danego dnia, a podstawowy problem to kwestia komunikacji z Paryżem.

Jak zwykle nie doceniliśmy trudności, jakie się z tym wiążą. Zdawało nam się, że droga jest znacznie krótsza. Okazuje się, że nasze wymarzone miejsce jest oddalone od Paryża o dwieście siedemdziesiąt kilometrów, czyli mamy dwa razy dalej, niż obliczaliśmy.

Bagatelizujemy jednak ten problem i maszerujemy do notariusza, żeby złożyć ofertę. Aż podskakuje z wrażenia, widząc taką doskonałą okazję, my zaś aż kurczymy się ze strachu. Klamka zapada. Udaje nam się zbić cenę do równowartości dwóch tysięcy dolarów. Jest to wprawdzie kwota, jaką przewidywaliśmy, ale co z całą robotą, którą trzeba będzie wykonać? Koszty remontu i adaptacji przekraczają nasze możliwości i stan naszego jeszcze skromnego, choć wciąż rosnącego konta w banku.

Jedziemy do Paryża zdecydowani jednak kupić młyn i tak oto spełnia się moje marzenie: będę miał wielką pracownię, miejsce do przechowywania obrazów i piękny wiejski krajobraz do malowania.



## Rozdział X

W komórce w Paryżu mamy oczywiście wszystkie podstawowe materiały. Matt, Sam i ja zgromadziliśmy wielki zapas tub płótna pociętego na odcinki odpowiedniego formatu, możemy więc przystąpić do robienia blejtramów i nawet kupujemy kilka gotowych we „francuskim” formacie. Mogę zatem ruszać w plener.

Posługując się moim przemysłnym urządzeniem do sklejania ram i paroma innymi sztuczkami, w tym kombinacją specjalnego szybko schnącego kleju ze zszywkami, sporządzamy już w pierwszym tygodniu dziesięć blejtramów. Tam, gdzie można, używamy do mocowania płótna mosiężnych pinezek, unikając zszywek. Dzięki moim specjalnym kombinerkom do napinania płótna idzie nam bardzo szybko: jeden układa płótno na ramie, drugi je naciąga, trzeci robi zakładki na rogach i pilnuje, żeby płótno się nie marszczyło ani nie było zbyt napięte. Pracujemy w całkiem niezłym tempie, śmiejąc się i żartując. A także planując, jak doprowadzimy do stanu używalności nasz młyn.

Założenie sieci elektrycznej i doprowadzenie wody będzie wielkim wyzwaniem. Na szczęście Tom pomagał kiedyś w takiej pracy w ich wiejskim domu w Dordogne. Wiemy, że popełnimy całą masę błędów, ale Tom zapewnia, że to łatwiejsze, niż się wydaje, i dodaje nam odwagi.

Kiedy dziesięć blejtramów jest gotowych, wyciągam swoją kasetę i trycykl i wyruszam na ulice Paryża. Jestem gotów nie tylko malować, jestem gotów zmienić świat.

Natrafiam jednak na kolejny problem, jakiego się nie spodziewałem. Tak napastem oczy widokiem falujących wzgórz, krętych dróg i całą gamą wiejskich barw, jakich nigdy właściwie nie używałem, że teraz jestem jak pijany. Dopiero po namalowaniu dwóch obrazów czuję się w Paryżu znów jak u siebie. Nigdy bym nie pomyślał, że jestem tak mało elastyczny, ale w końcu rozwiązuję ten problem i stwierdzam, że mogę połączyć wiele z tego, czego nauczyłem się w Morvan, z wiedzą wyniesioną z malowania w Paryżu. Kończąc drugi obraz, jestem znów w pełnej formie. Jeśli może osiągnąć pełną formę ktoś, kto ma takie zaburzenia równowagi jak ja.

To cudowne uczucie wiedzieć, jaki ma być nasz następny krok, czuć, że ma się przed sobą wyzwanie i że nie przekracza ono naszych możliwości. Trudno mi to wytłumaczyć Mattowi i Tomowi. Ale oni najwyraźniej wcale się tym nie przejmują. Są tak pochłonięci przygotowaniem blejtramów, że moje problemy wydają im się jakimś zbędnym luksusem.

Idę do Marais, żydowskiej dzielnicy Paryża, i znajduję tam więcej potencjalnych tematów do malowania, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem. Odkrywam w tym miejscu oryginalne połączenie historii i piękna. Gdziekolwiek się obrócę, natrafiam na dwustu-, trzystuletnie budynki, które są częścią starego Paryża i jednocześnie wprost ociekają najnowszą historią tego

miasta, nosząc ślady niemieckiej okupacji i związanych z nią nieszczęść.

Wdaję się w rozmowę z ludźmi na ulicy. Pokazują mi różne wyryte lub namalowane na murach inskrypcje, opisujące szczegółowo, kogo złapano, a potem rozstrzelano w tym miejscu lub wysłano do obozu koncentracyjnego. Jest to część historii Paryża, którą wprawdzie znałem, lecz której nigdy nie poznałem tak dobrze, jak dzięki tym przypadkowym ludziom z ulicy. W większości byli oni naocznymi świadkami tych wydarzeń. Na podstawie tego, co widzę, i tego, co od nich słyszę, zaczynam sobie tworzyć ich pełny obraz. Wiem, że muszę jakoś uchwycić ten tragiczny czas i namalować go najlepiej, jak potrafię.

Podczas wojny byłem w Paryżu w szpitalu, gdzie próbowali ustalić, co mi jest, ale nigdy nie wdałem się z nikim w taką ciekawą, tak pełną szczegółów rozmowę jak teraz.

Grupa licząca około pięćdziesięciu osób towarzyszy mi w drodze do dawnego więzienia na wyspie. Niemcy trzymali tu swoje ofiary, z których większość rozstrzelano. To przygnębiający widok, te słowa pożegnania na ścianach, wydrapane w tynku lub napisane krwią. Pracuję otoczony tłumem ludzi, którzy udzielają mi mnóstwa informacji, chyba więcej, niżbym sobie życzył.

Pomnik ten jest usytuowany nisko, na poziomie wody, i nie sędzę, żeby wiedziało o nim wielu turystów. Mam nadzieję, że uda mi się namalować jeszcze kilka innych podobnych miejsc, które mi wskazano. Postanawiam pomóc w wydobyciu tych wydarzeń na światło dzienne.

Pracując nad tymi obrazami, spędzam w Marais trzy tygodnie. Opowiadam naszym dzieciom i Tomowi, co robię, i zabieram ich tam, żeby zobaczyli wszystko na własne oczy. Są tak samo zaszokowani jak ja. Uświadamiam sobie, jak mało wiemy w Ameryce o tym, co zdarzyło się tu w latach trzydziestych i czterdziestych. Namalowałem łącznie piętnaście obrazów, które umieszczam w komórce. Rosemary prosi mnie, żebym nie rozstawiał ich w mieszkaniu, bo po prostu trudno normalnie funkcjonować w ich otoczeniu.

„Projekt Marais” rozrasta się, w związku z czym nie mogę spać po nocach. Kiedy kończę piętnasty obraz, na prośbę Rosemary porzucam cykl z Marais, ale obiecuję sobie, że wrócę tam, kiedy natrafię na coś bardziej radosnego. Myślę, że udało mi się pokazać coś z tej tragedii. Z ulgą wracam do malowania nad rzeką i w parkach. Wszystko wydaje mi się piękne, tym teraz piękniejsze, że odkryłem inne oblicze paryskiej rzeczywistości.

Najtrudniejsza do zniesienia jest świadomość, że kiedy byłem zaledwie osiemnasto – czy dziewiętnastolatkiem, też zabijałem ludzi, i to takich, których nie znałem, z powodów, których nie rozumiałem. Być może moje problemy z równowagą jakoś się z tym wiążą. Może coś pozostawiło w mojej świadomości niezatarty ślad.

To może przed tym uciekałem przez długie lata. Moje malowanie pomaga mi dowiedzieć się o sobie czegoś, czego dotychczas nie wiedziałem. I im bardziej staję się tego świadom, tym bardziej pragnę wszystko uporządkować. Czuję, że najlepszą drogą dotarcia do tej wiedzy jest

malowanie. Chciałbym wyrazić swą miłość i szacunek dla Francji i Francuzów najlepiej, jak potrafię. Postanawiam namalować niektórych z moich „informatorów”, tych poznanych na ulicach Paryża. Może dzięki temu osiągnę swój cel. Ale Camille ma lepszy pomysł.

– Tato, możesz przywrócić tym ludziom chęć do życia. Na pewno mogłyby w tym pomóc twoje obrazy, bo ukazują twoje najgłębsze uczucia, ale myślę, że to samo osiągniesz, spotykając się z tymi ludźmi i uświadamiając im, że ich kochasz. Miłość jest najlepszym antidotum na wszelkie negatywne doznania. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Nie bardzo rozumiem, ale wyczuwam intuicyjnie, o co jej chodzi, tak jest to bliskie moim odczuciom. Moje wewnętrzne doznania przypominają szok, jaki przeżywamy na widok jakiejś strasznej samochodowej kraksy. Nie jest to nasza wina, wiemy też, że powinniśmy coś zrobić, ale jednocześnie zdajemy sobie sprawę z własnej bezsilności. Na ogół człowiek nie dopuszcza do siebie tego rodzaju myśli.

Tymczasem Camille przygotowała następny zestaw reprodukcji do wysyłki. Tchną optymizmem, nie ma w nich śladu sentymentalizmu ani pocztówkowych uroków, jest tylko miłość, jaka nas wszystkich przepełnia. Wydostałem się z koleiny i jestem gotów zaczynać od nowa.

Malowanie całych cykli obrazów nie przychodzi mi już tak łatwo jak kiedyś. Stwierdzam, że ociążam się z robotą i zadaję sobie zbyt wiele pytań. Zbyt często są to pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć, pytania typu „dlaczego” i „dlaczego nie”. Wiem, dlaczego maluję, przeważnie wiem też, jak i kiedy, ale gorzej z odpowiedzią na pytanie, jaka motywacja jest mi obca. Nie maluję po to, żeby wywoływać powierzchowny dreszczyk czy forsować jakieś polityczne bądź filozoficzne idee. Maluję głównie dla siebie, usiłując nadać jakiś sens swojemu życiu, z tym moim bieganiem, małżeństwem, dziećmi, ze wszystkim, i teraz, kiedy zarabiam trochę pieniędzy, nawet dawny powód, czyli konieczność samego przeżycia, stracił sens. Przeżyję aż do własnego końca, tego ostatniego dzieła sztuki w moim życiu, ale to tak naprawdę nie ma dla mnie znaczenia.

Wczesnym rankiem idę z moją kasetą do hal, szukając jakiegoś usprawiedliwienia dla mordu dokonywanego w takiej skali na zwierzętach i wyrywania z gleby roślin tylko po to, żeby podtrzymywać życie ludzi, moje, paryżan, których widzę dookoła.

O trzeciej nad ranem na ulicach jest ciemno, więc przymocuję do starego melonika latarkę, żeby widzieć, co maluję, a także farby na palecie i powierzchnię płótna. Otaczają mnie wozy konne, ciężarówki, furgonetki i sprzedawcy wystawiający swój towar; szybko zanurzam się w tym zgiełkliwym rojowisku i staję się uczestnikiem, nie tylko obserwatorem. Najpierw maluję ziemniaki w parczanych workach, na stertach i pojedyncze, rozsypane specjalnie, żeby mogli je obejrzeć kierowcy ciężarówek, którzy porozwożą je po całej Francji. Malując, zaczynam wyczuwać emanujący z obrazu zapach tych ziemniaków i piachu, z którego je wykopano.

A potem widzę je w postaci frytek, sałatki ziemniaczanej, nawet ziemniaczanego puree, we wszystkich postaciach, w jakich jadłem je w życiu. Fascynuje mnie także połysk skórki młodych ziemniaków i matowa, szorstka faktura oraz ziemista barwa starych. Maluję i po pewnym czasie zaczynam odczuwać głód, a baterie mojej latarki zaczynają się wyczerpywać, ale to nie ma znaczenia, bo nadchodzi nowy dzień i nie potrzebuję już swojego zwariowanego świecącego kapelusza.

Kilka ostatnich muśnięć pędzlem i kończę pracę. Kiedy wracam rue de Rivoli do swojej komórki, ogarnia mnie uczucie głębokiej satysfakcji. Zostawiam wszystko na dole i lekko wspinam się po schodach na górę. Nie rozwiązałem wprawdzie wielu dręczących mnie problemów, ale jestem nieco bliżej ich rozwiązania.

Matt i Tom zrobili jeszcze dwanaście ram i na sześciu naciągnęli płótno. Nie mogę wprost uwierzyć, jak szybko im poszło, oni zaś robią wrażenie podekscytowanych robotą, która, jeśli się jej naprawdę nie lubi, może się wydawać uciążliwa. Oddaję Tomowi to, co jestem mu winien za trwanie na posterunku, kiedy nas nie było, i dodaję piętnaście dolarów za nową robotę. Okazuje się, że Rosemary dała mu już piętnaście dolarów, więc Tom uważa, że dostał za dużo. Mówię o tym Rosemary, ale ona nalega, żeby zostawić mu te pieniądze.

Po obiedzie Camille zaznajamia nas z rachunkami.

## Rozdział XI

Pracujemy jak szaleni, mimo że zaczynają się chłody. Wykładam ściany komórki styropianem i maluję go białą farbą. Wygląda tu teraz jak w szpitalu. Zresztą w pewnym sensie jest to szpital dla obrazów. Kiedy pogoda psuje się na dobre, przeciągam kabel z okna sypialni i doprowadzam do komórki elektryczność, więc mogę pracować nawet w pochmurne dni albo kiedy jest całkiem ciemno. Włączam też mały elektryczny grzejnik kupiony na Marche d'Aligre. Staram się, jak mogę, ukryć to przed konsjerżką. Nie pytałem jej nawet, czy mogę podłączyć prąd, bo wiem, że ojciec Toma pytał i mu nie pozwolili, ze względu na niebezpieczeństwo pożaru. Kupuję małą gaśnicę i na tym poprzestaję. Grzejnik ma pięćset watów, ale daje przyjemne ciepło, a dzięki styropianowej okładzinie jest w komórce dużo przytulniej niż wtedy, kiedy ogrzewałem ją naftą. Ładniej też pachnie i jest to zapach wnętrza pracowni artysty, a nie spalin ze startującego odrzutowca. Camille zamawia nową porcję reprodukcji i wysyłamy je potencjalnym klientom. Oblepiamy też cały Paryż plakatami z nadrzecznymi pejzażami mojego pędzla. Ludzie zrywają je w takim tempie, że nie nadążamy z nowymi, więc Matt i Tom próbują je wywieszać w restauracjach i sklepach; właściciele na ogół się zgadzają, i to nawet na kilka, jeśli tylko damy im parę plakatów na pamiątkę. Może powinniśmy pobierać za nie jakąś opłatę, na przykład dziesięć franków, żeby ludzie je bardziej cenili, ale ja osobiście nigdy nie uznawałem starej mądrości ludowej, że ludzie cenią tylko to, za co słono zapłacą.

Kathleen ma pomysł, żeby dawać plakaty tym, którzy zgadzają się je powiesić, a potem prosić o datek w wysokości dwudziestu franków, traktując to jako zwrot kosztów materiału. To tylko zwiększa popyt, sporządzamy więc listę tych, którzy proszą o więcej, i obiecujemy im nowe plakaty. Biznes rozkręca się na całego.

Odbywamy kolejną naradę, żeby podjąć nowe decyzje w tej sprawie. Problem w tym, że nikt nie ma tak naprawdę czasu, żeby chodzić i rozlepiać plakaty, a jednocześnie odrabiać lekcje i robić blejtramy, nie mówiąc już o samym malowaniu.

Matt uważa, że powinniśmy zakupić gotowe ramy i specjalny pistolet tapicerski do przybijania płótna. Wszyscy się z nim zgadzają. Podnosimy także stawkę tym, którzy rozlepiają nasze plakaty. Do zespołu wraca Sam, który musi zdobyć trochę pieniędzy. Chce je przeznaczyć na budowę superlekkiego samolotu. Ma prawdziwego fioła na punkcie latania. Mam nadzieję, że nie podetną mu skrzydeł tak jak mnie.

Schodzimy do komórki; jest tu jeszcze ciepło od wczorajszego ogrzewania piecykiem elektrycznym. Wyciągamy kilka obrazów namalowanych latem. Wszyscy są zgodni co do tego, że tym razem wybierzemy do reprodukcji obraz przedstawiający młyn wczesną jesienią, ze stawem na pierwszym planie. To bardzo dobry obraz, tak dobry, że potem zatrzymamy połowę plakatów dla siebie.

Zbieramy się dookoła obrazu i Matt pokazuje miejsce, w którym spichrz prawie przylega do tamy. Między budynkiem a tamą jest wąski prześwit.

– Pewnie pomyślicie, że zwariowałem, ale gdybyśmy wypełnili ten prześwit kamieniami i gruzem, który zostanie nam po wykuciu dwóch par drzwi w ścianie od strony stawu, będziemy mieli bezpośredni dostęp do stawu ze spichrza. Jeśli potem przebijemy drzwi z głównego pokoju do spichrza, to wszystko stanie się jedną wielką całością z trzema wyjściami na staw.

Początkowo wygląda mi to na nierealny pomysł, ale potem, kiedy Matt, już z ołówkiem w rękę, rozrysowuje wszystko i pokazuje, w którym miejscu miałyby być drzwi, zaczynam rozumieć, że ma rację. Ma wyobraźnię przestrzenną, nawet jeśli tę przestrzeń pokazuje tylko moje dwuwymiarowe malowidło. Udziela mi się jego podniecenie.

– O rany, ale będziemy mieć widok! Stracimy wprawdzie w środku trochę miejsca do zawieszania obrazów, ale będziemy za to mieli piękną panoramę ze stawem. I myślę, że masz rację, Matt: możemy po prostu zasypać prześwit pomiędzy tamą i spichrzem gruzem, który zostanie po wykuciu drzwi. Potem możemy wszystko wyrównać i zrobić ścieżkę wzdłuż budynku, na całej długości. Będzie to nasze własne, osobiste, rodzinne Champs Elysees!

Z tym szalonym, ale zarazem praktycznym pomysłem w głowach wracamy do naszych operacji reklamowych i handlowych. Maluję w tempie, o jakim nie marzył nawet pan Śmigacz, toteż wkrótce mamy kolejne dziesięć obrazów, fotografujemy je, drukujemy plakaty i rozwieszamy w całym mieście. Rosemary bierze w szkole dłuższy urlop. Teraz nic nas już nie powstrzymuje.

Wyczerpaliśmy już wszystkie obrazy z magazynu w komórce i teraz przechodzimy do składu w mieszkaniu. Nawet nie sprawdzam stanu naszego konta. Ufam Camille, która twierdzi, że jeśli wszystko będzie szło dalej w takim tempie, to wkrótce Rosemary będzie mogła wziąć bezterminowy bezpłatny urlop, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ci ze sklepu z dywanami zaczynają podejrzewać, że ich tuby muszą być ze szczerego złota, ale jak to Francuzi nie zadają żadnych pytań i nie żądają zapłaty. Sam informuje nas, że zebrał już wystarczającą sumę, żeby zacząć budować swój superlekki samolot. Teraz z kolei planuje, że zapisze się na lekcje latania i w dalszej perspektywie kupi sobie nawet jakąś awionetkę. Chyba powinienem porozmawiać o tym z jego rodzicami.

Święto Dziękczynienia, a potem Boże Narodzenie spędzamy w młynie. Wybijanie otworów w grubych na dwie stopy murach to okrutna harówka, ale przynajmniej się rozgrzewamy. Maurice pokazuje nam, jak je wybijać, żeby ściana się nie zawaliła. Pożycza nam nawet trochę narzędzi murarskich, więc idzie nam nieco łatwiej. Przed nadejściem lata mamy wszystkie otwory przebite i obmurowane. Kupuję w Le Bazaar de l'Hôtel de Ville kilka par przeszklonych drzwi i zawozimy je do młyna naszym volkswagenem. Robimy to podczas krótkich urlopów, między

innymi w święta Wielkiej Nocy.

Wiosna jest w tej okolicy piękna i kiedy robi się ciepło, wskakujemy często do stawu, żeby się orzeźwić. Przy robocie polegającej na układaniu kamieni naszego Champs Elysees i spajaniu ich cementem strasznie się brudzimy. Kiedy znajdziemy jakiś kamień, jeden rzut oka wystarcza, żeby stwierdzić, czy będzie pasował do dziury, którą wryliśmy w ziemi. Co ważniejsze, bez sprawdzania wiemy, że mamy dość pieniędzy, żeby zapłacić za przeróbki w młynie i za przygotowanie miejsca na magazyn wszystkich obrazów. Odbywamy dwie dodatkowe podróże naszym volkswagenem załadowanym płótnami, a cała ich sterta piętrzy się jeszcze w bagażniku na dachu. Nawet teraz, kiedy ich tyle sprzedaliśmy, mamy jeszcze niewiarygodnie wielki zapas.

Czuję się emocjonalnie związany zarówno z obrazami paryskimi, jak tymi, które maluję na wsi, w przerwach w pracy. Rosemary niepokoi się, że pracuję zbyt ciężko. Próbuję jej wytłumaczyć, że malowanie nie jest już dla mnie pracą, ale przyjemnością, zwykłym hobby. Wciąż jednak mam problemy z utrzymaniem równowagi. Dzięki Tomowi, Samowi i Mattowi udaje nam się przetransportować do młyna wszystkie obrazy i ościeżnice bez żadnego wypadku.

Omawiam z Mattem sprawę jego prawa jazdy i wykorzystania fiacika jako naszego drugiego samochodu. We Francji można prowadzić od osiemnastego roku życia.

– Nie, tato, nie uważam, żeby to był dobry pomysł. Może później, ale na razie bardzo lubię chodzić, a nauka i prace związane z obrazami, napinanie blejtramów, mieszanie werniksów i tak dalej, wypełniają mi całkiem czas. Jeśli będziemy przyparci do muru, mogę zrobić to prawo jazdy.

– Ale kiedyś będziesz się musiał tego i tak nauczyć, Matt.

– Wolę poczekać, aż będę gotowy, tato.

Na tym stanęło. Także Kate nie wykazuje żadnych chęci w tym względzie. Ciekawe dlaczego?

## Rozdział XII

Podróż do młyna, gdzie tym razem zostaniemy przez całe lato, nie jest tak uciążliwa, jak się obawiałem. Jadę volkswagenem z Mattem, Kathleen i obrazami, a Rosemary z Williamem i Camille jadą fiatem. Po drodze zatrzymujemy się dwukrotnie, żeby sprawdzić bagaż na dachu i poprawić mocowanie. Jazda zabiera nam pięć godzin, ale kiedy docieramy na miejsce, jest jeszcze widno. Od zeszłego roku wszystko niesamowicie wybujało, cała okolica młyna jest praktycznie zupełnie zarośnięta.

Wszyscy jesteśmy podekscytowani tym, że oto znów wróciliśmy do młyna. Bluszcz, który posadziliśmy jesienią, przyjął się i pięknie wygląda na tle kamiennych ścian. Jesteśmy tak szczęśliwi i podnieceni, że uśmiech nie schodzi z naszych twarzy. Sam i Tom wybierają się z rodzicami do swoich letnich domów w Dordogne, więc tym razem będziemy tylko w gronie rodzinnym. Mamy huk roboty.

Rozkładujemy samochody; wszyscy aż się palą, żeby posprzątać salon i jeszcze raz sprawdzić, czy nasze *porte-fenetre* pasują do otworów, które wykuliśmy w murze. Rozkładamy stół i krzesła zakupione na pchlim targu i od razu czujemy się zadowoleni, tak jakbyśmy tu byli od dawna.

Rosemary biega po całym domu, omiatając pajęczyny i brud, który osiadł na ścianach. Zamierzamy wypełnić szczeliny między kamieniami cementem, żeby łatwiej było utrzymać czystość. Na razie odkurzamy ściany z grubsza, bo brud i pył wżarły się w nie. Rosemary myje w kuchni talerze.

William jest szczęśliwy, że może dreptać po całym domu lub turlać się po podłodze. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie zrobiliśmy przed wyjazdem, było prowizoryczne wypełnienie dziur zgniecionymi puszkami, które poprzybijaliśmy gwoździami i przykryliśmy wszystkimi chodnikami, jakie udało nam się kupić na wyprzedaży. Porządnie załatamy dziury wtedy, kiedy uporządkujemy całe obejście.

Idziemy tego dnia spać, nie rozpalając w piecu; na naszym stryszku jest ciepło i przytulnie. Zaczynamy się czuć jak w domu. Zasypiam, wdychając zapach świeżego siana i ostrzejszą, specyficzną woń pniącego się wokół zielska. Wyczuwa się też zapach krów i cieląt, a więc atmosfera jest niezwykle sielska.

Nazajutrz budzę się wczesnym rankiem i rozkoszuję się tym prostym faktem, że oto wstaje nowy dzień. Wypełzam z łóżka pomiędzy śpiącą twardo rodziną. Ubieram się w pomieszczeniu, które nazywamy salonem. Potem złażę po schodach do piwnicy, a następnie wychodzę na podwórze i idę do samochodów. Ostrożnie rozpakowuję swoje blejtramy, kasetę i inne elementy mojego malarskiego wyposażenia, w tym sztalugi, pędzle, butelki po piwie napełnione terpentyną, rozcieńczalnikiem i werniksem. Idę przez podwórze w stronę jednego z otworów



wykutych w ścianie i rozstawiam cały sprzęt w miejscu, w którym zabiorę się do malowania, jak tylko będzie to możliwe.

Kiedy kończę uprzątać pomieszczenie, które nazywamy moją pracownią, słyszę za sobą jakieś szmery. Oglądam się i widzę w jasnym prostokacie drzwi Mat – ta, który napina blejtram. Cóż to za radość patrzeć na syna ze świadomością, jak wspaniały człowiek z niego rośnie.

– Cześć, tato, dobrze spałeś?

– Jak niemowlę. Wydaje mi się, że mógłbym tu już na dobre zamieszkać, kiedy trochę to wszystko podremontujemy.

– Ja też. To niezły pomysł.

Uśmiechamy się do siebie; wiem, że Matt czuje to samo co ja.

– Tato, nie mogę się wprost doczekać, kiedy wstawimy drzwi. Już byłoby widać, jaka to będzie wspaniała pracownia.

– Ty pierwszy na to wpadłeś, Matt, patrząc na moje malowanie w Paryżu. Pomyślałem o tym, kiedy wyładowywałem sprzęt. Wszystko rozwija się tak, jak powinno, choć w życiu rzadko tak bywa.

– Wszyscy jeszcze śpią. Co byś powiedział na to, żebyśmy się przeszli do wsi i kupili coś na śniadanie? A tak nawiasem mówiąc, czy to nie cudowne, że możemy teraz zachowywać się jak bogacze?

– Dzięki tobie, Matt. To był twój pomysł. Ja nigdy bym na to nie wpadł.

Wychodzimy; mam w kieszeni kluczyki od samochodu, ale Matt od razu kieruje się w stronę drogi do wsi, więc idę za nim. Mam nadzieję, że utrzymam się na moich starych nogach. Nie mogę zrozumieć, co się ze mną dzieje. Czy to naprawdę skutki tego traumatycznego przeżycia sprzed lat? Trudno w to uwierzyć, ale jest coraz gorzej.

Matt zwalnia kroku, żebym mógł za nim nadążyć. Nie chcę go powstrzymywać, idę więc najszybciej, jak potrafię. Postanawiam zebrać siły i zrównać się z nim. Sedno sprawy zdaje się tkwić w kolanach. Nie bolą mnie wprawdzie, ale stawy kolanowe są słabe i zeszywniałe. Patrząc w perspektywę drogi i mam wrażenie, że to trochę pomaga. Matt zatrzymuje się co chwilę, niby to się rozgląda, ale ja wiem, że czeka na mnie, i ta świadomość jest dla mnie przykra. Będę musiał prędzej czy później porozmawiać z nim o moich kłopotach z nogami. Nie mogę po prostu udawać, że nie ma problemu. Jestem przekonany, że problem istnieje, ale wiem też, że przy pewnym wysiłku dam radę, że nie będę zbyt wielkim ciężarem dla rodziny. Mam tylko nadzieję, że zdążymy doprowadzić do końca nasz projekt związany z młynem, zanim będę musiał pogodzić się z tym, co nieuchronne.

Dochodzę do wsi w dość dobrej formie i daję Mattowi wszystkie drobne, żeby kupił to, na co jego zdaniem domownicy mieliby ochotę. Przyszliśmy wcześniej, więc możemy dostać wszystko, czego chcemy. Matt bierze trzy croissanty, cztery *chaussons pommes*, *pain au chocolat* dla

Williama i dwie bagietki. Kupujemy też tuzin świeżych jajek i trochę wiejskich powideł do chleba. Zapominamy o maśle, soli i pieprzu, ale z nami zawsze tak jest, zresztą wiemy, że Rosemary przywiozła trochę tych rzeczy z Paryża. Musimy zanieść to wszystko do domu, ale teraz mamy z górki, więc jest mi znacznie łatwiej. Torby, które nam dali na to całe pieczywo, nie są zbyt mocne, więc pękają i musimy przepakować wszystko do zapasowych. Ale jakoś sobie radzimy. Matt zjada, jak mówi, „swoją działkę”, napoczynając bagietkę i dochodząc do połowy. Ja pochłaniam sporą część tego, co zostało. Czuję, że właśnie czegoś takiego potrzebuje człowiek, żeby przeżyć i być szczęśliwym. Mam nadzieję, że mój syn uczy się od „wapniaka”, jak zajmować się domem, kiedy przyjdzie na to pora, i mam nadzieję, że ta pora rzeczywiście przyjdzie.

Kiedy docieramy do młyna, widzę, że Kate i Rosemary nakrywają już do śniadania. Kate zwraca się do matki:

– Widzisz, mówiłam, że poszli kupić coś na śniadanie. Zawsze można liczyć na tatę i Matta.

Rosemary już nalala do kubków mleko i sok pomarańczowy i rozstawiła talerze. Bierze od Matta pieczywo i kroi je na odpowiednie porcje, tak że każdy dostaje po jednej trzeciej bagietki. Camille i William złączą po stromych schodach ze stryszku, przy czym Camille pomaga braciszkowi w najbardziej niebezpiecznych miejscach. Zdecydowałem, że pierwszy dolny stopień będzie nieco wyższy od pozostałych, co powinno powstrzymać Williama od prób samodzielnego wspinania się na schody, przynajmniej na razie. Zasiadamy do śniadania i rozdzielamy obowiązki na dzisiejszy dzień.

Rosemary podejmuje się wyplewić całe zbędne zielsko dookoła młyna i złożyć je na jedną stertę, z której powstanie kiedyś kompost. Moja żona marzy o założeniu ogrodu z kwiatami i byłby to dobry początek. Kate chce posprzątać w pomieszczeniu, które ma być moją pracownią. Zgromadziło się tam mnóstwo różnych śmieci. Kate zamierza złożyć to wszystko obok samochodu, żeby potem wywieźć na wysypisko. Matt, Camille i ja przymierzmy się do wstawienia drzwi. Matt korzysta w pewnym sensie z pomocy Ramona, swego przyjaciela, który jest stolarzem w naszej kamienicy w Paryżu. Ramon opisał mu krok po kroku przebieg całej operacji. Mój syn jest przekonany, że Maurice będzie miał wszystkie potrzebne do tego narzędzia.

Założenie drzwi jest znacznie łatwiejsze, niż sądziłem. Wyobraźnia przestrzenna i wycucie proporcji, jakimi obdarzony jest Matt, bardzo pomagają we właściwym zamocowaniu drzwi na zawiasach. Wszystkie metalowe części przywiozłem z Paryża. Osadzamy drzwi, zostawiając odpowiednio duży odstęp od ziemi, żeby mogły się swobodnie otwierać. Założyłem już sam na zawiasy niejedną parę drzwi, więc teraz, gdy pracujemy razem, tym łatwiej ustawić je tak, że wsuwają się bez najmniejszego oporu. Jedynym problemem jest to, że kiedy otwiera się je na zewnątrz, na nasze Champs Elysees, trą o kamienne płyty, które już spoiłszy cementem.

Ocenialiśmy wszystko na oko, więc i tak mamy szczęście, że całość z grubsza pasuje. Mam trochę bejcy w odcieniu „ciemny dąb” i parę dużych pędzli, więc otwieramy puszkę i rozlewamy na dwie porcje, żeby po lunchu zabrać się znów do roboty.

Upewniamy się, że drzwi chodzą swobodnie w jedną i w drugą stronę. Po osadzeniu obu par gratulujemy sobie wzajemnie. Zakończyliśmy robotę tuż przed lunchem.

Jadę znów do piekarni i kupuję bagietki. Na lunch robimy sandwicze, otwieramy też parę butelek pepsi, które chłodziły się w stawie. Uzupełniwszy to chipsami, które przywiozła zapobiegliwa Rosemary, urządzamy sobie prawdziwy rodzinny piknik nad brzegiem stawu. Dopychamy bananami i jabłkami, które także są owocami zapobiegliwości Rosemary. Zanurzam z wielką przyjemnością nogi w zimnej wodzie.

Wracamy do malowania drzwi. Zakładam też zamek i kłamkę. Uznaję, że dwie warstwy bejcy i politory wystarczą. Montuję na górze listwę; nie wychodzi mi to idealnie, ale co na tym świecie jest idealne? Będzie to osłona przed wiatrem i deszczem, o resztę nie musimy się martwić.

Camille przegląda pocztę; są w niej zamówienia na kolejne pięć obrazów, razem z czekami i adresami. Przywieźliśmy z sobą wystarczająco duży zapas tub, pudełek i papieru pakowego, żeby móc wysłać obrazy. Wysyłaliśmy już kilka z miejscowej poczty, więc wiemy, jak je pakować, dołączając papiery do odprawy celnej.

Camille jest pod tym względem prawdziwą profesjonalistką. Jadę z nią na pocztę do sąsiedniego miasteczka, Blismes, gdzie witają nas jak dobrych znajomych. Podpisuję i wysyłam czeki do Banque National de Paris, w którym mamy konto.

Skoro już jesteśmy w Blismes, postanawiamy zrobić zakupy. Warzywa są tu znacznie lepsze niż w Paryżu. Camille jest jeszcze bardziej niż Rosemary wyczulona na sprawę właściwego odżywiania, co oznacza więcej warzyw w jadłospisie. Kupujemy też królika i wędzoną szynkę, którą powiesimy pod stropem, tak jak się to robi w Morvan, a potem będziemy ją odkrawać po plasterku w miarę potrzeb. Stopniowo zaczynamy się przekonywać do tutejszych specjałów.

Po powrocie pracujemy z Mattem nad moim atelier, które ma mi zapewnić przestrzeń i jednocześnie prywatność. Najpierw naciągam kilka blejtramów, odcinając płótno z rolki, którą wzięłem z zapasów paryskich. Będę pracował na swoich zwykłych „francuskich” formatach; listwy przygotowali przed naszym wyjazdem Matt i Tom. Podczas podróży umieściłem je pod przednim siedzeniem. Posługuję się narzędziami, które zostawiłem tu podczas ostatniego pobytu: obcęgami, dwoma młotkami, z których jeden służy do przybijania mosiężnych pinezek, drugi do zwykłych. Te pierwsze to mój prawdziwy fetysz. Przekonuję się, że trzymają na rogach znacznie lepiej niż trochę mniejsze tapicerskie. Ponieważ mam cztery kawałki płótna przycięte i zwinięte w rolkę, mogę rozłożyć je na ramie i zacząć przybijać, najpierw środek, potem narożniki, na końcu w przerwach między nimi. To miłe uczucie móc znów pracować.

Do obiadu mam cztery blejtramy gotowe. Płótno pokryłem wcześniej podwójnym gruntem, więc następnego dnia będę mógł przystąpić do malowania. Nie mogę się już doczekać.

Rosemary i Kate upiekły w naszym małym piekarniku królika. Mamy butlę z butanem; zostało go od świąt tyle, że Rosemary czuje się tak, jakby miała do dyspozycji prawdziwą kuchnię. Obiad pachnie wspaniale, na deser jest szarlotka z jabłek kupionych na targowisku w Château Chinon. Ciasto również pachnie cudownie. Mamy też trochę niezłego cydru ze świeżych jabłek. Żyjemy naprawdę po królewsku. A w końcu dlaczego by nie? Mamy dość pieniędzy, żeby poczuć się królami, masę materiału do malowania i mnóstwo pyszności, żeby się nimi delectować.

Przyświeca nam motto znad bramy UCLA, zdaje się autorstwa Royce'a („Nic nie jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe”). Ale też wciąż mam w pamięci sentencję mojej matki: „To zbyt piękne, żeby trwało wiecznie”. Staram się o tym pamiętać i manewrować ostrożnie pomiędzy tymi dwiema złotymi myślami.

Tego wieczoru w łóżku jestem bliski zdradzenia się ze swoim niepokojem o nogi i złym samopoczuciem. Wiem jednak, że jeśli o tym napomknę, moje niedomagania staną się rzeczywistością, a jeszcze nie jestem na to gotów. Rosemary ma właściwą wszystkim żonom tendencję do „chwytania przynęty” i czepiania się każdej ćwierćmyśli, jaką mimochodem wypowiem. Postanawiam jeszcze poczekać. Może po prostu się przepracowałem i to wywołało chwilowy kryzys. Trudno o tym mówić kochającej żonie. Zresztą, czy mam prawo się uskarżać?

Nazajutrz po dobrej zaprawie pływackiej w stawie, która zastępuje mi kąpiel w wannie i prysznic, wkładam swoje robocze ubranie, czyli dżinsy z obciętymi nogawkami, wysmarowany farbą podkoszulek kupiony w „szmateksie” i wygodne buty.

Postanawiam namalować młyn ze stawem na pierwszym planie, na dużym formacie. Po bokach będzie obramowanie z drzew. Jedno rośnie tam rzeczywiście, drugie powinno rosnać. Jak się jest malarzem, można zaaranżować wszystko po swojemu. Waham się pomiędzy wyeksponowaniem migotliwej, roziskrzanej powierzchni wody a namalowaniem wszystkiego tak, jak to wygląda w rzeczywistości, czyli z odbiciem domu w stawie. No nie, jestem zdecydowanie w nastroju przemawiającym za „peanem na cześć światła”, nie za zwykłym odbiciem. Mam z sobą swoje składane krzeselko, zaczynam rozstawiać sztalugi. Czasami ich niewłaściwe ustawienie może mieć niekorzystny wpływ na obraz.

Poziomuję sztalugi, podkładając parę kamieni, i wyciskam świeże farby na paletę. Oczyszcziłem ją specjalnym nożem przed wyjazdem z Paryża. Zawsze dobrze jest zacząć od właściwego rozmieszczenia kolorów na palcie. Zwykle robię to od razu na początku, chyba że maluję jakieś warianty pejzażu. Różnicuję rozmieszczenie farb w zależności od tematu, ale podświadomie wiem, gdzie jest która z nich.

Być może jest to kolejny przejaw zasklepiania się, ucieczki w takie myśli przed starością.

A może jest to coś pozytywnego? Wszystko jedno, najważniejsze, że pomaga mi w malowaniu. Nie śpieszę się, ale nie ma jeszcze południa, gdy obraz jest prawie gotowy. Przyglądam mu się: oprócz tego, że powierzchnia wody jest zbyt podobna do nieba, wszystko gra. Zostawiam kasety i okrążając staw, idę do domu. Lunch będzie znów nad brzegiem stawu. Może udałoby mi się namalować dobry, realistyczny obraz przedstawiający ten piknik, *fête de champêtre* we francuskim stylu, mimo że nie wiem nawet, jak się to pisze.

Siedzę z nogami w wodzie, a Matt opisuje wnętrze nowej pracowni, jaką zamierza mi urządzić. Nie ma w niej miejsca na schody, więc żeby się dostać na wyższy poziom, zainstaluje się drabinkę, coś na kształt okrętowego sztormtrapu. Skoro nie możemy mieć łodzi, będziemy mieli przynajmniej coś takiego.

– Wykonałeś fantastyczną robotę, Matt. Muszę jeszcze po południu z godziną pomalować, a potem możemy iść do Château Chinon, kupić trochę listew, desek i gwoździ. Jestem przekonany, że uda nam się to ulokować na dachu volkswagena. Deski będą troszkę za długie, ale poradzimy sobie z tym.

– Ale czy to nie będzie zbyt duża przerwa w pracy, tato? Pamiętajmy o priorytetach.

– Nie, Matt, mówię szczerze. Pojedziemy do sklepu o trzeciej, kiedy go otwierają. I będę już wtedy miał kolejny obraz do sprzedania naszym niecierpliwym klientom.

Matt uśmiecha się do mnie. Wstaję i wracam do sztalug. Przerwa dobrze mi zrobiła. Teraz wiem, co zrobić z konfliktem plastycznym, jaki powstał pomiędzy niebem i jego odbiciem. Czasami zakłócenie pracy pozwala się człowiekowi odblokować.

\* \* \*

Kończę obraz w ciągu godziny. Matt czeka już na mnie przy samochodzie. Myślę sobie, że najwyższa pora dać mu kilka lekcji jazdy. Zaczynam mówić o hamulcach i zmianie biegów, napomykam o wspomaganiu układu kierowniczego. Matt przerywa mi jednak.

– Naprawdę, tato, nie chcę się jeszcze uczyć prowadzić, a może nigdy się nie nauczę. W tej chwili myślę tylko o zbudowaniu twojej pracowni z oknem w dachu, przez które będzie widać staw. Takie okno powinno dać dobre światło, mimo że będziesz miał sufit tuż nad głową. To będzie taka prawdziwa mansarda malarza.

Godzę się z tym, co nieuniknione, przekręcam kluczyk, wrzucam jedynkę i wyjeżdżamy na drogę do „Château”. Jak każda wycieczka, także ta jazda sprawia mi przyjemność, choć połowa trasy to państwowa autostrada nr 4. Prowadzi ona do Paryża i zwykle bywa bardzo zatłoczona, ale dziś jest pustawa. Matt omawia swój plan i ogląda szkice „mansardy”. To będzie moja pierwsza prawdziwa pracownia w życiu, jeśli nie liczyć klitki na podwórku w Paryżu. Tak, tak,

proszę państwa! Powoli staję się prawdziwym malarzem, nawet we własnym odczuciu.

Podjeżdżamy pod Bricosphere, miejscowy skład z materiałami budowlanymi. Jest to skrzyżowanie wielkiego sklepu ze składem drzewnym, można się tu też zaopatrzyć w narzędzia i rozmaite artykuły żelazne. Zwykle dostajemy tam wszystko, czego nam potrzeba. „Matt ma cały plan zakupów w głowie, ja tylko chodzę za nim, pomagam sprawdzać listę i układam puszki z farbami i gwoździe na kontuarze. Miło kupować wszystko w takiej obfitości.

Wychodzimy na zaplecze, żeby wybrać deski na podłogę pracowni. Matt kupuje specjalne narzędzie do wykucia w ścianach otworów, w których zaklinowane będą końce legarów. Połączymy je wszystkie długą deską. Postanowiliśmy, że same deski podłogowe kupimy w tartaku, który mijaliśmy po drodze. Deski są tam nie sezonowane, ale zwykle udaje nam się tam zdobyć drewno dębowe za pół ceny, jaką musielibyśmy zapłacić za deski sosnowe w składzie.

W tartaku, który jest rzeczywiście tartakiem z prawdziwego zdarzenia, już nas znają i pozwalają nam pobuszować w wielkich stertach tarcicy, w poszukiwaniu odpowiednich rozmiarów desek, najmniej przy tym spaczonych. Wybrane deski odkładamy na bok i postanawiamy wrócić po nie później, bo dach naszego volkswagena już się ugina pod ciężarem legarów i drewna zakupionego w Bricosphere.

Właścicielami tartaku są dwaj bracia – jeden potężny, niedźwiedziowaty, drugi chudy, zylasty. Załatwia wszystko i mierzy wybrane deski ten tęgi. Ta para jest jak gdyby odwrotnością pary z *Myszy i ludzi* Steinbecka: drugi brat jest jak Lenny.

Kiedy mówię mu, czego potrzebujemy, zapisuje wszystko na nie heblowanej desce opartej na kolanie i zaczyna robić na niej jakieś wstępne obliczenia. Podaje nam kwotę, która pewnie wynika z tych kalkulacji, ale mnie trudno się w tym połapać. Francuzi dokonują obliczeń w taki sposób, że nigdy nic z tego nie rozumiem, ale wynik jest zawsze zgodny z moimi rachubami. Kiwamy więc z uśmiechem głowami i Matt wyciąga pieniądze, żeby zapłacić.

Właściciel tartaku zgadza się przechować deski do jutra tam, gdzie je położyliśmy; rozstajemy się wśród wzajemnych uśmiechów. Na odchodnym pokazuje nawet kawałek sznurka leżący na ziemi i mówi, że będziemy mogli tym przywiązać deski do dachu samochodu. Wskakujemy z Mattem do naszego volkswagena i odjeżdżamy.

Do młyna docieramy bez żadnych kłopotów. Rozładowujemy deski, a tymczasem Rosemary i Camille nawołują nas z zachodniego okna. Wykonały ogromną robotę przy sprzątanii i są, co zrozumiałe, bardzo z siebie dumne. Wnętrze młyna wygląda wreszcie jak prawdziwy dom.

Teraz właśnie przydaje się piła łańcuchowa, zakupiona przed wyjazdem z Paryża. Przycinamy nią legary na odpowiednią długość.

Wnosimy materiały od strony drogi, przez drzwi, przez które, jak przypuszczam, wnoszono kiedyś zboże do mielenia. Potem układamy parę desek, które połączą legary. Na legarach

kładziemy większość desek ze składu. Dębina jest mokra i ledwie starcza mi sił, by ułożyć je tam, gdzie trzeba. Mamy około jednej czwartej materiału potrzebnego na całą podłogę, a więc jeszcze jedna tura do Château powinna wystarczyć.

Znów siadamy wszyscy na brzegu stawu i delektujemy się tym, co przygotowały dla nas Rosemary i Camille. Robimy hot dogi, drażąc bagietki i smarując wnętrza musztardą. Mamy też trzy duże, litrowe butelki pepsi i miejscowe czerwone wino, które kupujemy skrzynkami po osiemdziesiąt centów za butelkę. Nie jest to może wino najwyższej klasy, ale do popijania naszych hot dogów domowej roboty nadaje się doskonale. Wciąż jeszcze nie nauczyliśmy się robić użytku ze swoich pieniędzy. Wszystko, co robimy, daje nam tyle radości, że nie jestem zbyt skory do przyspieszania biegu spraw. Objaśniamy z Mattem, na czym polega nasz projekt, a ponieważ praca nad oknami i podłogą w głównym pomieszczeniu jest prawie skończona, reszta rodziny zgadza się nam pomóc w ułożeniu pozostałych legarów i przymocowaniu ich do ścian. Nie możemy się z Mattem doczekać, kiedy pojedziemy do tartaku i odbierzemy odłożone deski. Będzie to wielkie wyzwanie dla naszego volkswagena, ale ma on wytrzymałe resory i solidne podwozie. Matt i ja jesteśmy dziwnie pewni, że pójdzie nam jak po maśle.

Ustalamy, że trzeba kupić jeszcze dwa młotki i dwa rodzaje gwoździ, mocne dziesięciocalowe do przybicia legarów, kiedy już przymocujemy ich końce do ścian, i czterocalowe, do przybicia desek do legarów.

Następnego dnia jedziemy do tartaku, żeby zabrać zakupione deski i zaopatrzyć się w impregnaty i odpowiedni lakier.

Postanawiamy wracać ostrożnie wąską krętą drogą, a nie szosą nr 4, którą jechaliśmy w tamtą stronę. Mamy trochę dodatkowych lin, żeby przywiązać deski do bagażnika, i dwa przywiezione z Paryża gumowe amortyzatory, którymi przypinaliśmy nasz bagaż, kiedy jechaliśmy autostradą A6 do młyna.

Tak jak przewidywaliśmy, mamy trudności z przywiązaniem desek do bagażnika i mimo metalowej ramy dach ugina się pod ich ciężarem. Gwoździe i farby jadą sobie bezpiecznie w bagażniku z tyłu, a my, wychylając się z okien, zmagamy się z deskami i przytrzymujemy je, żeby się nie zsuwały na boki ani nie poleciały do przodu. Cieszę się, że na drodze nie ma ruchu. Szosa wije się tak, że parę razy serca podchodzą nam do gardła, a ręce same wyskakują na zewnątrz, żeby przytrzymać dechy. Nie sądzę, żebyśmy w drodze powrotnej do domu jechali szybciej niż piętnaście mil na godzinę.

Młyn i wieś wyglądają bardzo malowniczo, kiedy ześlizgujemy się po zboczu ostatniego wzgórza. Cała rodzina ofiarnie pomaga nam wsuwać deski przez otwory w ścianach i układać je, gdzie trzeba. Kiedy kończymy, wszyscy marzą, żeby wskoczyć do zamulonego stawu. Wyładujemy też farbę i gwoździe, po czym ustawiamy się pojedynczo przy końcach desek.

Na szczęście wszystkie, z wyjątkiem dwóch, są odpowiedniej długości. Rosemary i Camille manewrują nimi, wychodząc na zewnątrz. Matt i ja wykorzystujemy dachy samochodów; stajemy na nich i przechylając się przez parapety, staramy się wszystko jak najlepiej ułożyć. Jest to normalna układanka typu puzzle; trzeba tak położyć deski, żeby przy wszystkich swoich nieregularnościach pokrywały jak największą powierzchnię. Oddychamy z ulgą, kiedy wreszcie podłoga jest ułożona. Przestrzeń pod podłogą mojej pracowni będzie wspaniałym miejscem do wieszania obrazów. Obliczam, że będę tam mógł powiesić co najmniej czterdzieści płócien, włączywszy w to przestrzeń pod spodem, wysoką na jakieś trzy stopnie, których jeszcze zresztą nie ma. Oznacza to, że będę mógł obwiesić obrazami wszystkie ściany pomieszczenia. To więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Dzięki Bogu zgromadziliśmy trochę pieniędzy. Inaczej pewnie bym zbankrutował, chcąc założyć samo tylko odpowiednie oświetlenie. Ale teraz, kiedy pojawia się szansa zdobycia odpowiednich środków, mam świetny pomysł na ich wykorzystanie.

Kiedy byłem ostatni raz w Los Angeles, widziałem wspaniały zestaw oświetleniowy; lampy były rozmieszczone w taki sposób, że można je było ustawiać i oświetlać obrazy pod różnymi kątami. W tej samej galerii widziałem oświetlenie z automatycznym detektorem ruchu; kiedy ktoś przechodził w pobliżu lamp, te zapalały się natychmiast. Pomyślałem, że wykorzystam to urządzenie do oświetlenia moich obrazów. Zamierzałem także wykorzystać halogeny i reflektorki ze specjalnymi osłonami ograniczającymi oświetlony obszar. Wyobrażam sobie, że gdybym wykonał instalację sam, kosztowałoby mnie to po sto dolarów od lampy. Ale wyobraźcie sobie, że wchodzicie do całkowicie ciemnego pomieszczenia i natychmiast zapala się dziesięć lamp, które gasną, kiedy wychodzicie. To oszałamiające, ale Matt przysięga, że da się to zrobić i że gdybyśmy chcieli, moglibyśmy założyć z pięćdziesiąt takich lamp. Camille dokonuje obliczeń i zapewnia nas, że gdybyśmy kupili wszystko w hurcie i wykonali instalację sami, coś takiego leżałoby w zakresie naszych możliwości. Coś tak magicznego przerasta moją wyobraźnię, ale jestem gotów spróbować. Może nawet założyłbym takie automatyczne oświetlenie także w pracowni.

Snuję te marzenia, przybijając deski do legarów. Pracujemy całą czwórką, posługując się młotkami, piłami, dłutami i poziomnicami. Wzmocnione deskami legary są teraz stabilne i nic nie podskakuje ani nie drga nadmiernie. Trudno wprost uwierzyć, że w tak krótkim czasie pokryliśmy deskami tak wielką powierzchnię.

Jest już ciemno, kiedy przybijamy ostatnią deskę. Zużyliśmy prawie trzy kilo gwoździ. Moje kolana pulsują, choć owinąłem je starymi ręcznikami. Ale jesteśmy wszyscy zadowoleni z rezultatu naszej pracy i to, że sufit jest tak nisko, wcale nam nie przeszkadza. Postanawiam pokryć jeszcze krokwie styropianem. Mrok zapada szybko, więc budujemy tylko poręcz wokół części, która ma być pracownią, po czym padam na podłogę. Muszę znaleźć jeszcze jeden stary



chodnik, żeby przykryć ten jej nowy kawałek, zanim poplamie ją całą farbami, kiedy zacznę malować.

Na razie jestem jednak naprawdę wykończony i kolana cały czas mi pulsują. Rosemary przynosi z kuchni herbatę i opijamy nasz wyczyn, używając zachowanych kubków po jogurcie. Jesteśmy jeszcze wciąż na tyle oszczędni, żeby za wiele nie wyrzucać. Myślałem o wykorzystaniu kubków do terpentyny i werniksu, kiedy zacznę wychodzić w plener, ale dla takich rzeczy zawsze znajdzie się wcześniej jakieś zastosowanie.

Wielką radość sprawia nam zakładanie półek pod niskim sufitem. Mam teraz mnóstwo miejsca na różne potrzebne mi rzeczy; umieszczamy półki tak, żeby był do nich łatwy dostęp. Wykorzystuję stary kij od szczotki jako wieszak do rolki płótna kupionego w Paryżu. W ten sposób płótno mi się nie pogniecie.

Zaczynam robić przegródki na farby, dla najważniejszych kolorów, jakich najczęściej używam. Na ogół zapominam zakręcać tubki, a czasem zapominam nawet, gdzie położyłem farby, więc potem tracę czas i energię, szukając ich gorączkowo, i to akurat wtedy, kiedy pochłania mnie całkowicie malowanie. Wiem, że pewnie i tak wszystko mi się pomiesza, nawet jeśli zrobię te przegródki, ale cóż – jestem niestety przysłowiowym Janem, który nie nauczył się niczego, kiedy był Jasiem.

Instaluję kilka zwykłych punktowców na krokwiach, więc będę miał dobre oświetlenie w miejscach, w których pracuję, kiedy zabraknie mi światła naturalnego. Pomieszczenie nabiera wyglądu prawdziwego atelier malarskiego; nie jest wprawdzie takie zagracone jak niektóre znane mi pracownie, ale będzie dobrym miejscem do pracy.

Kiedy wszystko jest gotowe, zapraszam Rosemary i resztę rodziny, żeby weszli na górę i porozkoszowali się panującym tu ładem. Na Rosemary, podobnie jak na wszystkich pozostałych, widok robi duże wrażenie. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wykonuję całej tej roboty w tym celu, żeby odsunąć od siebie to, co nieuchronne, czyli samo malowanie. I właśnie wtedy czuję, że jestem gotów chwycić za pędzel.

Zanim następnego dnia wyruszę w plener, napinam trzy blejtramy, a nawet przekładam w kasecie farby, ułożone w dniu, w którym malowałem staw. Tym razem stanę przy studni i namaluję pejzaż z młynem z tej właśnie perspektywy; widok jest tak malowniczy, że sam w sobie stanowi gotowy obraz, nawet bez mojego udziału.

Nie przerywam w porze lunchu, pracuję aż do chwili, kiedy słabnące światło i nogi zmuszają mnie do spakowania kasety. Wracam do pracowni i wieszam obraz na jednym ze stelaży, które Matt zamocował na ścianach w całym pomieszczeniu. Mam nawet wnękę, w której mogę trzymać kasetę, i kołek, na którym wieszam składane krzeselko. Zaczynam się czuć

zdecydowanie jak stary, hołubiony przez najbliższych malarz. Nie powiem, żebym miał coś przeciwko temu.

Nazajutrz Matt namawia mnie, żebyśmy pojechali poszukać desek na stół, który mógłby stać na zewnątrz pod domem. Położyliśmy już w tym miejscu podest z desek pozostałych po urządzeniu pracowni i jeszcze przed wyjazdem do Paryża przeciągnęliśmy tam kabel od światła.

Planujemy, że położymy zakupiony blat na dachu, a złożone nogi w środku. Nabraliśmy doświadczenia, robiąc nasz magiczny stół w Paryżu, więc teraz wystarczy zmajstrować coś podobnego. Sytuacja jest teraz o tyle lepsza, że mamy pod bokiem wielki skład drzewny, w którym możemy się zaopatrzyć w materiał.

Znajdujemy dokładnie to, czego potrzebujemy, i to za połowę ceny, jaką zapłaciliśmy w Paryżu. Żeby umieścić ciężkie dębowe dechy na bagażniku volkswagena, musimy prosić o pomoc pracowników składu. Potem pozostaje jeszcze ciężka robota z ich przywiązaniem do ramy bagażnika. Nogi i śruby z nakrętkami wkładamy pod tylne siedzenie. Kathleen znalazła dokładnie takie śruby, jakich użyliśmy, montując stół w Paryżu.

Nieco później zatrzymujemy się przed pocztą w Château, żeby sprawdzić, czy jest jakaś korespondencja, a zwłaszcza czeki lub zamówienia na kolejne obrazy. Potem zgrzani po ciężkiej pracy idziemy do naszej ulubionej restauracji i tam zajadamy się francuskimi przysmakami.

Jest jeszcze widno, kiedy wracamy do młyna, ale przede wszystkim rozładujemy samochód i zanosimy deski tam, gdzie ma być nowa weranda, jakiś metr poniżej poziomu tamy. Przyjmując takie pozycje, jakbyśmy siedzieli, sprawdzamy, czy będziemy coś widzieć ponad tamą i czy nic nie zasłoni nam widoku na staw. Jest świetnie, nawet Camille twierdzi, że widzi wszystko.

Dokupiliśmy papier ścierny i pożyczylimy w Château inną szlifierkę. Gładzimy i szlifujemy blat do zachodu słońca. Tu, na wsi, ściemnia się znacznie później niż w Paryżu o tej porze roku. Rozstawieni wokół stołu ciężko nad nim pracujemy. Matt przejeżdża po blacie szlifierką, a my gładzimy deski najpierw gruboziarnistym, potem drobnym papierem ściernym. Uzgodniliśmy, że wygładzimy stół nie tylko z wierzchu, ale także z boków i od spodu. Zaczyna nas to wciągać, chodzi nam o to, żeby stół wyglądał dokładnie tak, jak sobie go wymarzyliśmy.

Ale w samym środku całej roboty, kiedy William śpi sobie smacznie w przenośnym łóżeczku u boku Rosemary, następuje taki moment, kiedy zbieram się na odwagę, żeby powiedzieć im o swoich niepokojach. A właściwie to prowokuje mnie do tego Camille. Wyobrażałem sobie, że będzie to raczej Matt, który wykonuje najcięższą fizyczną pracę. Sądziłem po prostu, że on odczuwa najbardziej dotkliwie skutki moich ograniczeń.

– Niechętnie o tym mówię, tato, i mam nadzieję, że cię nie urażę, ale wygląda na to, że trochę zwalniasz. Nie, żeby to wyglądało na coś poważnego; po prostu nie jesteś już tak sprawny

fizycznie. Jak na kogoś, kto całe życie był, przynajmniej w moim wyobrażeniu, szybki i naładowany nadmiarem energii, pracujesz teraz dużo wolniej i szybciej się męczysz. Co z twoim zdrowiem?

Wszyscy przerwali pracę i nieruchomieją, stojąc dookoła stołu. Czekam na ich reakcję. Rosemary siedzi z podkulonymi nogami. Widzę niepokój w jej oczach. Po raz pierwszy dostrzegam, że się martwi. Moja żona nie jest skora do okazywania emocji.

– No cóż, Camille... A właściwie to zwracam się do wszystkich... Odkładałem tę sprawę w nadziei, że mi przejdzie, ale teraz widzę, że niestety już nie będzie lepiej. Nie wiem, co to jest. Zanim tu przyjechaliśmy, konsultowałem się z lekarzami ze szpitala weteranów, telefonicznie i nawet osobiście. Ale nie wygląda na to, żeby lekarz, który mnie badał, wiedział coś więcej niż ja. Są bardzo ostrożni, jeśli chodzi o diagnozę czy podjęcie jakichś działań. Sam nie wiem. Staram się nie popadać w przesadę i zachować zdrowy rozsądek, ale też mnie to martwi.

Patrzę na nich; staram się być szczerzy, ale nie chcę, żeby popadli w przygnębienie. Ostatnie promienie słońca odbijają się w stawie. Wstaję, czując, że jestem nieco melodramatyczny. Wszyscy bardzo mi współczują, ale podobnie jak ja, nie wiedzą, co robić. Matt wstaje również i podchodzi do mnie.

– Dziękuję, tato, że starałeś się nam wytłumaczyć, co odczuwasz. Wiem, że to musi być trudne. Byłeś zawsze kapitanem na statku i jednocześnie ojcem i pewnie z trudem przychodzi ci się przyznać do słabości, skoro zawsze to my wszyscy byliśmy zależni od ciebie. Doceniamy to i zrobimy, co w naszej mocy, żeby ci pomóc. – Rozgląda się wokoło, patrząc na zebraną wokół stołu rodzinę. – Wszyscy zrobimy, co tylko możliwe, żeby ci ulżyć.

Kiedy Matt mówi, Rosemary wstaje, podchodzi do mnie i zaczyna masować mi plecy wzdłuż kręgosłupa, tak jak lubię. Nasze spojrzenia spotykają się na krótką chwilę. Wiem, że oczekują ode mnie jakiejś odpowiedzi, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Nie sądzę, żeby to było coś poważnego. Jestem pewien, że to konsekwencje czegoś, co zaczęło się, kiedy jeszcze byłem młodszy od was wszystkich, z wyjątkiem matki. Chyba opowiadałem wam o tym, jak zostałem ranny podczas wojny. Zaczynam rozumieć, co się wtedy naprawdę stało. Czasami wydawało mi się, że to tkwi po prostu w mojej głowie, ta cała szybkość i brak zmysłu równowagi, ale że jednocześnie jest to coś, z czym można żyć. Myślę, że wy też znosiliście to dzielnie. Usiądźmy, to powiem wam wszystko, co wiem, i postanowimy, jak temu zaradzić.

Siadam na podłodze, Matt, Camille, Rosemary i Kathleen wchodzi do domu, żeby przynieść krzesła. Ta mała weranda, były chlewik, okazuje się bardzo wygodna. Myślę, że będziemy mogli jadać tu wieczorne posiłki.

Wszyscy siadają, William wdrapuje się na kolana Rosemary. Ma swoją *sucette*, którą ssie z upodobaniem. To lepsze, niż miałby ssać palce, przynajmniej tak go nie słychać. Czekam, aż

wszyscy się usadowią.

### Rozdział XIII

– Było to 4 marca 1945 roku. Wczesnym rankiem, mniej więcej o wpół do szóstej, nasz oddział zwiadowczo-rozpoznawczy, wchodzący w skład trzysta czterdziestego piątego pułku osiemdziesiątej siódmej dywizji, przystąpił do ataku na niemiecką wioskę Reuth. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ta cała numeracja, ale i tak nie podaję wam wszystkich danych, na przykład numeru armii, seryjnego numeru mojego karabinu i tak dalej, a musicie wiedzieć, że my w tym czasie żyliśmy w świecie numerów i to bardzo obciążało moją świadomość.

Tak czy inaczej, choć dziś nie ma to może żadnego znaczenia, atakowaliśmy tę wioskę dlatego, że nasz dowódca pułku był przekonany, iż doszliśmy do Linii Zygfrйда. Tak Niemcy nazywali swoją linię umocnień na froncie zachodnim. Większość z nas nawet o tym wtedy nie wiedziała. Ale byliśmy w oddziale, który wykonywał zadania zwiadowcze i przeprowadzał rozpoznanie. Byliśmy tylko częścią wielkiej nacierającej armii, ale podczas tego ataku czuliśmy się osamotnieni. Grzmiała wielka kanonada artyleryjska, wokoło świstały kule, niebo rozświetlały pociski smugowe. Wszystko to budziło przerażenie.

Mój bliski przyjaciel z oddziału wszedł na minę akurat na chwilę przedtem, nim wkroczyliśmy do wsi. Zaczął krzyczeć, więc podbiegłem do niego skulony, żeby zobaczyć, czy mogę mu jakoś pomóc. Zaczęło się z lekka rozwidniać, ale wciąż jeszcze było ciemno. Mój przyjaciel tarzał się z bólu po ziemi, zamiast jednej nogi sterczał krwawy kikut. Rzuciłem karabin i podpełzłem do niego. Próbowałem zatamować krew, robiąc opaskę uciskową z bandaża i zakręcając ją za pomocą bagnetu. Udało mi się powstrzymać krwotok, ale pomimo krzyków rannego i moich nawoływań nikt nie pośpieszył mi z pomocą.

Krótko mówiąc, on umierał, a ja nie mogłem go stamtąd wyciągnąć. Zacząłem się wycofywać, żeby sprowadzić pomoc, i w miejscu, z którego zaczął się atak, natknąłem się na dowódcę naszego plutonu, sierżanta Luchesiego. Wrzeszczałem, pokazując na Gallaghera, który leżał teraz nieruchomo i jęczał. Myślałem, że za chwilę sam wyzionę ducha. Luchesi kazał mi wracać do oddziału i obiecał, że zajmie się rannym.

Jak się pewnie domyślicie, nie wiedziałem, co robić, ale w końcu przebiegłem obok Gallaghera, usiłując dogonić innych. Tymczasem zrobiło się widno, a zbocze wzgórza, po którym biegłem, było pokryte śliskim błotem, więc co najmniej dwa razy upadłem. Przy Gallagherze zatrzymałem się na chwilę, ale wydawało mi się, że już nie żył. Pobiegłem w stronę Reuth, mijając innych kolegów, którzy również zostali trafieni. Myślę, że to był dla mnie najgorszy moment w całej wojnie.

Widzę, że rodzina jest zaszokowana. Nigdy im wiele nie opowiadałem o swojej „prywatnej” wojnie, ale mam wrażenie, że pora wreszcie to zrobić.

– Wciąż grzmiała artyleria i słychać było strzały karabinowe. Miałem wrażenie, że gwizd

odłamków osacza mnie ze wszystkich stron. Czułem przemożną chęć, żeby zaryć się w błoto i pozwolić się toczyć wojnie bez mojego udziału. Ale właśnie wtedy zobaczyłem przed sobą dwie rysujące się na tle nieba sylwetki. Żołnierze mieli ręce założone za głowy, a więc pomyślałem, że mam okazję wziąć do niewoli jeńców. Nie ruszając się z błota, krzyknąłem na nich. Zatrzymali się i zaszwargotali coś po niemiecku. Wstałem i przywołałem ich ruchem ręki. Uznałem, że będzie to honorowy i łatwy sposób zakończenia mojego udziału w bitwie.

Mój oddział mógł sobie walczyć dalej. Wskazałem im lufą kierunek, w którym mają iść; zdawało mi się, że tam właśnie są nasze pozycje, jeśli w ogóle mogłem cokolwiek ustalić w półmroku. Co było potem, prawie nie pamiętam. Artyleria wzmogła ostrzał. Sądząc po huku, zorientowałem się, że jest to artyleria amerykańska i że pociski padają blisko nas. Moi dwaj jeńcy zorientowali się w tym tak samo szybko jak ja i błyskawicznie rozplaszczyli się na ziemi.

Wokół nas tryskały w niebo fontanny błota, które spadało na nas deszczem przy akompaniamencie wycia szrapneli. Wiedziałem, że musimy się stamtąd wydostać, ale żadne moje wrzaski nie mogły zmusić tych dwóch, żeby się ruszyli z blocka. Domyślałem się, że są tak samo przerażeni jak ja. W desperacji wystrzeliłem dwukrotnie tuż nad ich głowami.

Robię pauzę i patrzę na moją cudowną rodzinę zebraną wokół nie wykończonego stołu w świetle francuskiego zmierzchu. Zaczynam żałować, że w ogóle opowiadam im tę historię, która nawiedza mnie w godzinach przedświt. Ale wiem jednocześnie, że nie mogę przerwać w tym miejscu. Zacząłem, więc muszę jakoś skończyć.

– Od tej chwili wszystko zaczyna mi się mieszać. Odzyskuję przytomność pokryty błotem i krwią. W pierwszej chwili nie mogę się ruszyć, po prostu boję się to zrobić. Mam ograniczoną widoczność. Widzę swoich Niemców rozplaszczonych na ziemi; wyglądają jak dwie kukły. Z ich nienaturalnych pozycji wnioskuję, że już nie biorą udziału w tej obłędnej wojnie. Przewyciężając potworny ból, podpełzam do nich z wysiłkiem i sprawdzam prawdziwość swojego przypuszczenia. I wtedy uświadamiam sobie, że ja sam oberwałem. Też jestem cały zakrwawiony. Okazuje się, że to głównie ich krew, która chlusnęła na mnie podczas wybuchu. I chyba właśnie wtedy mdleję, a w każdym razie na dłuższy czas tracę świadomość.

Ocknąłem się z głową na kolanach nie znanego mi amerykańskiego żołnierza. Wciska mi do ust pigułki i poi wodą tak intensywnie, że o mało mnie nie topi. Widzę, że porusza ustami, ale nic nie słyszę. Układa mnie delikatnie z powrotem i odchodzi.

W chwilę później pojawiają się inni amerykańscy żołnierze i są to lekarze: mają na hełmach znak czerwonego krzyża. Bardzo się śpieszą. Sprawdzają bandaże, którymi jestem owinięty od pasa w dół. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy mnie tak obandażowali. Po pewnym czasie okazuje się, że odłamek trafił mnie w brzuch, i moje wnętrzności utrzymuje tylko ten bandaż. Ale tego dowiaduję się później.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że leżę w jeepie przywiązany do noszy i pędzimy,

podskakując na wybojach, do punktu pomocy medycznej. Znow trącą przytomność.

Siedząc tak pod młynem w ciemnościach, zastanawiam się, ile tak naprawdę mogę im powiedzieć. Czuję, że powinienem zostawić dalszy ciąg na jakąś inną okazję, kiedy nie będę tak pochłonięty swoimi osobistymi problemami, ale ciągnę dalej. Nabieram tchu.

– Jakoś dowożą mnie do ambulansu. Nie ma żadnych dróg, same wyboje. Uprzytamniam sobie, że leżę w ambulansie i coś mi kapie na gołe plecy. Znow mdleję. Kiedy wraca mi przytomność, jestem już w punkcie medycznym i wprost nie wierzę własnym oczom: jakaś pielęgniarka usiłuje mnie napoić. Tym razem omal nie tonę w kawie. Krztuszę się, a wtedy jakiś lekarz unosi koc, którym jestem owinięty, i patrzy na moje bandaże. Spogląda na pielęgniarkę i gestem daje jej znak, żeby wyszła. Nie wiem, czemu przychodzi mi do głowy, że już położył na mnie krzyżyk. Próbuję z powrotem zasnąć. Lekarz daje mi jakiś zastrzyk w ramię i znow odpływam.

Nie wiem, dlaczego wam to opowiadam. Jestem przecież tu z wami, tamten koszmar się skończył. Chciałbym jednak, żebyście wiedzieli, jak to wszystko przebiegało; może to sprawi, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Trudno uwierzyć, że jestem tu, gdzie jestem, tak daleko od wydarzeń, o których myślę i mówię. Ciszę przerywa nasza dzielna Camille.

– Czy to właśnie dlatego masz teraz kłopoty z chodzeniem? Wiesz, co się właściwie wtedy stało?

– Spróbuję wam odpowiedzieć krótko: rana brzucha była poważna, ale w Paryżu pięknieją zaszyli. Wyjęli też kilka odłamków. Pozostał jednak wielki problem z chodzeniem. Kiedy po zagojeniu się ran próbowałem wstać, przewracałem się po prostu. Początkowo lekarze myśleli, że to wstrząs mózgu, że uszkodził mi go pocisk, który wybuchnął tuż za mną, więc zaczęli robić różne badania, między innymi encefalografię, ale na szczęście nie znaleźli tam nic niepokojącego.

– I co zrobili?

– Niewiele, Matt. Poddali mnie różnym innym badaniom i kiedy obie wojny się skończyły, ta, w której brałem udział, i wojna japońska, zakończona zrzuconiem bomby atomowej, zwolnili mnie do cywila jako pięćdziesięcioprocentowego inwalidę i kazali się zgłosić za dwa lata, żeby mogli powtórnie mnie przebadać. Nawet mi to odpowiadało; chciałem po prostu wracać do domu – i wróciłem. Oni nigdy nie wykryli przyczyny moich zaburzeń. Po całych latach badań, kiedy już studiowałem na UCLA, uznali, że uległy uszkodzeniu przewody półkoliste i że drobiny czegoś, co określali jako *cilia*, czyli rzeszki, krążą tam, powodując wszystkie moje kłopoty. Nic nie mogli na moje dolegliwości poradzić. Wszystko to było bardzo skomplikowane, ale powiedzieli mi, że mogło być gorzej, że mają inne przypadki znacznie poważniejsze od mojego.

Tu kończę i zapada głucha cisza. Kathleen płacze. Podchodzę do niej.

– Już dobrze, kochanie. Ze mną już wszystko jest w porządku, tyle że mam trudności z utrzymaniem równowagi. Nic mnie nie boli i jestem pewien, że wszyscy możemy się pogodzić z tym, że nie jestem supermanem, i jakoś z tym żyć. Może będę potrzebował za jakiś czas laski, ale o to będziemy się martwić później. Na razie jestem okej i wy wszyscy też i siedzimy sobie razem w tym starym chlewiku, który zamierzamy przerobić na najładniejsze pomieszczenie w całym młynie, i pałaszujemy pod niebem *la belle France* francuskie przysmaki ugotowane przez waszą cudowną mamę. Już dobrze? I pamiętaj, Kate, że jesteśmy bogaci, dopisuje nam zdrowie i nie mamy się czym martwić.

Czuję, że najgorsze za nami. Obejmujemy się wszyscy i już wiem, że wszystko będzie dobrze. Najgorsze było to, że musiałem o tym powiedzieć, a potem napisać, i oto mam to za sobą. Hip hip, hurra!

Sprzątamy w ciemnościach ze stołu. Czuję się znacznie lepiej. A takie tłamszone w sobie zmartwienie, bez względu na to, czy usprawiedliwione i racjonalne, może naprawdę człowieka wykończyć. Nie mówimy już wiele; właściwie wszystko zostało powiedziane. Wpełzamy każdy do swojego kokonu na zbudowanej samodzielnie antresoli. Zасыpiam szybciej, niżbym się spodziewał. Nie mam żadnych snów, ani dobrych, ani złych.

Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę urządzić pracownię, ale jeszcze bardziej podnieca mnie idea, która prześladowuje wszystkich członków rodziny.

A może by się tak rozejrzeć za jakimś budynkiem, w którym wystawialibyśmy moje prace, nie tylko je przechowywali? Miałbym nawet nazwę dla takiego miejsca: ośrodek pracy twórczej. Byłoby to ogólnie dostępne miejsce, w którym każdy mógłby się zająć malowaniem, pisaniem i tak dalej.

Przy śniadaniu dzielę się z rodziną swoim pomysłem i moje podniecenie udziela się wszystkim. Rosemary podejmuje się poszukać odpowiedniego miejsca, takiego, na którego kupno będzie nas stać.

– Pomijając wszystko inne, Will, to będzie dobra inwestycja. Nie chcemy przecież ryzykować i stawiać wszystkiego na jedną kartę. Nie jesteś jeszcze taki stary, dzieci są przy nas i mogą pomóc, więc damy sobie radę.

– Mógłbym zrobić doskonałą instalację oświetleniową dla moich obrazów. Jestem też pewien, że zapełnimy półki książkami, które z czasem napiszemy. Stworzymy prawdziwą artystyczną manufakturę. Podoba się wam to określenie? Słyszałem, że w Los Angeles jest taki sklep, który specjalizuje się w zestawach oświetleniowych dla galerii. Jeśli znajdziemy odpowiednie pomieszczenie i będziemy mieli dość energii i pieniędzy, to kupimy sobie coś takiego i będziemy mieli wspaniałe miejsce do ekspozycji obrazów. A jednocześnie będzie tam można umieścić nasze książki. Wy wszyscy, mówię tu do dzieci, możecie zacząć pisać powieści



lub wiersze, co tylko chcecie, i nie martwić się o szansę ich wydania. Możemy być sami swoimi wydawcami.

Tak więc, mając na razie tylko były młyn z mansardą i zaadaptowany spichrz, przygotowujemy się do stworzenia wymyślnego przeze mnie „ośrodka pracy twórczej”. Mam wrażenie, że nawet z moimi nogami jest teraz trochę lepiej.

Do końca lata remontujemy młyn. Wypełniamy szczeliny między kamieniami zaprawą, żeby nie wciskał się przez nie wiatr i nie wchodziły szczury i koszatki. Te gryzonie strasznie hałasują w nocy, ku przerażeniu Rosemary i Kate. Camille najwyraźniej nie przeszkadzają.

Dach też już nie przecieka, nawet ta jego część, którą odnowiliśmy, szczelne są też zrobione przeze mnie świetliki, gdzie usunąłem dachówki i wstawiłem na ich miejsce szyby.

Odkryliśmy kilka targowisk, na których sprzedają używane meble, i kilka punktów wyprzedaży, gdzie młodzi ludzie, którzy wyjeżdżają z Morvan, sprzedają odziedziczone po rodzicach dobytek. Wywieźliśmy z tych wyprzedaży kilka samochodów dywanów, zasłon i innych dekoracyjnych elementów. Kupiliśmy też komplet mebli do salonu. Kanapa była trochę zapleśniała, ale przetarliśmy ją alkoholem i teraz wygląda praktycznie jak nowa. To wszystko zabiera nam kilka dni. Rosemary mówi, że nie może ze mną spać, bo strasznie się rzucam. Ale najważniejsze jest to, że maluję. Jeżdżę po okolicy volkswagenem i przywożę do domu gotowe obrazy.

Maluję głównie wnętrza stodoł i opuszczone domy. Uczę się też malować krowy, byki i owce na pastwiskach. Malowanie tych zwierząt w ich naturalnym środowisku jest bardzo relaksujące i czuję, że dobrze mi robi.

Camille objeżdża regularnie na rowerze okolicę i codziennie wraca z wiadomościami na temat potencjalnych miejsc na naszą galerię. Nie znajdujemy jednak niczego, co odpowiadałoby naszym wymaganiom. Nie ma to większego znaczenia, bo obrazy są sprzedawane „na pniu”, a więc nie brakuje nam miejsca na nowe. Zaczynam konstruować dodatkowe stelaże i sprzedaję obrazy, jak tylko wyschną. Jesteśmy prawdziwym koncernem.

Dowiadując się różnych rzeczy o zwierzętach, uczę się jednocześnie malowania starych kamieni, dachówek i gontów łupkowych, różowawych dróg z ciemną pręgą w środku, śladem samochodowych spalin. Wszystkie moje zmysły koncentrują się na rozwiązywaniu malarskich problemów.

Matt kupił w Château książkę poświęconą florze i faunie regionu, w tym drzewom. Chodzi z tym przewodnikiem w kieszeni i rozgląda się wokół, identyfikując rozmaite drzewa i krzewy. Dzieli się ze mną swoimi odkryciami i cały świat przyrody Morvan otwiera się stopniowo przede mną. W ten sposób to, co maluję i jak to maluję, staje się dla mnie coraz ważniejsze.

Pozostałe dzieci też się tym interesują; stajemy się powoli całkiem niezłymi botanikami.

\* \* \*

Lato ma się ku końcowi, kiedy Camille oznajmia, że chyba znalazła coś odpowiedniego na naszą galerię. Dom stoi na wzgórzu w miasteczku Montigny-en-Morvan, niespełna dwa kilometry od młyna. On także ma swoją historię.

Wiedzieliśmy, że w miasteczku istniały kiedyś dwie restauracje, ale był w nich zbyt mały ruch, żeby mogły się utrzymać. Tym bardziej że niedaleko, w Chassy, zaledwie trzy kilometry od Montigny, była trzecia restauracja. Nazywała się Le Fin Chasseur, czyli „Pod Wyborowym Myśliwym”. Polowania są bardzo ważnym elementem życia w tym regionie Francji.

Także w naszym miasteczku była konkurencyjna restauracja, Le Gai Laboureur, czyli „Pod Wesołym Robotnikiem”. Otóż ów cały „Robotnik” leżał na obu łopatkach, zanim jeszcze tu zamieszkaliśmy. Camille podejrzewa, że moglibyśmy kupić restaurację za niewygórowaną cenę, bo straciła ona swoje *fonds de commerce*, czyli licencję na sprzedaż alkoholu i prowadzenie baru. Wystawiono ją na sprzedaż jeszcze przed naszym przyjazdem i jak na razie nie znalazł się kupiec.

Camille ustala, że właściciele mieszkają w Château Chinon. Jadę z nią, żeby się zorientować w sytuacji.

Na miejscu stwierdzamy, że bardzo się palą do sprzedaży, bo opuszczony, zaniedbany dom szybko popada w ruinę. Podają nam cenę, a po krótkich targach zgadzają się na dziesięcioprocentowy upust.

Są bardzo usłużni i mili; od razu wręczają mi klucz do drzwi frontowych. Cena domu stanowi równowartość dwudziestu tysięcy dolarów. Trochę się tego przestraszyłem, ale Camille nalega, żeby iść obejrzeć budynek, mówimy więc, że go obejrzymy i ewentualnie oddamy klucz wieczorem. Zgadzają się na takie rozwiązanie.

Camille, Matt, Kate i nawet mały Will wybierają się jeszcze tego samego popołudnia na oględziny domu. Stwierdzamy, że istotnie należy się nim natychmiast zająć. Jego ostatni użytkownicy, którzy prowadzili bar, restaurację i jednocześnie wynajmowali dziesięć pokoi gościnnych, nie byli zbyt dobrymi gospodarzami.

Zwiedzamy wszystkie pomieszczenia; w każdym pokoju jest umywalka, a poza tym mnóstwo pajaków i Bóg wie, czego jeszcze. Sufity mają belkowanie z ciemnego dębu. Belki są grube, trzydziestocentymetrowe, położone przez całą długość pokoju. Bardzo dziś trudno o coś takiego.

Okazuje się, że dom ma ponad sto pięćdziesiąt lat, a więc został zbudowany w czasach, kiedy spławiano tędy drzewo do Paryża. W pokojach na dole są posadzki. W środku budynku znajdują się schody, prowadzące z małego hallu do sypialń na górze.

Do sypialń wchodzi się z korytarza; każda ma osobne wejście. Jest to układ idealny dla naszych zamierzeń. Wielkiego nakładu pracy wymaga tylko doprowadzenie wszystkiego do porządku.

Szyby w oknach są na szczęście całe, a każda sypialnia ma metalowe żaluzje harmonijkowe. Jest to doskonałe zabezpieczenie przed złodziejami, a przecież wiadomo, że obrazy mogą być łakomym kąskiem. W każdym pokoju jest bieżąca woda. Stwierdzamy też, że funkcjonuje tu doskonale cudownie staroświecki system ogrzewczy. Na górze jest też łazienka z prysznicem.

Nie wierzę własnym oczom. Już samo zainstalowanie tych urządzeń musiało kosztować ze dwadzieścia tysięcy dolarów. Mierzymy powierzchnię pomieszczeń krokami i ustalamy, że zmieści się tu z łatwością sto obrazów. Rosemary obawia się trochę, czy całe przedsięwzięcie nie przerasta naszych możliwości i czy nie będzie kolidowało z moim malowaniem.

Ma pewnie rację, ale cała reszta jest przekonana, że wspólnymi siłami uporamy się ze wszystkim.

I rzeczywiście okazuje się, że choć czeka nas mnóstwo pracy, według wszelkiego prawdopodobieństwa damy sobie radę. Bagatelizujemy wątpliwości Rosemary i jeszcze raz mierzymy niektóre powierzchnie i omawiamy praktyczne aspekty zorganizowania naszego ośrodka. Znajdujemy jakiś papier i rozrysowujemy wszystko, przy czym każdy zgłasza swoje uwagi. W domu nie ma na razie światła elektrycznego, więc postanawiamy zabrać plany do młyna i tam rozrysować je porządnie.

Najpierw jednak jedziemy do Château sfinalizować transakcję. Zamierzam zapłacić im tyle, ile żądali na początku; wprawdzie potem obniżyli cenę, ale ja wspaniałomyślnie wracam do pierwotnej. Jest to najgorszy sposób ubijania interesu, ale uważam, że tak właśnie należy postąpić. I jak się okazuje, jest to rozsądna decyzja.

## Rozdział XIV

Kontaktujemy się z właścicielami Le Gai Labreur i finalizujemy transakcję. Wszystko toczy się tak szybko, że trudno mi uwierzyć w realność całej sprawy. Mówimy właścicielom, że mogą sobie zatrzymać, co chcą, z wyposażenia domu. Potem organizujemy wielką „podwórkową wyprzedaż”, żeby pozbyć się reszty gratów, oprócz kilku krzeseł i stołów, które, jak sądzimy, mogą się nam przydać. Więcej nic nie potrzebujemy, więc zawiadamiamy sąsiadów, że mogą sobie wziąć, co chcą, a to, co zostaje, ładujemy na samochód i wywozimy na śmietnisko. To straszna, niewdzięczna robota, oddychamy z ulgą, kiedy wreszcie mamy ją za sobą.

Teraz musimy wszystko wyremontować i posprzątać, tak żeby móc bez przeszkód zacząć realizować ideę ośrodka. Najpierw zrywamy wszystkie tapety, a to, co nie schodzi, zmywamy wodą z mydłem i zdrapujemy szpachelkami. To znów okropna, brudna praca, ale w zespole idzie nam rażno. Rosemary znalazła w pobliskim Nevers dużą fabrykę, w której moglibyśmy nabyć tanio wielkie zwoje włochatej tkaniny. Nie wiem, do czego jej używają, ale obracamy dwukrotnie volkswagenem załadowanym tym materiałem w środku i na dachu. Będzie to moim zdaniem świetne neutralne tło dla obrazów i zakryje ślady przeróżnych grzechów minionych lat, widocznych na zaniedbanych, okopconych ścianach.

Wypróbujemy kilka klejów, zanim przystąpimy do pokrycia oczyszczonych ścian tą tkaniną. W końcu znajdujemy odpowiedni i odtąd praca posuwa się w błyskawicznym tempie. Ja z Mattem przycinamy materiał na odpowiednią długość, a Kathleen i Camille smarują go klejem. Klej kupiliśmy w dziesięciolitrowych pojemnikach i choć uważamy, żeby się nie usmarować, lepimy się od stóp do głów.

Wygląda to na czyste wariactwo – i jest wariactwem.

Pracując zespołowo i cały czas pilnując, żeby William nie kręcił nam się pod nogami, robimy jeden pokój dziennie. Zaczynamy od najmniejszego z pokoi gościnnych. Pod koniec każdego dnia ociekamy potem i klejem. Przed lunchem wskazujemy wszyscy do stawu i czyścimy się wzajemnie, wykorzystując ścinki włochatego materiału. Wkrótce uświadamiamy sobie, że jeśli chcemy zmyć klej z włosów, trzeba działać szybko. Nie robimy jednak z tego problemu i podczas tych ablucji wygłupiamy się na całego. Taki sam rytuał odbywa się pod koniec każdego dnia.

Po tygodniu jesteśmy wszyscy wykończeni i mamy oczy czerwone jak króliki. Cały czas przypominam dzieciom, że mogą sobie dać spokój, kiedy tylko zechcą, ale wszystkim zależy, żeby skończyć tę robotę. Poza tym ściany pokryte miękką tkaniną wyglądają tak wspaniale! Są wprost idealnym tłem dla obrazów. Każdy ukończony pokój jest dla nas bodźcem do zabrania się do następnego, więc wieczorami ślaniamy się na nogach, ale za to śpimy jak zabici.

Kupując materiał w Nevers, pytamy o jakiś duży, dobrze zaopatrzony sklep, w którym moglibyśmy kupić „wszystko dla domu”. Kiedy wreszcie trafiamy do takiego sklepu, okazuje się,

że mają tam wykładzinę w niemal takim samym szarym odcieniu jak nasze ścienne obicie. Mogą nam sprzedać całą belę. Obliczamy, że starczyłoby tego na pokrycie podłóg w całym domu z wyjątkiem wielkiej *salle de fetes* i kuchni. Kupujemy więc całą belę, a do tego taki sam zwój pianki pod spód, żeby wytłumić hałas i jednocześnie przedłużyć żywotność wykładziny. Składamy zamówienie; obiecują nam dostarczyć towar w ciągu tygodnia.

Teraz, kiedy uporaliśmy się ze ścianami, możemy się skoncentrować na malowaniu okien i stolarce. Farbę kupuję podczas wyprawy po drugą porcję materiału na ściany. Kupujemy też terpentynę i rozcieńczalnik. Nazajutrz wkładamy ubrania, których używam do malowania, zaopatrujemy się w szmatki, pędzle, słoiki z rozcieńczalnikiem, żeby natychmiast ścierać kapiącą farbę – i jesteśmy gotowi do malowania. Tworzymy całą drużynę, ale jedno z nas musi zawsze pilnować Williama, żeby nie wpadł do stawu, więc zmieniamy się w tej roli. Przy tym systemie żadne z nas nie pracuje w dłuższych odcinkach czasu niż po trzy godziny naraz. Farba, podobnie jak terpentyna, wydziela intensywny zapach, więc dyżury przy Williamie ratują nas przed kompletnym zatruciem tymi wyziewami.

Największym problemem jest to, że farba kapie na nowo oklejone ściany, a więc zakrywamy je tam, gdzie się da, gazetami. Całe to malowanie zajmuje nam trzy dni i choć jesteśmy naprawdę znużeni tą monotonną pracą, nikt się nie uskarża, może z wyjątkiem mnie.

Kończymy malowanie w samą porę, żeby móc wnieść przywiezioną właśnie wykładzinę. Z pomocą kierowcy rozładujemy samochód i rozwijamy belę w *salle de fetes*. Camille i ja łazimy na czworakach, odmierzając odpowiednie odcinki, a Matt i Rosemary tną wykładzinę, posługując się specjalnymi nożami, zakupionymi w sklepie Bricosphere w Château Chinon. To ciężka praca, od której bolą nadgarstki, więc po pewnym czasie Matt przejmuje nóż od Rosemary. Przekonuję się, że kiedy klęczę na podłodze i pracuję w mniej więcej horyzontalnej pozycji, mniej bolą mnie plecy i nogi. Po skończeniu każdego kolejnego pokoju odpoczywamy, masując napięte mięśnie. Wyłożenie i oblistwowanie wszystkich podłóg zajmuje nam tydzień, czyli więcej, niż przewidywaliśmy, ale tak jest z większością prac. Po ukończeniu całej roboty spoceni i zmęczeni obchodzimy cały dom, sprawdzając, jak udało nam się przekształcić wiejską gospodę w galerię czy też, używając mojego terminu, w Ośrodek Pracy Twórczej. Tego wieczoru idziemy do drugiej restauracji w Chassy, żeby uczcić zakończenie prac kolacją. Właścicielka pyta, czy zamierzamy otworzyć ponownie starą restaurację Le Gai Labreur, ale zapewniamy ją, że będzie to tylko galeria z obrazami, i wyraźnie ją to uspokaja. W takich przypadkach należy uważać, żeby nie nadepnąć komuś na odcisk.

Długo obliczamy i zastanawiamy się, zanim zapada decyzja, że można wreszcie zamówić zestaw oświetleniowy i halogeny. Matt i ja jesteśmy zdania, że najlepiej będzie jechać do Paryża i kupić to wszystko bezpośrednio od dystrybutora. Po wielu telefonach w celu ustalenia, kto jest

producentem, i upewnienia się co do właściwości lamp, jesteśmy gotowi do podróży.

Dowiadujemy się, że lampy są zamontowane na prętach transformatorowych i zasilane prądem 220 woltów, choć oryginalne żarówki, produkowane gdzieś w Teksasie, są typowe dla Stanów Zjednoczonych, a więc przystosowane do prądu 110 woltów. Halogeny możemy kupić w tym samym miejscu, ale są one przystosowane do prądu o napięciu 220 woltów. Jednym słowem sprawa się komplikuje. Dochodzimy do wniosku, że może lepiej będzie kupić wielki transformator i zasilać wszystkie lampy prądem 110 woltów. Nie jest to wszystko proste, ale Matt znajduje jakieś rozwiązanie i zapewnia mnie, że wszystko będzie grało. To wspaniałe mieć dorosłe dzieci, które potrafią rozwiązać problemy, z którymi człowiek sam nie daje sobie rady.

Po kolejnej serii telefonów ustalamy, że Matt kupi żarówki i transformator oraz sto dwadzieścia halogenów przystosowanych do napięcia 110 woltów. Mam już kompletny mętlik w głowie, ale Matt jest przekonany, że wszystko będzie w porządku. Zachodzę w głowę, jak pewnie wszyscy rodzice, jakim cudem ten mój syn mógł to wszystko obliczyć. Matt podejmuje się nawet jechać do Paryża; ja mógłbym utrzymywać z nim kontakt, telefonując z automatu w Château Chinon.

Firma w Paryżu zgadza się przesłać zamówienie do Nevers. Podpisuję kilka czeków. Camille zapewnia mnie, że mamy na swoim paryskim koncie dość pieniędzy, żeby zapłacić za to wszystko. Lampy, żarówki i transformator kosztują łącznie ponad dziesięć tysięcy dolarów. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tyle za cokolwiek zapłacił. Nie mogę spać ze zgrzyoty, natomiast Rosemary zachowuje kamienny spokój.

Dwa tygodnie później wszystko przychodzi do Nevers, zapakowane w ogromnych pudłach. Matt jest podekscytowany.

– Zaczekaj, aż to zobaczysz, tato! Zrobimy z ośrodka prawdziwe чудо.

Pakujemy wszystko do volkswagena, większe pudła umieszczamy na dachu. Jadę krętymi drogami z Nevers do młyna tak, jakbym wiózł dynamit. I w pewnym sensie to jest dynamit, ekonomiczny, który może wybuchnąć i zmieść nas z powierzchni ziemi. Potem, kiedy wreszcie wnosimy wszystko do młyna i rozpakowujemy, przekonuję się, że Matt miał rację: tak właśnie należało zrobić. Obrazy zasługują na najlepszą oprawę i oto ją mamy.

Jestem tak zmęczony jazdą, tak zdenerwowany i zestresowany całym tym załadowywaniem i rozładowywaniem stu lamp, żarówek, szyn i transformatora, że ledwie trzymam się na nogach. A ostatnio już samo to, że trzymam się jakoś na nogach, jest wielkim osiągnięciem. Jednak z pomocą całej rodziny jakoś daję sobie radę. Camille przegląda rachunki i robi wrażenie zadowolonej. Ogólna kwota przekracza dziesięć tysięcy dolarów, ale tylko nieznacznie. Moja córka jest najwyraźniej zadowolona, że wydaliśmy tyle forsy! Może powinienem mieć dzieci – milionerów, a w każdym razie moje córki powinny za takowych wyjść!

Jest już ciemno, kiedy podjeżdżamy pod naszą galerię. Składamy wszystko w kuchni, zamykamy na klucz i wracamy do młyna, gdzie czeka już na nas Rosemary ze specjalnie upieczonym na tę okazję ciastem i z wielką butlą pepsa light. Urządzamy sobie prawdziwie rodzinną uroczystość.

A oto kolejny przykład tego, jak moje zniedołężnienie utrudnia nam wszystkim życie. Szyny muszą być zamocowane wzdłuż długich krokwi w każdym z pomieszczeń, a pokoje mają ponad trzy metry wysokości. Nawet z drabiną i skrzynkami niewiele mogą pomóc. Żeby sobie z tym poradzić, musimy sprokurować specjalne podesty, by móc dosięgnąć krokwi, przykręcić do nich szyny i przeciągnąć przewody od jednego reflektorka do drugiego. Lampa mocuje się do szyn uchwytem bagnetowym. Wydaje się to proste, ale proste bynajmniej nie jest.

Na razie Camille i Kathleen składają lampy, z których każda ma dwanaście części. Nie mamy do nich instrukcji, ale po wielu nieudanych próbach Matt rozgryza problem i pokazuje dziewczętom, jak należy to robić. Ja usiłuję rozpakować transformator, który zmienia napięcie z 220 na 110 woltów. Pocimy się ze strachu, żeby nie potłuc żarówek i żeby nas nie poraził prąd.

Z transformatora wychodzą na wszystkie strony przewody. Wskakując i zeskakując ze skrzynek, drabin i podestów, przeciągamy je w końcu i przyczepiamy we właściwych miejscach. Potem zakładamy we wszystkich pokojach reagujące na ruch, sensorowe wyłączniki, które, mamy nadzieję, będą włączać światło, kiedy cokolwiek poruszy się w pobliżu. Ja zaczynam w to poważnie wątpić, ale Matt i Kathleen biegają z pokoju do pokoju, rozpinają przewody i ustawiają lampy tak, żeby oświetlały dokładnie te miejsca, w których zamierzamy powiesić obrazy.

Wieszamy je właściwie w dwóch pomieszczeniach: w dawnym barze i w pokoju na zapleczu, z którego wychodzi się na podwórze. Jest ich ogółem dwadzieścia i wszystkie mają specjalne, oddzielne oświetlenie, które włącza się, kiedy ktoś wchodzi do pokoju.

Myślę, że najbardziej z całej rodziny jestem zaskoczony ja sam, współautor całego projektu. Kiedy otwieramy frontowe drzwi, światła w barze, które były wygaszone, zapalają się jak na komendę. Jestem oszołomiony; w głębi duszy wątpiłem chyba, że system będzie działać. Idę za Mattem, Kathleen i Camille do następnego pokoju i tu znów zapalają się światła, a te w barze gasną. Istne czary!

Obrazy, same w sobie magiczne, stają się jak gdyby rozwinięciem idei Matta. Chodzę wzdłuż ścian, płótna się rozjaśniają, jarzą się w półmroku. Przechodzę do drugiej salki, a tymczasem Matt reguluje synchronizację włączeń i wyłączeń. Nie mogę się na to napatrzeć. Poświęciłem całe lata, by uzyskać choć odrobinę takiej magii na małych kawałkach płótna, stworzyć iluzję światła i przestrzeni.

Zamontowanie wszystkich reflektorków i zawieszenie całej instalacji na wieszakach od ubrań, tak żeby można było w razie potrzeby zsuwać lampy, zabiera nam dwa miesiące. Kiedy

wszystko jest już założone na parterze i na piętrze, podłączamy powtórnie prąd o napięciu 220 woltów. Mamy dwa oddzielne liczniki rejestrujące zużycie energii elektrycznej.

Camille przypomina mi, żebym zabrał się do malowania, bo wkrótce zapas obrazów się wyczerpie. Szybko wchodzę ponownie w normalny rytm pracy i w ciągu miesiąca maluję dwanaście nowych obrazów. Oprócz tego maluję nową werandę, którą nazywamy chlewikiem. Pociągnęliśmy ją całą dębową bejcą z impregnatem.

W końcu po tylu latach pełnienia funkcji chlewika zasługuje na odrobinę luksusu. Co do mnie, czuję się dobrze, tyle że mam nadal kłopoty z równowagą. Wystrugałem sobie gruby dębowy kostur i podpieram się nim, choć Rosemary uważa, że wyglądam z nim jak stuletni dziad.

Do końca lata zażywamy często kąpieli, zarówno w naszym stawie, jak w jeziorze de Panneciére, odległym o zaledwie trzy mile od młyna. Matt znalazł sobie francuskich kolegów, z którymi jeździ na dalekie rajdy motocyklowe. Jest ich czterech, w wieku od piętnastu do dwudziestu lat. Mój syn bardzo lubi takie małe przerwy w robocie. Konserwacja oświetlenia, wieszanie obrazów i pomaganie Camille w nieustannym katalogowaniu płócien to wyczerpująca praca.

Zaczynamy sprawdzać inne restauracje w promieniu piętnastu mil. Udajemy, że interesuje nas konkurencja, ale chodzi głównie o dobrą wyżerkę, a Burgundia jest pod tym względem bardzo dobrym regionem.

Matt odkrywa nad toaletą stryżek. Wchodzimy tam przez otwór w suficie; strych jest nagrany i dość przestronny. Wykorzystując chłód poranka, sprzątamy go i zastanawiamy się, jak by tu zbudować schody. Matt, Kathleen i Camille uważają, że można tu urządzić świetną salkę projekcyjną i pokazywać obrazy na slajdach.

Znalazłem kiedyś w tanim sklepiku w Paryżu karuzelowy rzutnik Kodaka i kupiliśmy go razem z dziesięcioma pudełkami na przezrocza. Będzie można pokazywać obrazy, nie ciągnąc ludzi po magazynie, kiedy ten już będzie gotowy.

Magazyn jest teraz oddzielony od salek wystawowych. Obrazy są przechowywane na pionowych stelażach według „systemu Whartona”. Jak tylko będziemy mieli trochę czasu, zbudujemy ich więcej, na pięćset obrazów. Planujemy, że gdyby zaszła taka potrzeba, możemy zainstalować stelaże w długiej przybudówce na zapleczu domu, którą wykorzystywano kiedyś jako garaż.

Pracujemy z Mattem jak demony, zamurujemy otwarte wyloty sześciu garaży, potem robimy w każdym betonową wylewkę. Będzie to w dalszej perspektywie, jeśli tego doczekamy, główny magazyn obrazów.



Camille wpada na pomysł, żeby nazwać te pomieszczenia kryptą. Nazwa jest odpowiednia, bo nie ma tam okien, a są tylko założone przez nas grube dębowe drzwi. Trudno było je założyć, bo są piekielnie ciężkie; cała operacja zajęła nam trzy dni.

Na razie brakuje obrazów, żeby je umieścić w tym nowym magazynie, ale wszyscy mają wspaniałe pomysły. Skonstruowanie stelaży zajmuje nam kolejne dwa tygodnie; mamy za to teraz gdzie powiesić prawie tysiąc obrazów. Zaczynam się martwić o swoją wydajność jako malarza. Camille uważa, że lepiej mieć sto metrów za dużo niż pół metra za mało, a kto jak kto, ale ona dobrze się we wszystkim orientuje jako odpowiedzialna za sprzedaż. Zaczynają przychodzić do nas ludzie, żeby obejrzyć obrazy. Ściągają ze wszystkich stron. Rosemary zgadza się zająć tą stroną całego biznesu. Sprzedaż staje się głównym elementem naszego planu. Będę musiał zwołać rodzinną radę na temat najbliższej przyszłości, kiedy wrócimy do Paryża. Nie spodziewałem się właściwie, że powstanie taki problem. Sprzedawanie obrazów było już od dawna moim głównym zajęciem, nigdy jednak na taką skalę, więc muszę przemyśleć te sprawy.

Na tydzień przed wyjazdem do Paryża Camille zgodnie ze swoim zwyczajem, zwołuje kolejną radę. Zebranie odbywa się w dawnym garażu, obecnie przerobionym na magazyn. Wyłożyliśmy ściany styropianem, dla izolacji termicznej, bo latem robiło się w środku niemiłosiernie gorąco.

Z typową dla siebie metodycznością Camille ustawia długi stół i krzesła zakupione od poprzednich właścicieli domu. Właściwie po raz pierwszy wykorzystujemy pomieszczenie w konkretnym celu. Doprowadziliśmy tu z Mattem elektryczność z dawnej *salle de fetes*, więc teraz jest to idealne miejsce do naszych rad. Rosemary upiekła na tę okazję jedno ze swych słynnych ciast. Tym razem ciasto jest z równie słynną, wymyśloną przez nią samą specjalną polewą.

Wszyscy siedzimy i patrzymy w milczeniu, jak Camille przegląda i przekłada swoją skrupulatnie prowadzoną dokumentację.

– Pomyślałam, że najwyższy czas zwołać tę radę. Nie sądzę, abyście wiedzieli, co czai się tuż za rogiem. Nawet ty, tato, pewnie tego nie wiesz.

Uśmiecha się do mnie. Odpowiadam jej skinieniem głowy. Już nie jestem tu szefem – jeśli w ogóle kiedykolwiek byłem.

– Rzecz w tym, że sprawy wymykają nam się z rąk, i uważam, że zanim nastąpi poprawa, może się nam pogorszyć, jak mówił jeden z lekarzy taty.

Robi pauzę i przygląda się nam wszystkim. W nikłym świetle przypomina jakąś ważną figurę z rady nadzorczej. Po chwili znów zerka do papierów.

– Sytuacja wygląda na dziś następująco: jeśli tato będzie mógł malować w dotychczasowym tempie, a my będziemy sprzedawać obrazy tak, jak sprzedawaliśmy je przez ostatnie dwa lata, to

nie mamy innego wyjścia, jak tylko podnieść znacznie ich ceny albo pogodzić się z tym, co nieuniknione, i naprawdę rozkręcić interes na całego. Prawdopodobnie skończymy jako bogacze.

Matt wstaje ze swoim kawałkiem ciasta w dłoni.

– Uspokójcie się!

Cichniemy i Camille może kontynuować. Nawet na mnie robią wrażenie jej wyliczenia.

– Przyjmowałam zamówienia i prowadziłam sprzedaż przez całe lato. Biedny Matt zapakował tyle obrazów, że aż było mi go żal, ale opłacało się tak harować. Popatrzcie na to.

Podnosi w górę plik czeków.

– To są czeki z ostatnich dwóch tygodni. Mam ich tu siedemdziesiąt pięć, na łączną sumę ponad piętnastu tysięcy dolarów. To są pieniądze! I napływają dalej.

Milknie i patrzy na nas.

– Jesteś tego pewna, Camille?

– Jasne, że jestem pewna. Sprawdzalam to. To wielkie przedsięwzięcie, Matt. Pozostaje pytanie, co dalej.

Wyczuwam, że pora, żebym ja wtrącił swoje trzy grosze – a może całe trzy tysiące dolarów, biorąc pod uwagę to, jak się wszystko rozwija.

– Ale przecież ja nie mam aż tylu obrazów. Czy możemy sprzedawać obrazy, których jeszcze nie ma?

– Nie zapominaj, tato, że oprócz tego, co mamy tutaj, jest jeszcze trzysta obrazów w Paryżu. Myślę, że to wystarczy. Akurat to nie jest żadnym problemem.

– Myślę, że powinienem przygotować więcej blejtramów i zacząć malować. Nie chcę skończyć we francuskim więzieniu dla dłużników.

Rosemary macha ręką, jakby była wśród swoich maluchów ze szkoły.

– Chyba wiem, co powinniśmy zrobić. Czekamy wszyscy, co powie. Teraz przemówi prawdziwa szefowa. Długo patrzy na nas z uśmiechem.

– Sprzedawajmy obrazy tylko tym nabywcom, którzy zamówili je wcześniej. Przynajmniej na jakiś czas wycofamy się z biznesu. Obawiam się, że zanim się obejrzymy, nie będziemy mieli ani jednego obrazu dla rodziny. A to wydaje mi się w końcu sprawą najważniejszą. Zapada głucha cisza. Teraz kolej na mnie.

– Masz jak zwykle rację, Rosemary. Zaczę malować i wszystko będzie w porządku. Pojadę do Nevers kupić farby i wszystkie dodatki, terpentynę, werniks i tak dalej. Mam wszystko, o czym marzyłem, pieniądze na materiały, prawdziwe atelier i galerię ze specjalnym oświetleniem, gdzie mogę pokazywać swoje obrazy. Nie mogę żądać więcej i nie żądam. A więc, moje dzieci, jestem malarzem pełną gębą, do którego drzwi dobijają się klienci. Dziękuję wam za to.

Trzymając się krawędzi stołu, opadam na krzesło. Może to tylko kwestia podniecenia, ale

obawiam się, że może to być coś więcej.

Uspokajamy się w miarę osvajania się z sytuacją. Uśmiechamy się do siebie wzajemnie, nawet mały William klaszcze zadowolony.

Potem zaczyna się płasanie po krypcie i zbiorowe śpiewy. W końcu Camille musi nas uspokoić.

– No dobrze, chyba wszyscy się zgadzamy. Skontaktuję się z ludźmi, którzy zainteresowali się obrazami. Nie będziemy wysyłać więcej reprodukcji, ani barwnych, ani czarno – białych, a jeśli ktoś zgłosi się sam, zajmę się tym, kilka obrazów więcej nie spowoduje katastrofy. Mama może dalej pracować w szkole, jeśli chce, ale to, co zarobi, będzie tylko na jej wydatki. Poza tym możemy zostać w młynie tak długo, jak nam pozwoli pogoda. Możemy tu nawet spędzić święta. Trzeba się zastanowić, co robić.

– No dobrze, Camille, ale co z nauką?

– Jakoś o tym nie pomyślałam.

– A co ty sądzisz, Matt?

– Niech mama i tato zdecydują.

– Dopóki uczę, wasze chesne jest opłacone, więc dobrze by było wracać. Nie uważacie?

– No pewnie. Co byśmy robili w Paryżu, gdybyśmy nie chodzili do szkoły? Matt, ty grasz przecież w szkolnej drużynie piłkarskiej, prawda?

– Jasne. Ja wolałbym chodzić do szkoły. Zaczynamy właśnie lekcje algebry, a to bardzo ciekawe. W końcu musimy zdobyć wykształcenie.

Okazuje się, że wszyscy chcą wracać do szkoły. Rosemary wyznaje, że nauczanie jest treścią jej życia i że bardzo by tęskniła za dziećmi, gdybyśmy nie wrócili.

Tak więc przypomnieliśmy sobie wszystkie swoje powinności i okazało się, że robimy i mamy dokładnie to, co chcemy.

Dotyczy to nawet samochodów. Volkswagen najzupełniej nam wystarcza, więc możemy sprzedać albo dać komuś multiplę, bo ona już ledwie zipie, zupełnie tak samo jak ja.

Jest jakoś tak radośnie, jakby to było rodzinne święto. Było więcej planowania i negocjacji, niż się spodziewałem, ale widocznie tego właśnie wszyscy potrzebowaliśmy. A nasze najśmielsze plany okazują się tak absolutnie realne, że zastanawiam się, czy nie śnię. Tak to właśnie wygląda.

## Rozdział XV

No cóż, myślę, że czas kończyć tę książkę. Jest chyba dla czytelników jasne, że wszystkie opisane w niej zdarzenia rozgrywały się na przestrzeni lat. Próbowałem zacząć od najwcześniejszych wspomnień czy zdarzeń i przedstawić je tak, jak je zapamiętałem, albo doświadczając ich osobiście, albo znając z opowiadań rodziców. Upłynął szmat czasu i dziś, jako autor i główny bohater tej opowieści, jestem artystą; właściwie uważam się za malarza, ale kiedy zadają mi sakramentalne amerykańskie pytanie: „A jak pan zarabia na życie?”, nienawidzę odpowiadać: „Jestem malarzem”. Nazywanie się artystą malarzem byłoby z kolei przesadą. Określam więc siebie jako ARTYSTĘ, bo za takiego się rzeczywiście uważam. Kiedy podpisywałem w Nowym Jorku umowę na swoją pierwszą książkę, spotkałem się z szefem wydawnictwa. Umowa była już podpisana, więc zastanawiałem się, co ma mi jeszcze do powiedzenia.

– No więc musi pan pamiętać, że teraz jest pan pisarzem, a nie artystą.

– Ale ja jestem artystą. Artystą, który pisze. Uśmiechnął się.

– Nie stać pana na prowadzenie trybu życia artysty. Pisanie pochłonie cały pański czas. To poważne zajęcie.

Wiedziałem, że jest to opinia większości pisarzy i nieartystów. Ale uśmiechnąłem się wtedy i uśmiecham się jeszcze teraz, po tym jak wydałem kilkanaście książek i namalowałem ponad tysiąc obrazów. Nie mogę powiedzieć, co daje mi więcej radości, pisanie czy malowanie, ale wiem, że w głębi serca jestem przede wszystkim mężem i ojcem, posiadaczem młyna, który mieszka na barce w Paryżu. Tak właśnie wygląda moje życie i jest w nim wszystko to, co opisałem powyżej.